

EWA BIAŁOŁĘCKA

**RÓŻA
SELERBERGU**



Agencja Wydawnicza
RUNA



RÓŻA SELERBERGU

Copyright © by Ewa Białołęcka, Warszawa 2006

Copyright © for the cover & interior illustration by Joanna Michalak

Copyright © 2006 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2006

Pomysł ilustracji na okładce: Ewa Białołęcka

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Jadwiga Piller

Korekta: Anna Kaniewska, Maria Kaniewska

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I Warszawa 2006

ISBN: 83-89595-27-3

ISBN: 978-83-89595-27-0

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA

A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.runa.pl

*Mirielczykom z podziękowaniem za LIB, wilkołka i
nieustanną inspirację.
WJO!*

CZĘŚĆ I

SELERBERGIADA



RÓŻA SELERBERGU

**CZYLI
ROMANS PSYCHODELICZNY**

dedykuję Mithianie z podziękowaniem za pomoc językową



Selerberg był zamkiem małym, ale bardzo przyzwoitym i z zasadami, co oznaczało, że posiadał wystarczająco dużo „zamkowatości”, żeby byle chłystek w hełmie przerobionym z garnka i drucianej kolczudze (czyli zrobionej z drutu na drutach przez zapobiegliwą mamusię, jak to bywało zwyczajem w okolicy) nie bałaganił mu pod bramami. Wieżę miał jedną, ale za to strzelistą jak się patrzy, fosę należycie głęboką i wysypaną na dnie ładnie zagrabionym piaseczkiem, bramę z kratownicą - co prawda się nie opuszczała, ale była naprawdę bardzo dobrą atrapą, choć nieco przykrótką, i landgraf von Selerberg za owe pół kraty zapłacił kowalowi pół krowy. Co prawda przy odbiorze należności odbyła się burzliwa dyskusja, które pół jest czyje. Oburzony rzemieślnik kategorycznie odmówił przyjęcia przedniej połowy, którą miałyby karmić, podczas gdy tylna, mleczna, nadal należałaby do landgrafa. Ośmielił się nawet użyć słów „do dupy z takim interesem”, ale że Rufus von Selerberg rządził dobrotliwie, a kowal był jedynym kowalem w promieniu trzydziestu mil, więc iście salomonowym wyrokiem krowę rozgraniczono wzdłuż. Kowal doił połowę prawą, a dojarka landgrafa - lewą, i bardzo zgodnie pomstowali na obie połówki, kiedy weszły w szkodę na pole kocimiętki.

Oczywiście ród Selerbergów posiadał też herb, a także motto: obie rzeczy umieszczone ponad bramą, żeby broń Boże ktoś ich nie przeoczył i nie powziął fałszywego mniemania o osobie landgrafa i jego rodzinie.

- Synu... - mawiał Rufus von Selerberg, automatycznie wpadając w ton kaznodziejski. - Synu, kiedyś to wszystko będzie twoje. - Tu zwykle landgraf wykonywał gest wykreślający w powietrzu zamaszty łuk, w którego zasięgu znajdowały się jakieś elementy potencjalnego dziedzictwa, na przykład krenelaż, pręgierz gustownie opleciony bluszczem tudzież grządka brukselki albo strażnik z tresowaną gęsią alarmową. (Landgraf nie lubił psów, za to lubił pasztet). Rinaldo von Selerberg - lat piętnaście i dwa miesiące - kiwał ponuro głową, nauczony doświadczeniem, że z natchnionym rodzicielem nie ma co dyskutować.

- Tradycja... Tradycja... Najważniejsza jest tradycja - ciągnął Rufus w zamyśleniu. - Znaczy się ty dziedziczysz po mnie, ja wziąłem ten interes po tatusiu, a tatko po dziadku i... no, tradycja po prostu. Bo jak nie będzie tradycji, to nie będzie...

- Tradycji - dopowiadał zrezygnowany Rinaldo von Selerberg (dla kolegów po prostu Ricky).

- Właśnie! Gdyż *Homo hominis sapiens aqua minerale* - cytował Rufus rodzinne motto, zadowolony, że dochował się tak rozsądnego dziecka.

Jak już wspomniano, motto wisiało nad bramą wraz z herbem, przedstawiającym węża oplatającego dzban wody mineralnej - głównego, poza kocimiętką, artykułu eksportowego

Selerbergu.

- Taaatoooo... - odzywał się Ricky. - Mogę jechać na koncert zespołu Cooler Dwarfs? (Zamiennie: na wyścigi strusi, do teatru awangardowego Shakingspeara, na turniej kopijników...)

- To ci, co śpiewają: złoto, złoto, złoto...?

- Nie, tato. *Złoto, złoto, złoto* śpiewają Terry's Boys. Cooler Dwarfs mają dużo bogatszy repertuar i przekazują słuchaczom głębsze treści duchowe.

- A to jedź, i zabierz siostrę. Powinniście stykać się z kulturą. Musimy iść z duchem czasu.

- Landgraf w zadziwiający sposób potrafił w swoim światopoglądzie godzić ze sobą idee tak ambiwalentne, jak tradycja i postęp.



Podobne rozmowy odbywały się również z udziałem Margerity von Selerberg, z tą różnicą, że zwrot „synu” był zamieniany na „córko”. Do pewnego czasu potomstwo landgrafa zastanawiało się, jak ojciec ma zamiar podzielić schedę: wzdłuż, co dałoby każdemu z rodzeństwa po pół zamku, herbu, motta i ćwierć kraty obronnej; czy może w poprzek, co pociągnęłoby za sobą żmudne procedury przy przekraczaniu roгатki w drodze do wyjścia (z przodu) lub zamkowych szaleatów (na tyłach). Problem uległ utajeniu wraz z osiągnięciem przez Ricky’ego i Marge poważnego wieku trzynastu lat, a potem upadł ostatecznie, kiedy pani von Selerberg ogłosiła radośnie, że spodziewa się kolejnego dziecka. Sprawiedliwy podział kwadratowego zamku na trzy części przerósł nawet pojemną wyobraźnię Rinalda.



Jako ideowy tradycjonalista, Rufus von Selerberg posiadał oczywiście odpowiedni dla swej siedziby i pozycji społecznej personel - między innymi ochmistrzynię i alchemika. Bardzo odpowiedzialne, nobliwe i reprezentacyjne osoby, choć ochmistrzyni, pani Catway, wyglądała jak owoc romansu wikinga z halabardą, a do pensji dorabiała sobie jako instruktorka krasnoludzkiego boksu; don Angelo natomiast - chudy, czarnowłosy i romantycznie obłąkany przybysz z Eshpanii - prócz ulepszania selerberskiej *aqua minerale* usiłował wynaleźć kamień teozoficzny, gdyż poszukiwanie kamienia filozoficznego było mało oryginalne. Sproszkowany kamień teozoficzny powinien w spożywającym otwierać kanał kontaktu z bogiem. (Don Angela tylko odrobinę niepokoiła myśl, co by się stało, gdyby obiekt eksperymentu trafił na boga z nie swojej religii). „Po piątej wódce mam to samo bez żadnych kamulców” - twierdził co prawda kapitan gwardii zamkowej, ale nie zniechęcało to

don Angela, który co tydzień dokonywał w swej pracowni przypadkowych odkryć, czasem bardzo niekonwencjonalnych.

Najnowszy wynalazek był... zadziwiająco, wyjątkowo, efemerycznie, psychodelicznie... różowy. Obłok, który wysnuł się z powyginanej szklanej aparatury alchemicznej don Angela, wydawał się samą esencją różowości, przy której bladły nawet kreacje mniszek z zakonu błogosławionej Barbietty Nawróconej-Zawsze-Pocieszycielki. Szklane utensylia bulgotały niczym bebechy smoka torturowanego niestrawnością, produkując sukcesywnie kłęby malinowego oparu, który penetrował coraz dalsze zakamarki alchemicznej pracowni, gęstniejąc i wysuwając już macki za okno i na korytarz, przez szparę pod drzwiami. Don Angelo toczył osłupiałym wzrokiem po komnacie, zaszokowany kolorystycznie. I z lekka przyduszony mgłą, nie wiadomo czemu przesyconą intensywnym zapachem anyżku. Oko don Angela spoczęło na mosiężnym bojlerze posadowionym w rogu komnaty i zaczęło pieścić jego lśniące obłoki. Tymczasem malinowa inwazja rozprzestrzeniała się po dalszych rejonach zamku...



Ze względów oszczędnościowych (brak miejsca) rozarium grafini zostało przeniesione poza mury twierdzy, ale to wcale mu nie zaszkodziło. Wręcz przeciwnie - kilka pnących gatunków wpęzło z zapalem na granitowy mur, nadając mu cudownie malowniczy wygląd, a południowa strona zamku Selerberg zaczęła dostawać wyróżnienia w konkursach organizowanych przez czasopisma typu „Nowoczesny Barbakan” albo „Twoja Twierdza - Twoim Domem”.

Rinaldo von Selerberg skradał się między bujnymi krzewami róż herbacianych w zamkowym ogrodzie. Jego serce tłukło się rozpaczliwie w klatce jego... klatki piersiowej oczywiście. Momentami chyba nawet podskakiwało w rytm starego hiciora *Złoto, złoto, złoto*, ale może to było tylko złudzenie. Ricky czuł pierwsze młodzieńcze oczarowanie. (Te poprzednie były de facto zupełnie nieważne, przelotne i jak się właśnie okazało, nieprawdziwe).

Kochał! Kochał! Ach, jak kochał... Nieco stresujący był fakt, że nie wiedział, kogo właściwie kocha, ale tak w ogóle stan wydawał się nawet dość przyjemny. Uczucie to spadło na niego jak grom z jasnego nieba podczas spożywania na rogu kuchennego stołu potrawy z żabich udek. Kuchnia zamkowa w lochach była ciepła, przytulna, wokoło na półkach i hakach lśniły wypolerowane do połysku miedziane rondle i kociołki, w powietrzu unosiły się smakowite zapachy gotowanych właśnie potraw, ziół, przypraw i anyżku, a pod stropem w

piękne esy-floresy układała się różowa mgiełka.

Swoją drogą, Ricky dopiero teraz, po tylu latach, zorientował się, że stary mistrz kuchni, Grunwald - poblížniony weteran wojen trollańskich - jest całkiem atrakcyjnym facetem. Bardzo... męskim. Tak, zdecydowanie męski, silny typ.

Przez chwilę Rinaldo nawet rozważał, czy nie napisać romantycznego sonetu o gotowaniu potrawki, ale potem zrezygnował, gdyż nie mógł znaleźć rymu do „żabia noga”. Niestety, Grunwald był może typem macho, ale nie stało mu pewnej dozy romantyzmu, przez co Ricky ze swym rozbuchanym namiętnością sercem wyładował w rozarium na grządce kwiatowej.

Nagle ujrzał między różami dwie zgrabne kobiece pędy, obleczone w parę czerwonych skarpetek, przy czym jedna z nich była frywolnie i nader uwodzicielsko opuszczona.

- Czy wiesz, o piękna, że czerwień jest barwą miłości? - rzekł Ricky tkliwie do skarpetki. Odpowiedzi się nie doczekał, może dlatego, że skarpetki na ogół są mało rozmowne. Wzrok Selerberga juniora podążył w górę, rejestrując po drodze kobiece łydki (fascynujące), spódniczkę w niebieskie paski (cudowną) oraz koszyk (wręcz perwersyjnie posplatany w zawile meandry wiklinowe), a ponad nimi oblicze TEJ absolutnie wyjątkowej, miedzianowłosej Abelardy Kurzehahn... które aktualnie było wzruszająco zalane łzami. Serce Rinalda podskoczyło jak żaba (do której też nie mógł znaleźć rymu) i młodzieniec doznał olśnienia. Całe jego wnętrze, jaźń, ego, duszę, tudzież bardziej materialne utensylia w rodzaju wątroby i trzustki... i co tam jeszcze miał w środku, wypełniła ONA. Był piękny, majowy dzień, a dziedzic von Selerbergów - motto rodu *Homo hominis sapiens aqua minerale* - znalazł sens życia.

Abelarda zerknęła na chłopca, klęczącego rycersko u jej stóp, po czym na nowo wybuchnęła rozziewającym łkaniem, płynącym z głębi jestestwa.

- Ukochana!!! - ryknął Rinaldo i ucałował brzeg spódniczki w niebieskie prążki. - Ukochana, kto cię skrzywdził?!

- Jeeesteeem nieeeszczęęęśliiiiwaaaa... - wyznała panna Kurzehahn, opadając wdzięcznie na ogrodową ławkę w pozie romantycznej, przy czym nieco przeszkadzał jej koszyk, jak się okazało, wypełniony po brzegi jajkami, więc dyskretnie odstawiła go na bok i załamała rękę. - Nikt mnie nie kocha!... To znaczy mama i tata mnie kochają - dodała rzeczowo. - I Mruczuś... Ale to jest straszne, żeby być obiektem uczuć koootaaaa... - zaszlochała znowu.

- Ja cię kocham!!! - sprostował natychmiast Ricky, zastanawiając się, gdzie do tej pory miał oczy, skoro nie docenił zalet tej olśniewającej dziewczyny, z którą przecież spotykał się dzień w dzień podczas posiłków. Przecież niczyje inne tylko właśnie jej białe rączki podawały mu co rano na śniadanie jajko na miękko, spowite troskliwie we włóczkowy

ocieplacz z zielonymi pomponikami...

Co prawda pochodzenie Abelardy zostawiało wiele do życzenia, ale jakże romantyczne i słodkie będzie wspólne przewycięzanie trudności w postaci obiekcji rodzicieli. A finał miłosnej epepei zapowiadał się tym bardziej atrakcyjnie, że poprzedzą go przelotne spojrzenia, ukradkowe uściski dłoni, listy kipiące uczuciami, pozostawiane w rozmaitych skrytkach, i tajne spotkania w uroczych zakątkach pobliskiego rezerwatu rusalek... no, chyba żeby padało.

- Dieter mnie nie rozumieeee... - ciągnęła Abelarda, czarująco smarkając w chustkę. - Z nim można rozmawiać tylko o tym głupim boysbandzie, co śpiewa *Kupiłem sobie czarny oskard...*

Przez dwie sekundy ego wielbiciela krasnoludzkiego zespołu Cooler Dwarfs uniosło się oburzeniem, ale zaraz jego błękitne oczy na nowo zasnęła mgła niekontrolowanej namiętności. Dieter, chłopak stajenny i jednocześnie obecny absztyfikant Abelardy, był absolutnym zerem. Pyłkiem do zdmuchnięcia. Elementem nieważnym i nieaktualnym. Przecież Rinaldo i Abelarda kochali się!

- I ciągle gada tylko o tych Terybojsach... niech się ożeni z całym zespołem, idioooootaaaa.... - Dziewczyna płakała nadal. - I jeszcze kradnie mi szminki, kretyn... przecież wie, że mu niedobrze w moich kolorach.

- Kretyn - przyświadczył Ricky żarliwie. - Bruneci powinni malować się na wiśniowo.

Przez chwilę widział oczami wyobraźni Dietera z wargami pokrytymi wiśniową szminką i zrobiło mu się gorąco. Może lepiej karminowa... nie, wiśniowa, barwy owocu nabrzmiałego słodko-cierpkim sokiem. A do tego Dieter miał taką męską bliznę na podbródku... *O, bellepiccolo bianco cappuccino!*

Selerberg junior porwał dłoń swej bogdanki i, nie mogąc się opanować dłużej, zaczął obsypywać ją pocałunkami, systematycznie kierując się w stronę łokcia.

- *Bella! Belissima! Tesco certissimo cuore mio svendita!*

- Jakie to piękne... - szepnęła Abelarda omdlewająco. - Jeszcze...

- *Pizza ragazza diapolo. Pregare mi dica dove stazione carozza!* - popisywał się Ricky swą znajomością włoskiego. - *Vinaigrette o la mer, geant mon amour...*

- O, francoński... też może być - powiedziała dziewczyna, przeczesując palcami jego czuprynę. - Masz piękne włosy. Czy to naturalny blond?

- *Si, signora* - potwierdził gorliwie Rinaldo. - Uwielbiam cię, moja ty różo z Selerbergu, mój aniele!

- Masz cudowne oczy... i jesteś taki TAKI męski, dlaczego nie widziałam tego wcześniej?
- zdumiała się Abelarda. - Masz włosy na piersiach? - spytała szybko.

Ricky usiłował demonstracyjnie rozerwać koszulę, ale była z tkaniny wyjątkowo dobrego gatunku, więc po chwili bezskutecznej szarpaniny postanowił jednak porozpinać guziki.

- Mam włosy wszędzie... - wymruczał gorąco. - Jestem twoją bestią, moja... kurrrko. Jestem włochatym węzem...

I wtedy nagle tuż za nimi rozległ się tubalny głos, wypełniony bez reszty oburzeniem. Za Rickym i Abelardą jak spod ziemi wyrosła pani Catway. W jednej ręce dzierżyła sznurkową torbę z gazetami, w drugiej zaś skarpetę, wypełnioną piaskiem. („Nawet u księgarza, proszę jaśnie pana, można napotkać różne elementy!"). Zdawało się, że wysuniętym agresywnie ostrym podbródkiem ochmistrzyni można by otwierać konserwy.

- Wielkie nieba! Co to za brednie!?! - wrzasnęła pani Catway. - Co się tu dzieje? Abby! Paniczu!

- Kocham ją! - oznajmił z mocą Rinaldo (wciąż na klęczkach). - Jest moją jedyną miłością. Moją muzą, moim gołąbkim, zdrowiem i pokojem, i przedpokojem oraz garderobą przy sypialni... - Czuł, że coś chyba nie tak idzie, wyciągnął więc oskarżycielsko palec w stronę ochmistrzyni. - Precz, stara kobieto! Nie nękać kochanków, co pod jaworem składają głowy na róż posłaniu! Albowiem czynić będziemy pokój między Wężem a... a Kurą!

- Czyli? - spytała pani Catway z lodowatym spokojem, niewróżącym nic dobrego.

- Ożenię się z nią - wyjaśnił Ricky z prostotą.

- *Si* - potwierdziła tkliwie Abelarda, całując go w ucho.

- To się jeszcze okaże - oznajmiła złowieszczo instruktorka krasnoludzkiego boksu i zamachnęła się skarpetką.

Dwie minuty później wlokła ogłuszonego chłopaka w stronę rodzinnych apartamentów, trzymając go krzepko za kołnierz. Za nimi kroczyła znów łkająca w rozpacz Abelarda Kurzehahn, niedoszła narzeczona, usiłująca rozdzierać szaty oraz posypywać głowę prochem, co było utrudnione z powodu idiotycznej czystości, panującej na brukowanym dziedzińcu Selerbergu.

Po kątach tu i tam nadal czały się jaskraworóżowe opary.



- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego wszyscy mieszkańcy zamku zachowują się jak po orgii narkotycznej? - pieniała się ze złości ochmistrzyni, spacerując w tę i nazad po komnacie don Angela.

Nie trzeba było jasnowidza, by się domyślić, że cokolwiek dziwnego dzieje się w Selerbergu, w dziewięciu przypadkach na dziesięć winien temu jest ów bladolicy wymoczek, ten eszpański magik od siedmiu boleści, alchemik z oczami romantycznego wołu i głosem zakochanego łosia.

- Przyłapałam w ogrodzie Rinalda, jak dobierał się do Abby Kurzehahn, tej z kurnika! Landgraf do tej pory klęczy przed portretem Gizeldy Zezowatej i czyta jej miłosne sonety własnego autorstwa, co już samo w sobie jest katastrofą! O reszcie nie wspomnę, bo to zbyt straszne. Coś ty znowu wyprodukował, lebiego nieszczęsna?

Don Angelo, który pół godzinki temu zakończył romans z bojlerem na rzecz uroczego flirtu z brodatym popiersiem filozofa Severiana z Shaletu, wodził za nią zamglonym wzrokiem.

- Och, nic specjalnego - rzekł z łagodnym uśmiechem. - W sumie nic nie zaszło. Wyszło mi takie różowe. Ta kie chmurki, urocze, *n'est pas...*? Czy wiesz, że wyjątkowo do twarzy ci w tej zielonej... zielonym... tym czymś, Hiacynto?

Hiacynta Catway zastygła na moment jak woskowa figura. Don Angelo wysunął się zza stołu z posuwistą gracją podchmielonego czarnego lamparta.

- Zawsze uważałem, że jesteś fascynująca, Hiacynto...

Z podziwu godnym refleksem ochmistrzyni porwała ze stołu ciężkie tomiszcze *Die Mittelalterlichen Elixiere* i przydzwoniła nim alchemikowi w głowę. Zanim zdołał pozbierać się z podłogi, obezwładniła go niezawodnym krasnoludzkim chwytem i przywiązała do stołowej nogi za pomocą jego własnych sznurowadeł.

- To tylko dla twego dobra, Angelo - zapewniła go Hiacynta.

- Taka piękna i taka okrutna... - odezwał się don Angelo, wciąż błogo uśmiechnięty. - Dręcz mnie, o bogini. Jestem twoim niewolnikiem. Wychłostaj mnie za karę!

- Angelo, zamknij się!

- Jak mam milczeć, gdy ma dusza wyje z tęsknoty? *Mi diosa del amor! Un diamante verde!* Dajmy upust uczuciom, *hada hermosa!*

- Angelo, bo cię wysłę do nieba, gdzie twoje miejsce! - warknęła „bogini”, wzmacniając sznurowadłowe więzy paskiem Angelowego szlafroka.

- Zwiąż mnie, tak! A potem zedrzyj ze mnie szaty. Zębami...

„Zielony diament”, „bogini miłości” i „piękna wiedźma” w jednej osobie ewakuowała się przezornie z pomieszczenia, ścigana namiętными okrzykami po eszpańsku. W korytarzu spotkała Grunwalda, który jako jeden z pierwszych otrząsnął się z różowego oblędu. Może dlatego, że kuchnia była dość oddalona od pracowni don Angela, a może dlatego, że

anyżkowy opar częściowo został zredukowany wonią bigosu. Jak wiadomo, zapach gotowanej kapusty zabija wszystko.

- Sytuacja chyba w miarę opanowana - zawiadomił ochmistrzynię kucharz. - Najbardziej zagrożonym żem dał ziołowej wódki. Panienska Margerita z pokojówką nadal się kłóca, ale już sobie nie wrywają tego parobka, tylko zwyczajnie się żrą - o podartą kieckę.

Popatrzył z zastanowieniem na swoją zwierchniczkę.

- Czy jużem ci kiedyś mówił, że masz piękne oczy, Hiacynto?

Alchemiczna bogini bez słowa porwała go za rękaw i siłą wywlokła na zewnątrz, do w miarę bezpiecznej strefy świeżego powietrza.

Niebawem przed siedzibą alchemika, zza której drzwi nadal dobiegały fragmenty miłosnych eszpańskich serenad przeplatanych jodłowaniem, stanęła sklecona naprędcie wielka tablica z ostrzegawczym napisem:

*Strefa skażenia alchemicznego.
Wstęp wzbroniony aż do odwołania*



Landgraf oderwał kurze nogę i z ukontentowaniem wbił w nią zęby. Przez chwilę przeżuwał przyrumienioną skórkę, a na jego twarzy rozlewał się wyraz niewysłowionej błogości.

- Jak się czujesz, duszko? Wygodnie ci? - przełknąwszy, zwrócił się do żony, która spoczywała obok w wiklinowym fotelu, wyścielonym poduszkami. Grafini z równie błogim uśmiechem skinęła twierdząco głową, nie przerywając systematycznego, acz w pełni arystokratycznego pochłaniania winogron na przemian z importowanymi kwaszonymi ogórkami.

Oboje mieli wszelkie powody do zadowolenia. Pogoda była idealna, by urządzać piknik na łonie natury. Czysto rodzinna atmosfera, bardzo mało służby, skromne danką, jak to poza domem. Zaledwie kilka pieczonych kurcząt, faszzerowane pstrągi, wiejska sałatka z bobu i ślimaków zasmażanych na maśle, pierożki z czereśniami na zimno i owoce. Oczywiście również rodowa *aqua minerale* z sokiem żurawinowym i szarotką frywolnie zatkniętą za szydełkowy pokrowczyk na szklankę - dzieło rączek ich słodkiej Margeritki... kiedy jeszcze była, ehem... malutka. Rufus von Selerberg zerknął z leciutkim zmieszaniem na dorodne dziewczę w modnie obszarpanym przy ramionach gieselku w tartanową kratkę i krasnoludzkich buciorach do pół łydki. Margerita siedziała na kocu, obrywając płatki ze stokrotki, a jej mina dawała do zrozumienia, że ewidentnie ciągle jej wychodzi „nie kocha”.

Niemniej jeszcze nie kłóciła się z bratem i nie usiłowała złamać mu goleni swym obuwiem. Rinaldo również miał dobry humor, choć wydawał się nieco melancholijny. Leżał w rozsądnej odległości od siostry, wypatrywał na niebie pierzastych „baranków” i podśpiewywał pod nosem:

- Kupiłem sobie oskard, kupiłem czarny oskard, kupiłem czarny oskard, kupiłem czar-ny oskard, kupiłem czarny os-kaaaard... Bajer nie był tani, lecz nie do wy... - Reszta zwrotki zniknęła w przyciszonym mamrotaniu.

Selerberg senior nie zdążył zapytać, co znaczy słowo „bajer” i czy jest to może również jakieś narzędzie górnicze, gdyż z pobliskiego lasku wymaszerowała grupa zbójców w liczbie dwunastu. Z całą pewnością byli zbójcami, gdyż identyczne stroje landgraf widział w przedostatnim numerze miesięcznika „Smugglers & Robbers”. Jakby na potwierdzenie tej teorii najbardziej obszarpany, brodaty i dodatkowo jednooki zbir podsunął mu pod nos lufę garłacza, proponując z profesjonalną chrypą:

- Forsa albo życie!

Landgraf z namysłem potarł podbródek.

- A może kurczaka? - spytał zachęcającym tonem.

- Forsa!

- Ależ kto bierze ze sobą pieniądze na majówkę? Raczysz żartować, dobry człowieku - odparł landgraf. - Pierożka?

Zbójca podniósł klapkę, zlustrował talerz z pierożkami oboma oczami, i jednak zdecydował się na kurę. Po czym wrócił się z pytaniem do swoich ludzi:

- Jakiś mały gwałt, chłopcy?

Brodaci, kosmaci i modnie uszargani „chłopcy” zmierzili nieufnymi spojrzeniami matronę w zaawansowanej ciąży, nastolatkę w bryczesach i krasnoludzkich glanach oraz surową damę, wyglądającą jak nauczycielka dobrych manier w prywatnej szkole dla trolli. Na tych kawałkach twarzy, które były widoczne spod zarostu, odmalowało się głębokie zwątpienie.

- Eeee... szefie, kiedy dziś świętego Bonawentury, no i... no, nie wypada gwałcić w święto - wykrztusił mniej brodaty, za to przyozdobiony pięknym zezem. Reszta drużyny zgodnie go poparła, że tak, jasne, oczywiście, jak tak można, nie wypada gwałcić w dzień tak poważanego patrona, jak święty Bonawentura...

- Czuję się ograbiony - zapewnił herszta zbójców landgraf, dodatkowo wciskając mu miskę z sałatką. - Miłego dnia.

- Do widz... - odpowiedział zbój odruchowo, zaciął się, poczerwieniał i poratował nadszarpniętą reputację wybuchem szyderszego śmiechu.

- Buaachachacha-cha-cha...!

- Litości... litości... - odparł von Selerberg ze znużeniem.

- No...!

Grabieżcy w zgodnym szyku pomaszerowali wprost do szeroko otwartych wrót bezbronnej siedziby Selerbergów.

- Rinaldo, mój synu... - odezwał się Rufus von Selerberg, kiwając na Ricky'ego palcem.

- Już się robi, tato! - Ricky zerwał się rażno z koca, podniósł z trawy długą tyczkę z jaskrawopomarańczową chorągiewką na końcu i pomachał nią w stronę zamku. Po upływie minuty odmachano mu równie jaskrawą chusteczką z okna wieży. Obserwacja przez lunetę niebawem pozwoliła stwierdzić, że nad budowlą zaczyna unosić się różowa mgiełka.

Zamieszczone w paru pismach ogłoszenie o przetargu na budowę umocnień „zamku pilnie potrzebującego ochrony” działało bez pudła. Interes kwitł.

Landgraf poczynił kilka obliczeń w notesie.

- Po odliczeniu kosztów własnych i prowizji dla Angela nadal zostaje bardzo ładna, okrągła sumka - oznajmił.

- Misiaczk... ale czy nie uważasz, że jest to odrobinę nielegalne? - zapytała go żona.

Rufus von Selerberg uniósł brwi.

- Ależ kwiatuszku, jakim cudem to może być nielegalne, skoro ci wszyscy mili panowie oddają nam pieniądze z CZYSTEJ MIŁOŚCI?



MARGERYTKA

CZYLI

EROTYK KULTURYSTYCZNY

Landgraf von Selerberg był postacią nietuzinkową mimo pozornie tuzinkowej sytuacji życiowej, jaką jest posiadanie trzydziestokomnatowego zameczku, łąnów kocimiętki i dwójki dorastających dzieci. (Trzecie chwilowo nie zaprzętało jego uwagi, na razie będąc jedynie zawartością kołyski, czyli nadal pozostając w gestii żony i niańki). Rinalda i Margeritę - bardzo niepodobne do siebie bliźnięta - ojciec wciąż wprawiał w niemałe zdumienie, a nawet podziw, inteligencją i niebotycznym roztargnieniem jednocześnie. Rekord ustanowił prawdopodobnie parę lat temu, kiedy bliźniaki należało posłać do szkół. Landgraf nie dość że francońskie słowo *coeducation* w niepojęty sposób zrozumiał jako „dobra edukacja”, to jeszcze jednego dnia podpisał dokumenty Margerity, a drugiego Rinalda, święcie przekonany, że wysyła swoje dzieci do zupełnie różnych przybytków wiedzy. Zdziwił się jedynie przelotnie, że obie dyrektorki nazywają się identycznie: Flageolet. Było to jednak bardzo popularne nazwisko i nie wzbudziło w nim żadnych podejrzeń.

W ten sposób rodzeństwo von Selerbergów, zamiast przebywać osobno w „jednopłciowych” szkołach z internatem dla dzieci z ich sfery, wylądowało razem w wesołej instytucji madame Flageolet, wraz z potomstwem urzędników, kupców i młynarzy albo podejrzanymi rasowo latoroślami aktorów i muzyków. (Również takich, którzy śpiewają *Złoto, złoto, złoto*).



Margerita von Selerberg rzuciła spojrzenie pełne nienawiści na drugą stronę stołu. Co za pech! Że też musiało jej przypaść takie miejsce, z którego ma doskonały, odbierający apetyt widok na tę całą Lawinię - paskudną, małą, chuderławą... flądę. Rybioustą szantrapę z biustem nędzna dwójka, która na dodatek była dziewczyną jej własnego brata. Świat się kończył.

Margerita siąknęła ponuro nosem i szturchnęła widelcem leżący na talerzu kawałek gotowanego selera. Nienawidziła selera, zwłaszcza gotowanego. Po pierwsze w niemiły sposób kojarzył się z jej nazwiskiem, po drugie smakował podle, jak każde dietetyczne żarcie. Dziewczyna podejrzewała, że nawet pieczony bażant z truflami smakowałby jałowo i nędznie, gdyby zdegradowano go do roli składnika diety odchudzającej.

Otworzyła ukradkiem podręcznik i ukrytą w nim broszurkę pod tytułem *Dieta selerowa - jak schudnąć dziesięć funtów w pięć dni*. Wyobrażona na fotografii modelka była obłędnie smukła i unosiła chudą rękę w pozdrowieniu, szczerząc się przy tym jak optymistyczny rekin. Margerita chętnie dziabnęłaby ją w oko widelcem. Na razie wynikiem diety był jedynie ocierający się już o granice obłędu wstręt do jarzyn oraz stan permanentnego napięcia

nerwowego.

- Co czytasz? - zainteresowała się jej sąsiadka, Phoebe Ray, usiłując zapuścić żurawia przez ramię Margerity.

- Nic - warknęła Margerita, zatraskując podręcznik. - Fasola zapowiedziała klasówkę.

- Na kiedy? - Dziewczyna grzebała widelcem w zielonym groszku i najwyraźniej już błądziła myślami gdzie indziej. Sądząc po linii jej wzroku, były to okolice Leroya Willoughby, najprzystojniejszego chłopaka w szkole.

- Na jutro - skłamała Margerita z satysfakcją. - Z całego semestru.

Phoebe kwiknęła rozpaczliwie i gwałtownie zaczęła przeszukiwać torbę szkolną.

- Chwila... z całego semestru? - ocknęła się raptem. - To powinno być zapowiedziane na dwa tygodnie z góry! I dlaczego reszta się nie uczy?!

Rzeczywiście, stół piątklasistów był dość wyluzowany, choć zwykle przed takimi pogromami atmosfera była nerwowa, a zagrożona zwierzyna szkolna zakuwała szaleńczo, nie odrywając oczu od podręczników i na oślep poszukując czegoś jadalnego na talerzach.

- O, pewno się pomyliłam - mruknęła Margerita niedbale, z sadystyczną przyjemnością krojąc selera na ćwiartki.

Zjadła kawałek. Blee... Wielka Morgano, ileż to trzeba się nacierpieć, żeby poprawić sobie urodę.

Uniosła głowę, tocząc wzrokiem po obżerających się bezwstydnie współuczniach. Lawinia Boyd jedną ręką dziobała dystyngowanie groszek jak przerośnięta gołębicą (rozumu ma tyleż samo co gołąb). Drugą trzymała pod stołem, a sądząc z rumieńców Ricky'ego, oboje byli zaabsorbowani czymś innym niż jedzenie. Gdyby jaśnie wielmożna Wincenta von Selerberg zobaczyła tak skandaliczną rozpustę, nie pozostawiłaby swoich dzieci w tej szkole nawet jednej sekundy. Na szczęście matka bliźniaków pozostawała zarówno w znacznej odległości od L'Ecole privee de la metode experimentale pour la coeducation contem-poraine de Marguerite Gautier-Flageolet w Schweingehölz, jak i w błogiej nieświadomości co do charakteru uczelni.

Parka Woodgate i Moon szeptała sobie coś nawzajem na ucho, co chwila parszcząc śmiechem. Natomiast w dalszej perspektywie Margerita zobaczyła męski profil siódmoklasisty Loussiera i raptem gwałtownie przełknęła ślinę.

Loussier jadł kotleta. Całe otoczenie przestało się liczyć. Loussier kroił mięso... *o Boże, mięso...* na niewielkie porcje. Kawalki mięsa jeden za drugim z gracją windowały się w górę na czubku widelca i znikwały w ustach chłopaka. Margerita z bolesną ostrością widziała każdy ruch jego szczęk i różowy czubek języka oblizujący zaokrągloną dolną wargę z

aromatycznego sosu. Nad stołem unosiły się ekstatyczne zapachy pieczeni cielęcej i ryżowego puddingu z malinami, co wprawiało biedną Margeritę w stan niemal narkotycznego upojenia. Osłabła dziewczyna oczami wyobraźni nagle ujrzała samą siebie, jak z bojowym okrzykiem rzuca się poprzez stół - półnaga, wymalowana w niebieskie wzory niczym jakaś barbarzyńska trollańska wojowniczką - i przywiera wargami do ust Loussiera, wydzierając mu przemocą spomiędzy zębów kęs soczystej cielęciny. Chwyliła go obiema rękami za kark, czując pod palcami potężne mięśnie, a w ustach słony smak jego krwi, sosu i szorstki dotyk zarostu na twarzy. Wepchnęła mu do ust resztę kotleta i jadła wprost z niego, smakując w ekstatycznym uniesieniu imbir, kardamon i chrupiące skwareczki z bekonu, spocona z podniecenia, napięta, chwiejąca się na granicy spełnienia...



Renaud Apollon Loussier pożywiał się w błogim spokoju kotлетem cielęcym bez kości, nie mając pojęcia, że jest obiektem czyichś marzeń natury kulinarno-erotycznej. Właśnie został przyjęty do szkolnej reprezentacyjnej drużyny krykieta i jego myśli krążyły głównie wokół tego, by jak najlepiej wypaść na najbliższym meczu.

Wokoło trwał codzienny rozgwar obiadowy, równie naturalny i powszedni jak otaczające go powietrze. Chłopak z roztargnieniem uniósł wzrok i bezmyślnie przesunął nim po stole, aż do momentu, w którym jego spojrzenie zatrzymało się na dużej, krótko ostrzyżonej dziewczynie, wpatrzony w nią łapczywie. Jeszcze nigdy w życiu nie poczuł się tak... wystawiony na cel. Dreszcz przeszedł całe ciało Loussiera - stado niewidzialnych mrówek przegalopowało po nim od czubka głowy, poprzez pierś, plecy i rejony rzadko omawiane publicznie, aż po koniuszki palców u nóg. Jak zahipnotyzowany królik, wystraszony Renaud nie mógł oderwać wzroku od chłodnych, niebieskich oczu obserwarki, która właśnie w niesłychanie seksowny sposób oblizwała górną wargę. Łatwo mógł sobie wyobrazić, jak ta... (Święty Belemnicy, jak ona się nazywa? Chyba Selerberg) ...ta Selerberg zrywa z niego ubranie i gwałci go tu na stole, publicznie... wśród półmisków z puree ziemniaczanym i groszkiem z marchewką.

Selerberg przymknęła powieki i przesunęła palcem po uchylonych wargach.

Loussier ogromnym wysiłkiem woli spróbował przełknąć to, co miał w ustach. Zdradziecki kawałek cielęciny zmylił drogę i wpadł nie tam gdzie trzeba, a bohaterски krykiecista zaniósł się okropnym, rozdzierającym kaszlem.

- No, no... Uważaj, koleś, bo się udławisz - rzucił jowialnie jego sąsiad, waląc kolegę między łopatki.

Loussier wypluł przeżuty kęs na obrus, złapał dech i otarł załzawione oczy. W stronę tej Selerberg postanowił już na wszelki wypadek nie patrzeć.



Margerita oprzytomniała, kiedy Loussier się zakrztusił. Poczula, jak oblewa ją zdradliwe gorąco rumieńca zażenowania. Na miecz Brutusa von Selerberga, dobrze, że nikt tu nie umie czytać w myślach, bo musiałaby chyba się rzucić z mostu. Co za wstyd, co za kompromitacja, co za... przyjemna wizja...

Od dalszych mąk psychicznych wybawiła ją poczta. Raptem pośrodku jadalni z głośnym puknięciem, do złudzenia przypominającym wystrzał korka od szampana, teleportował się gnom-posłaniec w przekrzywionej fioletowej czapce kurierskiej.

- Eeep...! - pośliznął się na wyfroterowanym parkiecie i zatoczył na najbliższy stół, przewracając solniczkę oraz dzbanek z sokiem porzeczkowym.

Dźwigał niezbyt dużą, lecz widocznie ciężką paczkę. Przesyłka z łomotem wylądowała na podłodze, a gnom zaklął pod nosem. W końcu złapał równowagę i wyciągnął z kieszeni wymięty kwit.

- Pan... eee... Pani Margaryna won Selerborg! - ryknął, przekrzykując gwar w jadalni. Oczywiście usłyszeli go prawie wszyscy i teraz pokładali się ze śmiechu. Margaryna...!

- Tuuuutaaaaj! - zakwiczała wdzięcznie Phoebe, machając rączką.

- Gnom podniósł swoje brzemie i podszedł, usiłując ułożyć szpetną gębę w uprzejme fałdy.

- Tu! - warknęła Margerita, pukając palcem w stół przed sobą. - Selerberg, a nie Selerborg, jeśli łaska!

Gnom momentalnie sposepniał.

- Paniusia tu podpisze. - Podsunął jej kwit. - Się należy dwadzieścia koron.

Margerita spojrzała na rachunek i z ledwo zauważalnym westchnieniem wyciągnęła z kieszeni portmonetkę.

- Uj, drogo... To, że się jest arystokratką, nie oznacza jeszcze, że ma się kopalnię pieniędzy.

- Będzie napiwek? - zaryzykował posłaniec, ale spojrzenie rzucone mu przez Margeritę sprawiło, że wcisnął głowę w ramiona i już bez słowa zwałił przed dziewczyną pakunek, aż zastawa stołowa zadrżała.

Odebrał należność i teleportował się z powrotem na pocztę, przedtem jeszcze zdążywszy błyskawicznie ściągnąć z półmiska kotlet, ku skrywanej zazdrości wygłodzonej Margerity.

- Co dostałaś? Co to jest? - zainteresowały się inne uczennice.

- Hantle - odparła Margerita, dokładając sobie marchewki do selera.

Serce biło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Dziewczyny natychmiast straciły zainteresowanie. Cóż ciekawego mogło być w hantlach?



Szkoła madame Gautier-Flageolet była uczelnią nowoczesną, uczniów zachęcano więc do licznych zajęć pozalekcyjnych, głównie uprawiania sportów. Wieczory spędzano na odrabianiu lekcji i rozmaitych grach towarzyskich, a w co trzecią sobotę urządzano dla klas starszych wieczorki taneczne, których Margerita serdecznie nie cierpiała, chociaż trzy czwarte jej koleżanek zwykle już od czwartku popadało w stan lekkiej hysterii, szykując kiecki, produkując sobie loczki, fioczki, i wymieniając się zakłęciami kosmetycznymi. Margerita poszła na jedną taką potańcówkę - a właściwie na pół - i opuściła salę, przysięgając, że nigdy więcej. Mogła ten czas spożytkować znacznie lepiej, na przykład ćwicząc kulturystykę.

Nauczyciele tradycyjnie patrzyli krzywym okiem na uczniów włączających się po korytarzach o zmroku. Czasem jednak udzielano dyspensy w szczególnych okolicznościach. Takimi okolicznościami była na przykład niemiłosiernie długa kolejka do urządzonej w suterenie salki gimnastycznej, a sytuację dodatkowo komplikowało purytańskie zarządzenie dyrektorki, nakazujące rozdzielać trenujących chłopców od dziewcząt. (Jakby to mogło czemukolwiek zapobiec). Na szczęście dziewczyn uprawiających ostre sporty w L'Ecole privee de la metode experimentale było jak na lekarstwo, więc Margerita miała co drugi dzień między dziewiątą a dziesiątą wieczorem błogosławioną samotną godzinę, którą spędzała w oparach chłopięcego potu i skarpetek, waląc w worek treningowy lub podnosząc sztangę, otrzymaną w prezencie gwiazdkowym. Tym razem, ledwo zamknęła za sobą drzwi, z mocno bijącym sercem zabrała się do rozpakowywania tajemniczej przesyłki. Uporała się z licznymi sznurkami i papierem, po czym okazało się, że omyłkowo otworzyła dno. Na samym wierzchu leżały eleganckie hantle z uchwytem owiniętym skórą. Margerita wyciągnęła je niecierpliwie i z łoskotem zrzuciła na podłogę. Pod spodem znalazła periodyk traktujący o krasnoludzkim boksie, który podzielił los hantli. Znacznie delikatniej wyjęła z pudełka żurnal mody. Było to jedno z bardziej luksusowych pism, do jakich zwykle dodawano darmowe próbki specyfików upiększających lub karteczki z pięknie wykaligrafowanymi zakłęciami na wydłużenie rzęs. Margerita z zazdrością popatrzyła na zaczarowaną okładkę, gdzie wydekoltowana panusia wypisywała subtelnie paluszkami napis: *Co będzie modne wiosną? Nie czekaj do ostatniej chwili. Bądź piękna już teraz.* Litery zniknęły i pojawiały się na nowo, wybuchając migotliwym różem. Dziewczyna pokazała okładce język i rzuciła czasopismo na

ławę do robienia „brzuszków”. Z samego dna ostrożnie, z zapartym tchem wydobyła najbardziej oczekiwaną i wytęsknioną część swego zamówienia.

Czarne koronki załśniły w świetle lamp, subtelny, przejrzysty jedwab miękko przesunął się po dłoni zachwyconej dziewczyny. Czując rozkoszny zawrót głowy, przytuliła chłodną tkaninę do policzka, napawając się jej elegancją i delikatnością. Potem odłożyła ostrożnie koszulkę i znów sięgnęła do kartonika, wyciągając parę koronkowych majteczek. Były bezwstydnie skąpe - właściwie kawałek jedwabnej szmatki ze sznureczkami. Starsza pani von Selerberg wolałaby umrzeć, niż włożyć coś takiego. Młodsza zgodziłaby się umrzeć, ale po przymiarce. Gorset stanowił godny dodatek do majtek. Czarny, połyskliwy, z czarnej koronki i jedwabiu w małe różowe motylki. Zapłoniona Margerita błyskawicznie pozbyła się przyodziewku i włożyła wyzywającą bieliznę.

Na jednej ze ścian sali od niepamiętnych czasów tkwiło duże zaczarowane lustro. Wszyscy nowo przybyli uczniowie skrupulatnie sprawdzali jego możliwości, lecz magiczne zwierciadło nie zdradzało innych cech poza chaotyczną gadatliwością i skłonnością do cytatów. Widocznie zaklęcie, które kiedyś na nie rzucono, wyczerpywało się powoli, ale nikomu się nie chciało ani zlikwidować go do końca, ani usunąć lustra, choć pomieszczenie służyło już rozmaitym celom, dopóki nie urządzono w nim siłowni. Margerita nieśmiało zerknęła na połyskliwą taflę. No cóż, nie wyglądała może jak modelka z żurnala „Delicious Dessous”, ale efekt okazał się całkiem zadowalający.

Margerita nie była żadnym cudem, zdawała sobie z tego sprawę z bolesną trzeźwością. Po ojcu odziedziczyła grube kości i masywną budowę, po matce natomiast gęste, sztywne włosy nieokreślonego burego koloru, z którymi nie dało się zrobić niczego sensownego. Kiedy miała dwanaście lat, w akcie buntu ostrzygła się po męsku i od tamtej pory konsekwentnie kreowała się na twardą chłopczycę, choć w głębi ducha bolała nad tym i piekielnie zazdrościła koleżankom mającym wzięcie. W powiewnym kompleciku natomiast po raz pierwszy poczuła się lekko, powabnie i kobieco. Zerknęła na pergamin dołączony do bielizny i przeczytała głośno: *Ficele*. Natychmiast straciła oddech, gdyż gorset zacisnął się bezlitośnie wokół niej, niemal zgniatając jej żebra. Na bezdechu znów popatrzyła w lustro i oniemiała. Koronkowa machina tortur ukształtowała jej figurę w formę nader seksownej klepsydry. Różowe motylki figlarnie przeświecały przez powiewną jedwabną szmatkę wierzchnią.

- Bądź pozdrowiona, o lwico Bayrabii, wilem słyshał o twych przymiotach i wolę jednym okiem objąć widok, co jak motyl w chwilę ulata, niżli mieć ofiarowane wszelkie skarby, wonności, całe złoto świata... - odezwało się lustro głosem w puch zadymionego wieszczapiumisty, po czym dostało czkawki i zamilkło.

Margerita w tejże chwili poprzysięgła sobie w duchu, że już nigdy nie włoży tych okropnych barchanowych majtek, w które z upodobaniem zaopatrywała ją matka, nawet gdyby miała na nową bieliznę wydać całe kieszonkowe.



- Zapomniałem z siłowni swetra - zorientował się Loussier, wychodząc spod prysznic i patrząc na stosik swoich ubrań.

- Głowy kiedyś zapomnisz - powiedział Marco Mancini, kapitan drużyny krykieta, wycierając włosy. - Już prawie cisza nocna, jutro zabierzesz.

- Coś ty, to markowy sweter, jak mi go ktoś rąbnie, to matka łeb mi upitoli przy samym tyłku.

- No, chyba że tak. Leć.

Loussier ubrał się pośpiesznie i już go nie było. Dystans między łazienką a Komnatą Potrzeb Fizycznych, jak ją z przekąsem nazywali starsi uczniowie, przebiegł klusem i na palcach, rozglądając się, czy gdzieś przypadkiem nie mignie złowroźnie lawendowe wdzianko dyrektorki, która lubiła wieczorami przechadzać się po szkole, dokonując inspekcji. Jak wiadomo, „pańskie oko konia tuczy”. Renaud pamiętał, że właśnie trwa pora przeznaczona na treningi dziewczyn, i dlatego przezornie przyłożył ucho do drzwi, lecz panowała za nimi martwa cisza. Nie przeczuwając nic złego, wszedł do środka.



Ściśnięta gorsetem Margerita mogła zdobyć się jedynie na słabe „yyyyyyyyiiiiiiiiii”, co zabrzmiało jak pisk myszy przeciąganej przez wyżymaczkę. Natychmiast zresztą zagłuszyło ją basowe „yaaaaaaaah!!!” zaskoczonego Loussiera, wytrzeszczającego oczy w progu.

- Prze-prze-praaszam... - wybełkotał kompletnie zbaraniały chłopak.

Margerita znów kwiknęła cienko, usiłując się zasłonić rękami, co było z góry skazane na niepowodzenie. Renaud w panice rozejrzał się po sali. Jego sweter zwisał sobie najspokojniej z drążka. Chłopak wiedział, że powinien teraz jak najszybciej zniknąć, nim hałasy zwabią tu kogoś z kadry nauczycielskiej, ale jednocześnie miał w pamięci długie kazanie matki na temat tego, jak luksusowa jest wełna mirbilonga i ile kosztował ten przeklęty ciuch. Rozpaczliwym szczupakiem rzucił się w stronę swojej własności, a następnie, już ze zdobyczą w garści, wypadł na korytarz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, w które sekundę później coś potężnie huknęło. Wstrząśnięty chłopak pogalopował z powrotem, tuląc do piersi odzyskany sweter.



Margerita, dysząc ciężko, wpatrywała się w drzwi, na których ciężkie hantle zostawiły całkiem wyraźne wgłębienie.

Na Morganę, szkoda że nie trafiłam tego kretyna, pomyślała, ale natychmiast się poprawiła: kurczę, dobrze, że nie trafiłam, bo bym go zabiła.

- Deficeler - mruknęła. - Deficeler! - powtórzyła głośniejszym głosem lekko zaniepokojona i znów sprawdziła metkę. - Deficeler... - W końcu wymówiła słowo z odpowiednim akcentem.

Gorset puścił i nareszcie mogła normalnie oddychać. Cholerna francońska firma.

Przez resztę przydziałowej godziny boksowała i kopała worek treningowy, wyobrażając sobie, że to Loussier. Mogła założyć się o cokolwiek, że ten palant rozpapał natychmiast wszystko i właśnie zarykuje się wraz z kumplami, wyśmiewając się z niej. Rąbnęła w worek z takim impetem, że omal nie urwał się ze sznura. Jednocześnie była wściekła na siebie. Idiotka! Bezmyślna kretynka! Na mózg jej padło chyba jakieś zaćmienie, że nie zamknęła porządnie drzwi i nie obłożyła ich jakąś klątwą - choćby „pięciominutową ślepotą” - w końcu nie trzeba do tego żadnych skomplikowanych rzeczy, tylko czarna, pośliniona nitka na klamce i wygłoszenie paru słów w obco brzmiącym języku.



Kiedy Loussier wszedł do salonu starszej młodzieży, gdzie wciąż jeszcze kwitło życie towarzyskie, był czerwony jak piwonia i kurczowo przyciskał do piersi swój święty sweter, co Mancini zauważył z niejakim rozbawieniem.

- Co jest? Zgwałcił cię kto, Rennie?

- Y-y... - wymamrotał Rennie przecząco. - Wi-widzia-łem... no... tego...

- Ducha?

- Nie... No, tę... dziewczynę... Mancini uniósł brwi.

- Gołą? - upewnił się. Sądząc po stanie kumpla, doznał szoku. Biedny Ren.

- Powinni coś zrobić z tą jego nieśmiałością, bo w tych warunkach chłopak do końca życia zostanie dziewicą.

- W bieliźnie - sprostował Loussier, w końcu przestając tulić sweter.

Z kąta ozwał się złośliwy i afektowany chichot Lawinii Boyd.

- To dopiero musiał być wstrząsający widok. Von Selerberg w biustonoszu! Jesteś pewien, że to nie była dojna krowa?

- Law... Masz coś do kobiet o pełnych kształtach? - odezwała się Persefona Woodgate, podnosząc wzrok znad książki.

Jej wzrost wymuszał poważanie, a oczy o dziwnym wykroju i oliwkowy kolor skóry

niepokoiły współlokatorów. Ktoś bardziej wykształcony i doświadczony mógłby niechybnie rozpoznać w Persefonie cechy półdrowa, młodzieży z prywatnej szkoły madame Flageolet natomiast wystarczyło określenie, że Woodgate jest „inna”. Z tym że, inaczej niż w przypadku Margerity, owa „inność” nie robiła z niej wyrzutka. Po prostu nie było nikogo, kto odważyłby się wyrzucić skądkolwiek Persefonę Woodgate.

- Ona przynajmniej ma na czym nosić stanik, w przeciwieństwie do niektórych obecnych tu osób. A tak przy okazji, przysłali ci już ten eliksir na powiększenie atrybutów, który onegdaj zamówiłaś? - ciągnęła Persefona, a w jej tonie czaiły się aluzje zakrwawionych ostrzy, trucizn i dołów ze skorpionami.

- Czego? - najeżyła się Lawinia.

- Cycków, Boyd, cycków - rzuciła Persefona niedbale, przewracając stronę. - Przepraszam, powinnam mieć na uwadze, żeby się do ciebie zwracać twoim językiem. Każdemu według potrzeb jego.

Towarzystwo w salonie zarechotało radośnie. Wszystkim doskonale utkwily w pamięci katastrofalne wyniki eksperymentu Lawinii, która w trzeciej klasie próbowała sobie powiększyć biust trefnym zaklęciem z periodyku „Magia i Uroda”, po czym wylądowała w izolatce z piersiami długości dwóch metrów, a do tego pokrytymi łuską. Do końca roku nazywali ją wtedy Flądą, co doprowadzało dziewczynę do łez wściekłości. Wkrótce większość zebranych robiła ustami „rybkę”. W rezultacie obrażona Lawinia wyniosła się do sypialni, a reszta już w zasadzie nie pamiętała, od czego zaczęła się cała sprawa. Oprócz Renauda Apollona Loussiera, rzecz jasna.



Pośrodku zastawionego wszelakim jadłem stołu siedziała posągowa dziewczyna w kusej koronkowej bieliźnie. Zanurzała dłonie w stojącym obok torcie, a potem oblizywała kolejno każdy palec z bitej śmietany, patrząc na Renauda oczami niebieskimi i chłodnymi jak dwa jeziora.

- Chodź do mnie - powiedziała, wyciągając ramiona. - Chodź, pocałuj mnie mocno. Pragnę cię.

Jej usta były czerwone od lukrowych różyczek. Powoli, zmysłowo rozsmarowywała biały krem po nagich ramionach i piersiach ledwo przysłoniętych koronkami.

- Jestem taka słodka... chcesz tego. Chcesz, prawda?

Loussier westchnął przez sen uszczęśliwiony i oblizwał się ze smakiem. Jego nozdrza drgały, łowiąc wyimaginowaną woń kremu śmietankowego i czekolady. Słodkie wargi

dziewczyny były coraz bliżej.



Margerita błdziła w lustrzanym labiryncie, który zdawał się nie mieć końca. Ku swemu potwornemu zawstydzeniu, miała na sobie wyłącznie majtki. Na dodatek były to te straszliwe, barchanowe majtasy z gumką. Margerita zasłaniała piersi rękami, szukając wyjścia spomiędzy zwierciadeł, wściekła i nieszczęśliwa. Raptem w jednym z luster pojawiła się postać wysokiego, muskularnego chłopaka.

- Przepraszam - powiedział, patrząc na nią.

- Przepraszam - rozległo się z drugiej strony. Ten sam chłopak spoglądał z następnego lustra.

- Przepraszam...

- Przepraszam...

- Przepraszam...

Postacie Loussiera mnożyły się w dziesiątki i setki, otaczając Margeritę nieprzebranym tłumem. A potem niespodzianie poczuła ramiona otaczające ją od tyłu, czyjś - jego! - oddech na ucho i usta pożądliwie przywierające do jej szyi, a potem wilgoć języka, przesuwającego się po wrażliwej skórze.

- Co ty ro... - jęknęła słabo.

- Mrrrrrrrrrrrr... - odparł Loussier.

Margerita poczuła, że sen rozwiewa się, ale mruczenie i wilgoć na szyi należały do świata jawy. Na pół śpiąca, sięgnęła ręką i natrafiła na coś miękkiego.

- Anette! Do diabła, pilnuj tego swojego cholernego kota, bo nie ręczę za siebie! Nie bierz go do sypialni, bo powiem Fasoli!



Brokuł na talerzu Margerity otworzył parę zielonych ślepek i zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem. Margerita zawahała się, niezdecydowanie machając widelcem nad oczastym warzywem. Zerknęła szybko na boki, kontrolując współbiedników, ale nikt na nią nie patrzył. Czowała się nieswojo. W głowie jej huczało i, o dziwo, nie miała apetytu. Na widok brata opychającego się fasolką robiło jej się mdło. Boyd dystyngowanie spożywała tosta z marmoladą pomarańczową, wytwornie odginając paluszek.

Kretynka, pomyślała Margerita, ponownie kierując wzrok na własny talerz.

- Co chcesz zrobić? - spytał brokuł surowo.

- Zjeść cię, oczywiście! - syknęła. - Głupie żarty.

- Morderczyni! Kanibalka!!! - odwrzasnął gromko, aż dziewczyna się wzdrygnęła i błyskawicznie nakryła talerz miską, w której jeszcze pozostała resztką sałatki.

- Ho fy hofif? - zdziwiła się Phoebe z pełnymi ustami.

- Nic... - bąknęła Margerita, podnosząc miskę i gapiąc się na warzywo, które wyglądało już całkiem normalnie.

(Oczywiście pomijając to, że brokuły na ogół mają lekko podejrzaną aparycję ufarbowanego kalafiora).

Ciekawe, czy to był czyjś kawał, czy ja już wariuję z głodu? - pomyślała z rezygnacją i odsunęła talerz. Zupełnie straciła apetyt na cokolwiek.

Żołądek Margerity von Selerberg przespał przedpołudniowe lekcje, a obudził się dopiero wtedy, gdy jego właścicielka zasiadła do „świętej herbatki”, serwowanej każdego dnia punkt dwunasta razem z kruchym rogalikiem. Tuż obok grupka dziewcząt z niższej klasy świergotała nad jakimś artykułem w „Magii i Urodzie”, traktującym bodajże o nowych sposobach i interpretacjach wróżenia z fusów.

- W ogóle nie powinno się używać herbaty czarnej, jedynie zielonej liściastej - tokowała z przejęciem jakaś kędzierzawa lolita, zerkając do pisma. - Zakręcasz naczyniem o tak... a potem należy włączyć wewnętrzne oko...

Margerita bez szczególnego zainteresowania zajrzała do swojej filizanki, usiłując wysilić wewnętrzne oko, po czym ujrzała w fusach na jej dnie pieczonego kurczaka i upuściła naczynie na dywan.

Dzień ciągnął się niemiłosiernie, a półoblakana z głodu dziewczyna snuła się z lekcji na lekcję, automatycznie wykonując polecenia nauczycieli i partoląc jedno ćwiczenie po drugim. Ignorowała pytania ze strony koleżanek albo odpowiadała coś ni w pięć, ni w dziewięć, marząc tylko o tym, by już nadeszła cisza nocna i by mogła się położyć. Kiedy spała, zapominała, że jest głodna.

Ostateczna katastrofa - a przynajmniej Margerita uznała ją za kulminacyjną - nadciągnęła tuż po obiedzie, na który nie poszła, gdyż doszła do wniosku, że nie zdoła znieść widoku uczniów obżerających się jak stado pawianów. Zamiast tego ukradkiem spożyła sucharek i małą marchewkę w zaciszu biblioteki. Wybrała regał z literaturą Bayrabii, gdyż pismo robaczkowe na grzbietach książek było ostatnią rzeczą, która mogła skojarzyć się z jedzeniem.

Ricky von Selerberg stał sobie spokojnie przed pracownią alchemiczną i czekał na lekcję, konsumując ze smakiem małe babeczki kokosowe z papierowej torebki, gdyż zostało mu w

brzuchu jeszcze trochę miejsca, które miał szczerzy zamiar wypełnić. Nagle ten spokój został zmacony przez zjawisko tyleż niespodziane co przerażające: w odległości kroku stała jego własna siostra i patrzyła na niego nawiedzonym wzrokiem, śliniąc się jak wilkołak. Ricky'emu kęs babeczki nagle urósł w ustach.

- N-no co...? Co ty?! - wybełkotał, cofając się mały kroczek i przyklejając plecami do ściany.

Margerita w amoku wyrwała mu z ręki połówkę ciastka i pożarła jednym chapnięciem. Ricky wzdrygnął się nerwowo, kiedy wydarła mu z drugiej ręki torebkę, po czym w błyskawicznym tempie pochłonęła pozostałe trzy babeczki, dławiąc się z pośpiechu i brudząc kremem. Uczniowie w milczeniu obserwowali ze zdumieniem i zgrozą ten niespodziany pokaz. Chłopak odruchowo schował ręce za siebie, gdyż nie miał pewności, czyjego oszalałej siostrze starczą słodycze i czy nie zaczną następnie odgryzać mu palców.

- Marge... - zaszemrał rozpaczliwie. - Marge... dobrze się czujesz...?

Margerita oblizwała skrupulatnie palce, po czym jakby się ocknęła. Potoczyła wzrokiem dokoła, spojrzała na pustą torebkę po ciastkach i nagle zaczęła szlochać. Rzuciła papier na posadzkę i pobiegnęła kłusem do damskiej toalety, zanosząc się płaczem.

Ricky został z wytrzeszczonymi oczami i opadł z przerażenia szczęką, przeświadczony, że oto spełniły się jego najstraszliwsze obawy i jego siostra zbzikowała do reszty. No i jak on ma o tym napisać mamie?

Zanim Margerita umyła się i doszła do siebie po wymuszonych wymiotach, minęło dobre piętnaście minut. Spóźniła się na alchemię, co dało nauczycielowi okazję do wygłoszenia zgryźliwego komentarza i wlepiania jej szlabanu. Reszta lekcji przebiegała normalnie, przynajmniej jeśli chodzi o część teoretyczną. Margerita słuchała jednym uchem wykładu, robiąc niemrawo notatki, doskonale świadoma tego, że trzy czwarte klasy gapi się na nią z ciekawością, a zagorzałe plotkary wymieniają liściki pod ławkami, obgadując ją zawzięcie. Pieprzony Ricky z jego pieprzonymi ciasteczkami... Mają nowy temat i będą go wałkować wte i wewte. Właściwie powinna już się przyzwyczaić. W drugiej klasie ktoś wymyślił historyjkę, że tak naprawdę urodziła się jako chłopiec, ale rodzice ją kazali przemienić jakimś pokątnemu czarodziejowi, bo woleli dziewczynkę zamiast drugiego chłopaka. W trzeciej zaczęła uprawiać boks i z tego powodu niemal jednogłośnie uznano ją za lesbijkę. W czwartej podczas wycieczki do zoologu nie chciał do niej podejść jednorożec, co wywołało nową falę plotek. Jeśli teraz otrzyma etykietkę wariatki, nie będzie to szczególnie oryginalna teoria.

- Na dzisiejszej lekcji przygotujemy miksturę ochronną typu Dziewięć B na bazie tynktury

alkoholowej - brzęczał monotonie profesor Kaufmann. - Panie Wanger, co ochraniają substancje typu Dziewięć B?

- Eee... skórę?

- Od zadawania pytań ja jestem, Wanger. Proszę otworzyć podręcznik na stronie pięćdziesiątej szóstej. Przy uzyskiwaniu owego preparatu wykorzystywany jest standardowy pentagram barbieloński lub siedmioramienny wishnywański. Woodgate, nie jedz kredy, ja wszystko widzę...

Margerita wzruszyła lekko ramionami, niemrawo rysując pentagram na stole. Nic nowego, Woodgate miała obsesję na punkcie kredy i w ogóle jadła różne niestrawne rzeczy. Może stąd u niej taka dziwna cera.

Rozstawiła mały zestaw alchemiczny, lokując główną kolbę pośrodku pentagramu, a potem zapaliła spirytusowy palnik. Była nieco otepiała. Przebijała się przez treść instrukcji w podręczniku, czytając jedno zdanie po trzy razy i zapominając je po chwili. Dodać sproszkowanego lazurytu... jedną czy dwie uncje? Niebawem ciecz w kolbie przybrała barwę ochry i zaczęła wydzielać paskudny zapach. Margerita zajrzała na stanowisko sąsiadki, gdzie buzował preparat w kolorze smoliście czarnym, nie miała jednak pewności, czy było to prawidłowe.

„Płyn w końcowej fazie powinien przybrać kolor pomarańczowy - patrz wzornik, próbka nr 6” - przeczytała końcowe zdanie. To, że jej substancja wyszła jaśniejsza, jakoś Margerity zupełnie nie pocieszało, bo eliksir ochronny typu Dziewięć B śmierdział szatańsko. Przed oczami zaczęły jej pływać drobne srebrne gwiazdki. Było jej coraz bardziej duszno i mdło, a w dodatku uwierał ją gorset. W końcu cała sala lekcyjna przechyliła się na bok. Zanim wszystko pograżyło się w mroku, Margerita usłyszała jeszcze:

- O, gruba się wykopyrtnęła...! I wystraszony okrzyk brata:

- Marge...!



Obudziła się w znajomej sali ambulatoryjnej, w momencie gdy pielęgniarka podsunęła jej pod nos sole trzeźwiące. Leżała w łóżku, odziana w niegustowną szpitalną koszulę nocną.

- Niedotlenienie i zagłodzenie - rzekła surowo sanitariuszka. - Coś ty sobie myślała, moja panno? Że można żyć powietrzem? A te siniaki na żebrach od fiszbinów? Ach, te dzisiejsze nastolatki, nic tylko diety i umartwienia. Zupełnie jakby to było coś warte - gderała.

Pod czujnym okiem szkolnej służby zdrowia Margerita wypila esencjonalny rosół z wołowiny i pomyślała z rezygnacją, że skoro już zawałiła dietę, to równie dobrze może

zacząć jeść normalnie. Rosół jej smakował. Bez oporu pozwoliła wepchnąć w siebie syropek wzmacniający i puree z zielonego groszku, a potem spytała, czy jest coś na deser. Jej żołądek, katowany od tygodnia selerem oraz brokułami, krzychał wielkim głosem „wolność, wolność!” i żądał nadrobienia zaległości.

- A tak nawiasem mówiąc, śliczna bielizna, kochanie - zauważyła sztucznie niedbałym tonem pielęgniarzka. - Spróbuj się przespać z godzinę, zanim cię wypuszczę. Albo po prostu odpocznij. Tu masz coś do poczytania.

Położyła na kołdrze jakąś cienką broszurkę, po czym wyszła, rzucając dziewczynie na odchodnym znaczące spojrzenie.

Margerita nieufnie zerknęła na blad różową okładkę i przeczytała tytuł: Co zrobić, by nasiono owocu nie wydało, czyli o nowoczesnej antykoncepcji.



Był wtorek, Margerita miała więc swoją wolną godzinę w sali ćwiczeń i postanowiła ją wykorzystać, mimo że jako rekonwalescentka mogła sobie z czystym sumieniem odpuścić trening. Jednakże zdecydowała, że skoro nie jest urodziwa, będzie przynajmniej wysportowana i godna szacunku - nawet jeśli będzie to szacunek bardzo nikłego grona osób. Na przykład jej kochający brat, zajrzawszy raz do separatki i przekonawszy się, że siostra go nie odumrze, nie zawracał sobie nią więcej głowy, a nawet - doprawdy, szczyt troskliwości! - śmiało przypomnieć, że jest mu winna cztery ciastka.

Margerita z samozaparciem wykonywała ćwiczenie siłowe, w jednej ręce dźwigając hantle, a drugą przewracając kartki pisemka „Magicienne Esthetique”.

- W sezonie zimowym nadal modne są suknie o nieco obniżonej talii - przeczytała Margerita półgłosem i skrzywiła się kwaśno. - Trzeba jeszcze mieć talię...

Modelka na fotografii zdecydowanie posiadała talię i bezwstydnie ją eksponowała, ku frustracji Margerity. Zapewne w pojęciu projektantów z „Esthetique” przymiotami kobiety eleganckiej powinny być makijaż grubości solidnego muru obronnego i biust, który robił wrażenie, że żyje na własny rachunek. W wyobraźni Margerity mignął smakowity obrazek, jak sprężone do granic możliwości atrybuty kobiecości katapultują się z satynowego więzienia z głośnym „pong”. Zachichotała złośliwie.

- Dwadzieścia cztery... dwadzieścia pięć... - wymamrotała i przełożyła hantle do drugiej ręki. - Jeden... dwa...

Z lustra spojrzało na nią odbicie tęgiej dziewczyny w szarym podkoszulku i czarnych szarawarach. Margerita obejrzała się krytycznie z profilu, wciągnęła brzuch, wypięła pierś, po

czym westchnęła ciężko i wróciła do postawy „spocznij”. Zniechęcona, porzuciła ciężarki i zaczęła ćwiczenia rozciągające. Ale co jej przyjdzie z tej gimnastyki, skoro i tak od niej nie schudnie ani nie zmaleje? W końcu włożyła rękawice i z lekkim rozrzwieniem przeczytała napis na mankiecie: „Mojej kochanej Margerytce na urodziny, Tatuś”. Tato był kochany.

Powtarzał przy każdej okazji, że dla niego Margerita zawsze pozostanie słodką małą dziewczynką. Widać do taty nie docierało do końca, że jego mała dziewczynka ma już około metr osiemdziesiąt wzrostu i waży ponad sto czterdzieści funtów. Margerita przymknęła na chwilę oczy i wyobraziła sobie, że worek treningowy jest tą obrzydliwą, wymuskaną kretynką Lawinią Boyd, po czym wyprowadziła elegancki prawy prosty. Worek-Lawinia odpowiedział głuchym „dumd”, które zabrzmiało cudowną nutą w uszach ambitnego dziewczęcia. Przez dobre dziesięć minut Margerita masakrowała worek. Odgłosy ciosów odbijały się lekkim echem od gontyckiego sklepienia, a magiczne lustro niezupełnie w takt zawodziło rzewną szansonetkę: *Te jeej czaame ooczyyy, takie pięęękne oooczyyy...* To wszystko niemal zagłuszyło pukanie do drzwi. Margerita nastawiła uszu. Stukanie powtórzyło się. Na Morgane, któż to mógł być o tej porze? I na dodatek puka? Każdy z uczniów wlaźby tu jak do stodoły, nie zwracając sobie głowy żadnymi niuansami towarzyskimi. Ktoś z nauczycieli? Nauczyciele pukali, owszem, ale tylko do drzwi sypialni uczennic. Żaden nie zapukałby do siłowni!

Margerita błyskawicznie ściągnęła rękawice, w panice rozglądając się po komnacie. „Magicienne Esthetique” wylądowało za kufrem ze sprzętem sportowym, a porozrzucane na ławce fotografie co ładniej zbudowanych zawodników z Boxing Society szybko zakryła mundurkiem. W końcu drżącymi rękami zdjęła blokadę z drzwi.

- Proooszę!

Uchyliły się powoli, a w szparze ukazało się oblicze (a właściwie jego połowa) Renauda Loussiera. Loussier niepewnie zerknął na Margeritę spod jasnej, zmierzwionej grzywki, której niesforne kosmyki wlażyły mu niemal do oczu. Z jakichś powodów wołał tę niestaranną fryzurę zamiast używania pomady, jak to czyniła większość zblazowanych siódmoklasistów.

- Cz-cześć - zająknął się chłopak. - Mogę?

- Cześć, Loussier. Znów czegoś zapomniałeś?

- Nie... tak. Yyy... no tak, zapomniałem.

Wszedł, rozglądając się niepewnie po ścianach i suficie, jakby pierwszy raz widział tę salę na oczy. Margerita postanowiła go zignorować i zajęła się powtórным zakładaniem rękawic, mruczając pod nosem zakłęcie wiążące.

- Eee... dobrze się czujesz? - wydukał Loussier.

- A co cię to obchodzi?

- Eee... No bo... podobno zemdlalaś na alchemii i pomyślałem, że przyjdę...

Margerita konsekwentnie starała się nie patrzeć na chłopaka. Ku swej złości i zawstydzeniu czuła, że pali ją twarz. Niewątpliwie była czerwona jak burak. Głupi palant, czego się czepia? Wystarczy, że musiała znosić badawcze spojrzenia rzucane jej w klasie i wysłuchiwać szeptanych za plecami komentarzy.

- Świetnie, Loussier, świetnie - warknęła. - A teraz bądź łaskaw wziąć to, po co przyszedłeś, i spłynąć.

Ale Loussier jakoś nie spływał. Stał jak kołek przy drzwiach, miętosił w łapach jakiś skrypt i gapił się na nią. Margerita z furią rąbnęła lewym sierpowym, poprawiła prawym prostym, a potem wyprowadziła tylne kopnięcie okrężne. Ze złości całkiem nieźle jej wyszło, uznała. Usłyszała, że Loussier znów coś gędzi.

- Nie wiedziałem, że trenujesz boks.

- Boks krasnoludzki - uzupełniła.

- Eeee... myślałem, że oni używają ten, no... toporów, a nie rękawic...

Margerita wydała pogardliwe „fff”.

- W wersji ofensywnej używają. W sportowej nie, za dużo sprzątania - wyjaśniła oziębło.

- Aaaa... aha.

Loussier obserwował ją przez kilka minut, jak na zmianę ćwiczy rozmaite rodzaje ciosów i kopnięć.

- Wiesz, ja... - wymamrotał - ja sobie tak myślę, że może byśmy mogli...

Margerita zrobiła głęboki wdech i ustawiła się w pozycji do kopnięcia z obrotem.

- ...się umówić - dokończył Loussier, uparcie wpatrując się w czubki swoich butów.

TAK! - wrzasnęła w duchu, czując, jak jej serce robi szalone salto.

- Nie - rzuciła sucho na głos, odwracając się do chłopaka. - Loussier, odwalilo ci?

- Y-y, nie. Nie, nie. Eee... bo wiesz, no... - zaczął się jąkać nerwowo. - Bo ja trochę boksuje z bratem... eee... w każde wakacje, no nie. Ale to normalny boks, nie taki ten... A tutaj, to tego... brakuje mi sparringpartnera, no nie. Nikt się nie nadaje. Wszyscy mają odpał na krykieta albo polo, no nie. A jak się raz Mancini zgodził, to mu mało nosa nie przestawiłem, bo się nie umiał zasłonić, młotek jeden...

Margerita obrzuciła Loussiera taksującym spojrzeniem. Był zbudowany jak niedźwiedź. Wyższy od niej o dobre pół głowy, szerszy i cięższy o jakieś dwadzieścia funtów. No, ale darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby. Ostatecznie miała ten sam problem co on. Jediną dziewczyną, która dorównywała jej wzrostem i siłą, była Persefona Woodgate, ale Woodgate

grała w damskiej drużynie krykieta, a poza tym trenowała szermierkę i na proponowanie jej sesji krasnoboksu szkoda było tracić ślinę.

- Nam nie wolno ćwiczyć razem - powiedziała z wahaniem. - Wiesz, co zarządziła Flageolet.

- No wiem - zgodził się chłopak i zarumienił się lekko. - Ale to przecież nic złego. Nic takiego nie będziemy robić.

Szkoda, pomyślała Margerita i natychmiast za karę postanowiła zrobić dodatkowe dwadzieścia pompek.

- Dobra, jak jesteś taki macho, to wkładaj ochraniacze i zobaczymy, na co cię stać.

Renaud chętnie pozbył się szkolnej marynarki i swetra, zostając tylko w brązowych bryczesach i białym podkoszulku. Wykazywał pięściarskie odruchy i z początku nie umiał się bronić przed kopnięciami, więc dziewczynie udało się kilka razy trafić go dość mocno w udo. Potem jednak złapał rytm i blokował wszystkie jej ciosy.



Renaud Apollon Loussier usiłował ustalić położenie swoich organów wewnętrznych i uznał w końcu, że prawdopodobnie znajdują się gdzieś w okolicach jego kolan, w formie szczątkowej. Czuł się, jakby przejechał go wóz z węglem. Po ćwiczeniu bloków Selerberg kazała mu włożyć drugą parę rękawic i zaczęli walkę próbną. Po raz pierwszy w życiu bił się z kobietą i był kompletnie wytracony z równowagi widokiem jej mięśni przesuwających się gładko pod skórą na ramionach oraz kołyszącym się w zasięgu wzroku biustem. Na dodatek głęboko zaszczepiony szacunek dla płci pięknej nie pozwalał mu pokazać pełni swych umiejętności. Selerberg za to nie miała takich obiekcji i prąta go bezlitośnie. Piekielna Fasola miała rację! Wspólne ćwiczenia gimnastyczne chłopaków i dziewczyn powinny być zakazane ustawowo i obłożone klątwą jako wysoce niebezpieczne dla zdrowia (głównie psychicznego).

Von Selerberg wyglądała jak... jak Walkiria. Brakowało jej tylko hełmu z rogami i blaszanego biustonosza. Zwłaszcza biustonosza. Przepełniona koszulka przykleiła się jej do ciała, ujawniając to i owo. Zapach potu, męskich i żeńskich feromonów wisiał w powietrzu gęstą chmurą, a chemia M i chemia R obwąchiwały się nawzajem, zawierając pierwszą znajomość na poziomie cząsteczkowym. Renaud czuł mrowienie skóry i lekkie zawroty głowy, i modlił się do nieokreślonych bliżej bóstw, by dziewczyna nie spojrzała dokładniej w niższe rejony, gdyż wtedy byłby skompromitowany do końca życia. Co go opętało, by proponować jej sparing? Chyba upadł na głowę. Powinien teraz siedzieć w pokoju i grzecznie zakuwać alchemię, a nie... ŁUP!

- Loussier - odezwała się Selerberg z przekąsem. - Czy ty chciałeś się ze mną bić, czy mnie obmacywać? Bo na razie ruszasz się jak mucha w miodzie.

Obmacywać, pomyślał Renaud, leżąc na podłodze i licząc gwiazdy. Tfu! Co mu chodzi po głowie? Kretyn...

- Mam cię zebrać szufelką?

Nad chłopcem tkwiło surowe oblicze Margerity von Selerberg i para jej... jej... tych...

- Masz... masz piękne... - usłyszał sam siebie i z ogromnym wysiłkiem usiłował wtłoczyć z powrotem uciekające mu z ust słowa. - Piękne tricepsy - jęknął.

Margerita spłonęła rumieńcem jak polna różyczka.

W tejże chwili skrzypnęły cicho drzwi i rozległ się sarkastyczny głos madame Gautier-Flageolet, powszechnie za plecami zwanej Fasolą.

- Co tu się dzieje?

- Ćwiczyliśmy, madame - odpowiedziała Margerita ugrzecznionym tonem i dygnęła.

- Łamiąc przy tym moje zarządzenie. Pięknie, pięknie. Gratuluję odwagi.

- Boks jest sportem kontaktowym, madame - odezwał nic Loussier z poziomu podłogi. - Nie można go trenować w pojedynkę, proszę pani.

- Kolega Loussier był tak miły, że zaproponował mi wspólne treningi - uzupełniła Margerita, na próżno usiłując wyglądać niewinnie.

- Czy „kolega Loussier” wstanie, czy mam posłać po pielęgniarkę? - spytała dyrektorka.

- Wszystko w porządku - zapewnił szybko Renaud, zbierając się z podłogi. - To był wypadek. Ona jest... eee... naprawdę delikatna.

Madame Flageolet popatrzyła w niemym zdumieniu na delikatną pannę von Selerberg. Mimo że starała się być obiektywna, ta dziewczyna zawsze niejasno kojarzyła jej się z czymś dużym, masywnym, bynajmniej nie delikatnym... szarym i wachlującym się uszami. Nie uszło też jej uwagi, że Loussier wpatruje się w nią cielecym wzrokiem. Przekłete hormony, pomyślała, a głośno rzekła:

- Zwracam uwagę szanownych sportowców, że jest już jedenasta. Od godziny powinniście być w pokoju wspólnym, o ile nie wręcz w łóżku. Każde w swoim - dodała ironicznie.

Zaniepokojone spojrzenia.

- Skoro tak uwielbiacie to miejsce, jutro poświęćcie godzinkę na umycie podłogi i okien. Osobno.

- Ale jutro Walentynki - wyrwało się Loussierowi.

- Masz jakieś plany na jutro, panie Loussier? Jaka szkoda, że muszę je popsuć - zadrwiła dyrektorka.



Dziesięć minut później Margerita tkwiła pod prysznicem, w kłębach ciepłej pary, mydląc się obficie. Jej ręce błądziły po ciele, rozprawdzając pachnącą pianę, natomiast umysł zajęty był bez reszty nowym sparingpartnerem. Loussier... Na Morgane, jak on właściwie ma na imię? Niemal pięć lat spotyka go w szkole i nadal tego nie wie. Koledzy mówią mu chyba Ren. To zdrobnienie od czegoś. Od czego? Margerita się uśmiechnęła. Był po prostu rozbijający. Wielki, umięśniony, a bał się ją mocniej pukać. Taki duży, pocziwy pluszowy niedźwiedź. Misio... misiulek... I te mięśnie... W beznadziejnym szkolnym uniformie nie widać, jak ładnie jest zbudowany. Dłonie dziewczyny zatrzymały się na szczytach piersi, po czym podjęły na nowo swą wędrówkę po śliskiej od mydła skórze. Powoli. Bardzo powoli. Margerita westchnęła głęboko, odchylając głowę do tyłu i przymykając oczy.



Dokładnie trzy metry od Margerity znajdował się Renaud, choć równie dobrze mógł być na biegunie południowym, gdyż rozdzielała ich gruba ceglana ściana pomiędzy łazienką męską i damską. Usiłował obdrzeć się ze skóry za pomocą szczotki i mydła marki „Skrzacik”. Selerberg... Nie, Margerita. A najlepiej Rita!

Właściwie to zachował się jak kompletny baran. „Masz piękne tricepsy”! Powinna go wyśmiać jak stąd do Nowego Barbielonu i z powrotem. Nigdy nie był dobry w komplementowaniu dziewczyn (prawdę mówiąc, nawet nigdy nie próbował ich komplementować), ale tym razem pobił własny rekord głupoty. Jeszcze dziś rano Renaud nie snuł żadnych planów dotyczących jutrzejszych Walentynek, ale teraz owszem, miał jakieś. Czuł, że narasta w nim bunt. Dlaczego Fasola zakładała, że on, Renaud Loussier, nie ma na ten dzień żadnego damskiego towarzystwa?

I dlaczego nie mógłby spędzić Walentynek z kimś sympatycznym? I czemu nie właśnie z Margeritą von Selerberg? Co prawda ta fałszywa wydra, Lawinia Boyd, nazywała ją za plecami „pasztetem”, ale sama była chuderlawym wypłoszeni, którego Renaud nie mógłby dotknąć w obawie, że złamie mu jakąś kość. Rita była solidnym kawałkiem kobiecości. Jej nie bałby się wziąć za rękę podczas spaceru. Albo objąć i spojrzeć w te błękitne oczy. I może nawet... pocałować?

Renaud wstrząsnął się i spojrzał z konsternacją w dół. Do licha... Osiemnaście lat to naprawdę kłopotliwy wiek. Zdecydowanym ruchem sięgnął do kranu i zmienił prysznic z ciepłego na lodowaty.



Menu śniadaniowe czternastego lutego prezentowało się dość zwyczajnie, natomiast absolutnie nie można było nazwać zwyczajnym świątecznym wystroju jadalni. Nad każdym stołem polatywały różowe pękate serduszka - niewątpliwie zamówione w jakiejś firmie czarodziejskiej, gdyż od czasu do czasu migała między nimi reklamówka *Beauty & Funny - dekoracje i rewelacje, niskie ceny*.

Ponadto na każdym stole stało po kilka wazoników z oszałamiająco pachnącymi bukietami róż. O ile samym różom nic nie dało się zarzucić, o tyle ich magicznie wzmocniony zapach przesiąkał absolutnie wszystko. Cała jadalnia pachniała jak gigantyczna fabryka perfum, ewentualnie sen pijanej pszczoły.

Margeritą z lekkim obrzydzeniem przełknęła woniejący różami kawałek bekonu i popiła go różanym mlekiem. Jeden rzut oka na stół nauczycielski przekonał ją, że lwia część personelu ma do natrętnych kwiatków podobny stosunek jak ona. Madame Rosenkranc, pielęgniarka, tonęła w chusteczce, zmagając się z alergią, a alchemik profesor Kaufmann sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał zwymiotować. Reszta wyglądała równie nietęgo. Tylko madame Flageolet promieniała niezmaconym szczęściem, co dawało podstawy do podejrzeń, że pomysł z bukietami i serduszkami był jej autorstwa.

Zwykle przy porannym posiłku rozdawano pocztę, lecz tym razem, z okazji święta zakochanych, dyrekcja zorganizowała oryginalną formę doręczenia, zamawiając sporą liczbę tresowanych białych gołębi. Z powodu zagęszczenia kwitujących serduszek miały trudności z nawigacją i niejeden lądował awaryjnie w czyimś talerzu. Nawet wśród nauczycielskiej poczty widać było charakterystyczne różowe koperty.

Uszczęśliwiona Lawinia Boyd szebiotła nad rosnącym stosikiem kolorowych walentynek, klejąc się do Rinalda, który uśmiechał się półgębkiem, jakby go coś bolało. Persefona Woodgate i Janus Moon nie wygłupiali się z gołębiami - po prostu wymienili się kartami przy stole, pieczętując to uśmiechem i pocałunkiem. A potem zaczęli znów gadać o krykiecie. Margerita westchnęła, nie wiedząc właściwie czemu. Pół szkoły plotkowało o tym, że Woodgate sypia z Moonem, chociaż nikt ich nigdy na tym nie przyłapał. Nawet teraz wyglądali jakoś tak... skromnie. Jedli powoli, rozmawiali, siedząc blisko siebie; czasem dotykali się ramionami. Margerita patrzyła na nich ukradkiem, zastanawiając się, dlaczego właściwie ta para wzbudza tyle emocji, w przeciwieństwie do Ricky'ego i Lawinii, która wręcz ostentacyjnie obnosiła się ze swymi uczuciami wobec dziedzica majątku von Selerbergów. Prawie nikt nie snuł żadnych domysłów o życiu intymnym Ricky'ego. Zresztą,

o ile Marge znała swego brata, nie było czego snuć.

Margerita jeszcze raz przyjrzała się „obiektem” i zrozumiała istotę problemu. Między Persefona i Janusem Moonem wyraźnie iskrzyło - kochali się każdym gestem i spojrzeniem, aż Margerita poczuła, że się rumieni; za to w Rickym było akurat tyle uczucia co w marynowanym śledziu. Ha... nic dziwnego, seks ze śledziem, też coś!

Margerita melancholijnie przeżuwała swoje jajka na bekonie, patrząc na jakąś smarkulę z pierwszej klasy, która oglądała kartę walentynkową, kwicząc z radości. Głębokie westchnienie wezbrało w obfitej piersi panny von Selerberg, by nagle przemienić się w pełne zdumienia sapnięcie. Niewielki gołąb wylądował przed nią na stole, wywracając wazon i gramoląc się w powodzi kwiatnych płatków. W dziobie trzymał blad różową kopertę.

- Sio - mruknęła Margerita. - Pomyliłeś się.

Gołąb był jednak uparty, włożył Margericie na ramię i usiłował wsadzić jej list do ucha. Nie pozostawało nic innego jak odebrać pocztę. Margerita z sercem w gardle otworzyła list i wyjęła swoją pierwszą w życiu walentynkę. To pewnie jakiś głupi żart, pomyślała, starając się wyglądać tak, jakby czytanie walentynek stanowiło dla niej chleb powszedni. Na kartce wymalowane było błyszczące serce z wyraźną rozedmą przedsionków oraz machający łapką niedźwiadek z bukietem jakichś niezidentyfikowanych kwiatków. Margerita spojrzała do środka, gdzie ktoś narysował piórem uśmiechnięte kudłate słoneczko. Pod spodem widniało tylko jedno zdanie: *Spotkajmy się w pubie Edelweiss w sobotę o trzeciej*. Podpisu brakowało.

Margerita z mocno bijącym sercem złożyła pocztówkę. Jeśli jej *oczy* nie myliły, trzymała w ręku zaproszenie na randkę. Na randkę? Jeszcze raz zajrzała do środka. Nie myliły... Walentynki w tym roku wypadały w piątek, więc w sposób zupełnie naturalny święto przedłużono do soboty, kiedy panowie będą mogli bez przeszkód zabrać swe panny na tańce. Kto chciałby spotkać się z nią w pubie? Ostrożnie spojrzała w stronę Loussiera. Chłopak podparł głowę ręką i jadł owsiankę z takim zapalem, jakby uczestniczył w Owsiankowych Mistrzostwach Świata, przy czym za zajęcie drugiego miejsca skazywano na pracę w kopalni miedzi na bardzo niekorzystnych warunkach socjalnych. Głupie dowcipy, doszła do wniosku Margerita. Wetknęła kartkę do kieszeni szkolnego żakietu i łyknęła mleka, choć straciła ochotę na cokolwiek jadalnego. Nigdzie nie pójdzie. Nikt nie zabawi się jej kosztem.



Schweingehoelz wyglądało jak świąteczna pocztówka. W rodzinnym Selerbergu Margerity śnieg o tej porze leżał całymi zwałami, sięgając nierzadko ramion, i głównym sportem zimowym w tamtej okolicy było kopanie tuneli. (A podczas przelotnych odwilży rzut soplem

w dal i do celu).

Natomiast tutaj panował lekki mroziak, a pokłady bieli chrzęściły pod nogami w rozsądnej ilości. Jakby na zamówienie (może zresztą faktycznie działało tu jakieś zakłęcie pogodowe) nad miasteczkiem od rana świeciło słońce, krzesząc wesołe błyski na niewielkich zaspach. Margerita zajrzała do księgarni i nabyła dwie książki. Jedna była cienką broszurą o międzynarodowych zawodach w krasnoboksie, druga natomiast nosiła obiecujący tytuł *Gdyż jesteś mój* i Margerita szybko upchnęła ją do kieszeni, zanim ktokolwiek zdołałby rozpoznać „dzieło”. Przed sklepem z ciuchami spotkała koleżanki i całą paczką władowały się do środka. Rozchichotane, zarumienione od mrozu jak jabłka, od razu wzięły na języki przedpotopową modę, prezentowaną na licznych wieszakach. Bezlitośnie obśmiały wysokie kołnierzyki i spódnice do kostek „jak u zakonnice”, po czym płynnie przeszły do obgadywania sposobu ubierania kolegów ze szkoły oraz wszelkich ich walorów fizycznych.

- Taki Mancini, o Boże... mógłby zrobić coś z tymi swoimi zębami - rzuciła Berenice Whitfield, przewracając oczami. - Chciał się ze mną dziś umówić, ale mu powiedziałam, żeby spadał, bo nie gustuję w koniach. Już lepszy byłby Loussier, ale on jest jakiś taki... cicha woda. Z żadną nie kręci, chrzaniony mnich.

- Może on jest, no wiesz... - zawiesiła znacząco głos Lucinda Blair. - Ciepły.

- Myślisz? Szkoda, niezły towar, tylko chesze się jakoś głupawo.

- Loussier jest w porządku - warknęła Margerita półgłosem, grzebiąc w pudełku z podkolanówkami.

- Podoba ci się? - natychmiast spytała Berenice.

- Nie! Ale jest w porządku, jasne? A jak któraś z was jeszcze raz go nazwie zboczeńcem, to jej przywalę w wymalowane oko.

- Dooobra. - Lucinda nadała się, a Berenice wzruszyła ramionami.

- Panienki coś kupują? - spytała chłodnym tonem sprzedawczyni, zatem już w miarę zgodnie zafundowały sobie po parze podkolanówek w modne czarno-białe paski.

Rozłączyły się potem, gdyż Berenice postanowiła dać się poderwać Phillipowi Kingowi, a zazdrosna Lucinda natychmiast zaczęła robić słodkie oczy do napotkanego Leroya Willoughby, wykazując optymizm mocno na wyrost, gdyż Willoughby traktował ją jak psiaka i tylko pozwalał się adorować. Słońce skryło się za chmurami i zaczął sypać śnieg. Zrobiło się zimniej. Osamotniona Margerita postanowiła poprawić sobie humor w sklepie ze słodyczami. Do diabła z dietą, pomyślała buntowniczo, wlokąc się nogą za nogą oblodzonym chodnikiem w stronę ulicy Głównej. Sumienie jednak popiskiwało coś cicho o kaloriach, więc uspokoiła je obietnicą, że znajdzie coś o obniżonej zawartości cukru. Bezmyślnie spojrzała na zegarek.

Dochodziła trzecia. Nie pójdę, pomyślała, zaciskając zęby. Nie, nie. Nienienienie... Absolutnie.

Zdecydowanie okręciła się na pięcie i ruszyła w boczną uliczkę. Włożyła rękę do kieszeni, dotykając schowanej tam walentynki. Przynajmniej dostała tę jedną, co było całkiem miłe, nawet jeśli to po prostu czyjś żart. Oczywiście ta żmija Boyd rozpowiadała potem po kątach, że pewnie „biedna Marge” sama sobie wysłała kartkę, „bo to przecież takie żenujące, że nikt się nią nie interesuje”. Głupia małpa... i tak wszyscy wiedzieli, że wykonała właśnie taki sam numer, o jaki posadzała Margeritę. Marge знаła swojego brata od lat piętnastu i wiedziała, że wysłanie więcej niż jednej kartki walentynkowej zwyczajnie przekraczało męską wyobraźnię Rinalda.

Uliczka nosiła nazwę Zaułka Trucicieli. Od późnej wiosny do jesieni rosły tu w ogródkach rozrośnięte krzewy rozmaitych gatunków bielunia, napełniając powietrze mdląco słodkim zapachem wielkich trąbkowatych kwiatów. Teraz jednak nie było po nich śladu, a uliczka spała pod kołdrą śnieżnego puchu. Margerita zabijała czas, strącając śniegowe czapeczki ze szczytu parkanu. Zajrzała do maleńkiego sklepiku z ceramiką, a potem do równie małej herbaciarni, gdzie zjadła kawałek keksu i wypiła filiżankę herbaty. Na zewnątrz nadal sypało. Margerita podjęła swój bezcelowy spacer.

- Ty! - usłyszała nagle za plecami. - Tyyy, zaczekaj! Selerberg!

Odwróciła się, by ujrzeć zbliżającego się wielkimi krokami Marco Manciniego z siódmej.

- Słuchaj no, młoda... - odezwał się, srogo marszcząc grube brwi. - Może ciebie podnieca to, że robisz Rena w konia, ale mnie nie. Loussier od pół godziny stoi przed pubem i zamarza. Zbieraj dupę w troki i mu przynajmniej powiedz, że nie ma po co tam kwitnąć jak jakiś czub.

Serce Margerity wpadło do brzucha, a potem w towarzystwie żołądka wykonało szaloną czaczę.

- A co mnie obchodzi Loussier? - spytała słabym głosem, blednąc.

- To jest mój zawodnik i kumpel, i jak dostanie zapalenia płuc, to pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś.

- Już żałuję - odcięła się. - Nie musiałabym oglądać twojej końskiej gęby.

- A ja twojego tłustego tyłka. Nie wiem, co Ren widzi w takiej krowie, chyba na oczy mu padło.

Jeszcze pięć dni temu Margeritą wrzasnęłyby coś obelżywego, a potem uciekła i w jakimś zakamarku gorzko oplakiwałaby okrucieństwo Manciniego. Jednakże Margeritą sobotnia nie była Margeritą poniedziałkową. Od tamtej pory zdarzyło się wiele rzeczy, które zahartowały jej ego. Gadał do niej brokuł, w ramach szlabanu myła okna w siłowni i stawiała czoło

pająkowi wielkości foksteriera, a pewien mężczyzna (no dobrze, chłopiec) powiedział jej, że ma piękne tricepsy. Nad Margeritą von Selerberg powiał widmowy sztandar sufrażystek, a duch Emmeliny von Selerberg (jej prababki) rozłożył nad nią anielskie skrzydła, wymachując bojowo szarlotką¹.

Zanim Mancini zdążył zrobić cokolwiek, został kopnięty w goleń ciężkim zimowym butem. Krzyknął z bólu, zachwiał się, a już w następnej sekundzie kolejny cios trafił go w twarz, pieczętując klęskę kapitana drużyny, który przełykał swą porażkę wraz ze śniegiem z chodnika. Usiłował się podnieść, ale dziewczyna nadepnęła mu na nadgarstek.

- Jak na gracza jesteś dziwnie powolny - wycedziła pogardliwie. - Jeszcze raz nazwiesz mnie krową, a stanę ci na gardle. To nie będzie przyjemne, gwarantuję. Może nawet tego nie przeżyjesz.

- Ocipiałaś...? - jęknął Mancini, bezskutecznie próbując uwolnić rękę. Z nosa spływała mu strużka krwi.

- Jak myślisz, ile wytrzyma twoja kość? Dość sporo ważę - ostrzegła Margerita, nieznacznie zwiększając nacisk. Mancini zawył.

- Kurwa! Złaż ze mnie! Dobra, nic nie mówię! PRZEPRASZAM!

- No dobrze. Margerita cofnęła nogę.

- Lepiej nie mówmy nikomu, co tu zaszło - zaproponowała.

- Jasne. - Mancini wstał, obmacując rękę. Spojrzenie, jakim zmierzył dziewczynę, było ponure, ale niepozbawione pewnego rodzaju szacunku. - Będę milczał jak nagrobek. Nie wiedziałem, że jesteś taka dobra w te klocki.

- Ty mnie w ogóle nie doceniasz, Mancini - mruknęła zjadliwie.

- Idź do Rena, proszę - powiedział całkiem już pokornie. - Cudo to on może nie jest, ale szlag mnie trafia, jak robi tam z siebie widowisko.

Margerita westchnęła tak, że płatki śniegu stopniały w promieniu bez mała pół metra.

- Dobra. Pójdę i powiem mu, że ma się odwalić. Zadowolony?

- Yhy... - Mancini pokiwał głową i odszedł, lekko kulejąc.



Pub Edelweiss już z daleka tchnął atmosferą zabawy. Za kolorowymi szybami lśniło światło mnóstwa świec, słychać było skoczną muzykę skrzypcową. Drzwi niemal ciągle stały otworem, gdyż zagadani, roześmiani ludzie to wchodzili, to znów wychodzili (więcej

¹ Emmelina von Selerberg (ur. 983, zm. 1075), sześciokrotna mistrzyni okręgu w rzucie żarnami, przewodnicząca Ruchu Przyzwolenia Kobiet, wstawiła się również uśmierceniem górskiego trolla podczas

wchodziło). Na tym odświeżonym tle niedźwiedziowata sylwetka Loussiera stanowiła uosobienie tragizmu puszczonego kantem adoratora. Zakutany w szkolny płaszcz i szalik, daremnie usiłował schronić się przed zacinającym śniegiem za kolumienką na ganku. Na rondzie kapelusza zebrał mu się już spory kopczyk zimnej bieli. Wbijał smętny wzrok w perspektywę ulicy, nie reagując na współczujące spojrzenia przechodniów ani na docinki. Każda osoba w ciemnozielonym okryciu zbliżająca się do Edelweiss powodowała, że żołądek chłopaka podrygiwał nerwowo. Niestety, zawsze okazywało się, że jest to jakiś uczeń albo mieszkaniec Schweingeholz, który postanowił pokrzepić się słynnym korzennym miodem. Biedny Renaud coraz bardziej tonął w ciemnych odmętach rozczarowania. Obiekt jego westchnień najwyraźniej nie miał zamiaru się zjawić. Kiedy chłopak chciał już zrezygnować, powlec się z powrotem do internatu i tam w zaciszu własnego łóżka (tudzież kołdry i zaciągniętych kotar) pograżać się w osobistej depresji, przed pubem zatrzymała się Margerita von Selerberg. W jej włosach, ostrzyżonych na wesołego jeża, i na szalu płatki śniegu skrzyły się niczym drobne klejnoty. Uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem.

- Cz-cześć, Ren...

- Cześć, Rita. - Ku własnemu zaskoczeniu, Renaud zauważył, że jego głos brzmi całkiem normalnie, pomijając lekką chrypkę. - Czekałem na ciebie.

- Przepraszam za spóźnienie - bąknęła Margerita. - Wejdziemy?

- Jasne.

- Ale w środku pewnie tłok.

- Owszem, pełno, ale chyba coś znajdziemy - odparł Loussier, szarmancko otwierając przed nią drzwi.



Do połowy ulicy Głównej Margerita niemal biegła, w duchu pytając samą siebie, czy jej przypadkiem całkowicie nie odbiło. Na szczęście zapadł już wczesny zmierzch i niewiele osób mogło zobaczyć jej poníženie. Lecieć biegiem na randkę! O Morgano... Jakoś zdołała się opanować i ostatnie pięćdziesiąt metrów przebyła krokiem niemalże spacerowym. Ren tkwił uparcie na ganku pubu, zgodnie z tym, co powiedział Mancini.

- Niech mnie mantykora przeleci, jak on się tej swojej lali doczeka. Kto by się chciał umawiać z tym palantem.

Margeritę szarpnęło coś boleśnie koło serca. Minęła ją jakaś parka w znajomych zielonych płaszczach z naszywkami L'Ecole privee experimentale. No tak, niczego innego po tych

burakach nie można się było spodziewać. Pospółstwo! Ren zdawał się nie słyszeć przykrych słów. Patrzył na nią tak, jakby chciał jej zajrzeć poprzez oczy na samo dna serca.

- Cz-cześć, Ren... - odezwała się z trudem, czując, że jeszcze chwila, a zemdleje, robiąc z siebie nie gorsze widowisko niż w sali alchemii.

- Cześć, Rita. Czekałem na ciebie.

O Boże! O Morgano i cała reszta! „Rita”. Powiedział do niej „Rita”...



Faktycznie, wewnątrz lokalu było tłoczno. Wszystkie stoliki obłożone, zastawione różnorodnym asortymentem kufli, szklanek, szklaneczek i kieliszków z napojami we wszelkich możliwych kolorach i zapewne też paru niemożliwych. W niszy dla muzykantów kwartet ryżych leprechaunów rznął od ucha skoczne tańce irlandzkie, a pośrodku sali mniej lub bardziej umiejętnie, ale za to dziarsko przytupywało kilka par. Margerita, ku swemu zdumieniu, wśród tancerzy ujrzała dyrektorę, która, nie dbając o to, że szarga swój autorytet, szalała na parkiecie niczym demon w różowy rzucik. Tuż obok przy stoliku do taktu klaskało kilku członków kadry pedagogicznej. Zaiste, L'Ecole madame Flageolet była faktycznie experimentale. Tutaj także wszędzie panoszyły się róże - czerwone niczym namiętność rzeźnika, dziewczczo blade lub złociste jak kanarki. Napęczniałych uczuciami polatujących serduszek gościom oszczędzono, za to w różanych krzaczkach i girlandach gnieździły się maleńkie białe gołąbki, słodko tulące się do siebie. Oglądając wszystkie te dziwa, Margerita ledwo dosłyszała, jak Renaud zwraca się do właściciela pubu:

- Dobry wieczór panu, rezerwowałem stolik na dwie osoby.

- Oczywiście... proszę pana. Ten w rogu, za żardynierą.

Owo „proszę pana” zostało dodane z leciutkim opóźnieniem, ale sam zwrot wystarczył, by Margerita spojrzała na swego towarzysza z całkiem innej perspektywy. Ren był siódmoklasistą, miał osiemnaście lat i pod wieloma względami był już dorosły, a w każdym razie tak się zachowywał. Ona nie pomyślałaby o rezerwacji stolika.

Stolik za żardynierą gwarantował przynajmniej częściowo poczucie prywatności. Zdjęli płaszcze. Renaud zamówił gorącą czekoladę i ptysie ociekające bitą śmietaną. Czekolada jest afrodyzjakiem, szepnął złośliwy chochlik w głowie Margerity. Ren patrzył na nią znad filiżanki ciepłymi, brązowymi oczami i uśmiechał się nieśmiało.

- Straszna śnieżycyca dzisiaj - odezwała się dziewczyna, tylko po to, by przerwać krepujące milczenie.

- Pogodowi spaprali robotę - odparł Loussier. - Ale przedtem było słońce.

- Lubię słońce.

Znów zamilkli.

- Jak jest na siódmym roku? - spytała Margerita słabo, przeklinając nagły odpływ inwencji. Parę banalnych myśli telepało się jej pod czaszką, na kształt otępiałych rybek w słoiku.

- Zakuwamy - mruknął Renaud. - Egzamin za pasem. Nie ma lekko.

- No, my na piątym też nie mamy łatwo. Z czego zdajesz?

- Matma, barbieloński, astrologia, przyroda, alchemia, podstawy demonologii...

- Zdajesz „demony”?! - przerwała mu ze zdumieniem.

- Mhm... Rodzice chcą, żebym starał się o stypendium na magicznym uniwerku, a do tego potrzebne jest przynajmniej osiemdziesiąt procent z „demonów”. A ty masz coś na oku?

- Tata to chyba chciałby, żebym wyszła za mąż i takie tam... - powiedziała Margerita bez entuzjazmu, grzebiąc łyżeczką w kremie. - Mama nic nie mówi, tylko mi podsuwa książki o sierotkach, prawie karnym i dziennikarzach, więc właściwie nie wiem...

Ren wyobraził sobie Margeritę przeprowadzającą wywiad z jakimś groźnym przestępcą i odczuł pewien niepokój oraz cień współczucia dla biednych rezydentów więzień.

- Ale czego TY chcesz? Tak sama z siebie? - zapytał z powagą.

Dziewczyna zmieszała się lekko.

- Chciałabym mieć sklep sportowy. I prowadzić treningi dla chętnych - zwierzyła się szeptem. - Ale wiesz, jestem „von” i nie wiem, co z tego będzie...

- Brzmi dobrze - orzekł Renaud. - Jak dla mnie, lepiej niż prawo karne. Jesteś taka... dobrze zbudowana. I bardzo silna...

- Nie tak jak ty... Ren.

Ich dłonie, leżące na stoliku, już od dłuższego czasu powolutku zbliżały się do siebie, a teraz właśnie zetknęły się końcami palców. I natychmiast cofnęły.

- Jesteś najsilniejszą dziewczyną w szkole - zapewnił Renaud. - Mogę się założyć, że pobijesz mnie na rękę.

- Nie.

- Tak.

- Nie. Dobra, to sprawdźmy! - Margerita ustawiła łokieć na stole, oferując Renowi otwartą dłoń.

Przyjął wyzwanie bez słowa. Jego skóra była ciepła i lekko szorstka.



Chłopak i dziewczyna mocujący się na rękę w pubie podczas Święta Zakochanych nie są

widokiem codziennym, toteż Persefona Woodgate obserwowała to zjawisko z niemałym zainteresowaniem. Widziała malujący się na twarzach tej dwójki wysiłek, kiedy oboje wyteżali swe wybijające mięśnie. Przedramię Loussiera przypominało kłodę, a Selerberg też niewiele brakowało. Para obsesyjnych pakerów. Nagle Loussier zrezygnował z walki, a jego ręka wylądowała prosto w talerzyku z ciastkami. Przez moment najwidoczniej nie wiedział, co począć z upapraną kremem dłonią, a potem zaczął ją po prostu wylizywać. Persefona zachichotała. Loussier strasznie w tej chwili przypominał niedźwiedzia raczącego się miodem. Von Selerberg naszyły chyba podobne skojarzenia, bo uśmiech miała od ucha do ucha. Panna Woodgate w cichości ducha przyznała, że kiedy się uśmiecha, jest całkiem niebrzydka. Atmosfera w rejonie jej obserwacji wyraźnie odtajała. Tamta parka zaczęła delektować się ciastkami, rozmawiając. O czym, tego Persefona nie mogła dosłyszeć, muzyka bowiem zagłuszała dość skutecznie konwersacje przy sąsiednich stolikach. Musiały to jednak być jakieś sprawy osobiste, gdyż znów wzięły się za ręce, a Selerberg spłonęła rumieńcem.

Persefona westchnęła ledwo zauważalnie. Janus był świetnym facetem, ale brakowało mu tego czegoś, co nazywa się romantyzmem. W dodatku na ulicy spotkali mocno zdolowanego, samotnego jak pies Ricky'ego Selerberga i zgarnęli go ze sobą, kierując się czystym współczuciem. To jednak sprawiło, że resztki romantyzmu, o ile w ogóle jakieś unosiły się w pobliżu, diabli wzięli.

- Nadchodzi epoka lodowcowa. Mamuty mają okres godowy.

Janus Moon patrzył w tym samym kierunku co Persefona, a na jego twarzy malował się lekki niesmak. Loussier tymczasem jakby coś sobie przypomniał i wygrzebał z kieszeni płaszcza podłużne pudełko. Margerita von Selerberg z wypiekami na twarzy podniosła wieczko, po czym wyjęła ze środka solenny pęk pomarańczowych margerytek. Do łądyg przywiązane było małe czerwone serduszko. To było po prostu... słodkie.

- Jak jeszcze wyciągnie pierścionek z brylantem, to normalnie nie wyrobię - sarknął Moon, z niewiadomych powodów bardzo niezadowolony.

Persefona poczuła, że jeszcze chwila, a rozmaże właśnie spożywaną kremówkę Janusowi na twarzy.

- Janusie Moon - odezwała się lodowatym tonem. - W twoich głębiach uczuciowych nawet mysz by się nie utopiła. Masz wrażliwość sztachety.

- Sztach... sztachety?! - oburzył się Moon tonem niewinnie skrzywdzonego. - Sztachety? Nie dostałaś walentynki? Dostałaś.

- Dostałam - zgodziła się Persefona. - Walentynkę z Terry's Boys.

- Co jest złego w walentynce z Terry's Boys? - bronił się Moon. - A Marge pewnie dostała

kartkę z nosorożcem.

- Nic, pod warunkiem, że jest się facetem, który oberwał widocznie oskardem między oczy. Jannie, przemyśl swoją orientację, bo może tę kartkę miałam dostać nie ja, tylko na przykład Mancini?

- Mancini jest hetero - odezwał się Rinaldo von Selerberg, który do tej pory milczał jak grób, dłubiąc łyżeczką w kawałku sernika. - Moon, przypominam ci, że mówisz o mojej siostrze. Jeszcze chwila, a będę musiał dać ci w dziób. Obowiązki rodzinne, wiesz...

- A gdzie Lawinia? - zapytał Janus, usiłując zejść ze śliskiego tematu.

- Pokłóciliśmy się - odparł Ricky kwaśno. - Tym razem na poważnie, to koniec. Mam jej powyżej uszu. To nie na moje nerwy. Chyba też przemyślę swoją orientację.

Moon zakrztusił się ciastkiem, a Persefona dostała histerycznego ataku śmiechu.

Trzy kroki dalej dwójka kulturystów nadal patrzyła sobie w oczy ponad bukietem margerytek, zupełnie jakby świat dokoła nie istniał.



To było naprawdę fajne spotkanie, mimo że zaczęło się trochę niefortunnie. Wszystko się udało, Renaud nie zrobił żadnego głupstwa i w porę przypomniał sobie o prezencie, który pieczołowicie wybrał tego ranka w kwaciarni Kwiat Paproci. A teraz wieczór miał się ku końcowi. Stali nieopodal Edelweiss i jakoś nie chciało im się wracać do szkoły. Niebieskawe światło ulicznej latarni otaczało głowę Rity bajeczną aureolą. Ren grzał jej dłonie pomiędzy swoimi. Śnieżyca ustała, tylko drobne płatki opadały jeszcze leniwie tu i tam, stwarzając trochę nierzeczywistą atmosferę.

- Chciałem ci powiedzieć, że... wiesz, te treningi... to znaczy... - zaczął się jąkać, nagle znów przytłoczony nieśmiałością. Miał zamiar wyjaśnić, że właściwie niekoniecznie muszą spotykać się jedynie w siłowni, ale jakoś ciężko mu było to przepchnąć przez gardło. Walentynki walentynkami, ale może Rita wolałaby nie zacieśniać znajomości? Było tylu przystojniejszych... bardziej elokwentnych, no i lepiej ustawionych niż syn browarnika.

Rita wpatrywała się w niego błękitnymi oczami, jakby na coś czekała.

- Tak, Ren...?

- Czy... czy chciałabyś... czy byśmy mogli... mmmm...

Jak grom z jasnego nieba rozległ się gdzieś w pobliżu cichy, ale doskonale słyszalny syk:

- POCAŁUJ JĄ, KRETYNIE!

- Aaaaghheerrr...!

Tuż obok przegalopowała Woodgate, powiewając platynowymi włosami i ciągnąc za sobą

za szalik przyduszonego Moona. Margerita i Renaud odprowadzili ich jednakowo osłupiałym wzrokiem. Zaraz potem przeszedł obok nich Ricky, niedbale salutując do ronda kapelusza.

- Sorry, mały kryzys - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Trzym się, siostra.

Rita odetchnęła głęboko, licząc do dziesięciu, aż jej brat zniknął ostatecznie w mroku.

- Mówiłeś coś, Renny...

Renny kompletnie stracił głowę i zrobił dokładnie to, co mu poleciła ta zbzikowana półdrowka Woodgate. No to koniec, teraz przestawi mi szczękę, pomyślał, rozgniatając wargami usta Rity. Sekundy zdawały się wlec jak oblepione miodem pszczoły. W końcu Ren poczuł, jak palce dziewczyny wsuwają się pieszczotliwie w jego włosy i że Rita nieśmiało oddaje mu pocałunek.

MAŁY SŁOWNICZEK KU POŻYTKOWI CZYTELNIKA:

L'Ecole privee de la metode experimentale pour la coeducation contemporaine - Szkoła prywatna metodą doświadczalną dla koedukacji współczesnej

Flageolet - żółta fasolka szparagowa

Schweingehoelz - Wieprzowy Lasek

Ficelle - związanie

Deficeler - rozwiązanie (oczywiście)

Edelweiss - szarotka



WAŻ
W LEKIJACH

**CZYLI
DRAMAT ZARĘCZYNOWY**



Rezerwat rusalek tonął w zwyczajowym spokoju oraz nastroju harmonii i równowagi przyrodniczej. Co oznaczało, że na przykład z krzaków po prawej dawało się słyszeć przedśmiertne charczenie królika zadławianego przez lisa, a po lewej godowe pienia rusalki wabiącej rusała - jak już wspomniano, natura zawsze dąży do równowagi. Poza tym rezerwat zawierał typowe dla takich miejsc elementy, jako to las mieszany bukowo-sosnowy, wybująłe paprocie, kwitnące regulaminowo tylko raz do roku (ale za to bardzo efektownie), a także szyszki, jagody i solidną populację pajaków oraz kleszczy.

W takich to okolicznościach przyrody po terenie rezerwatu wędrowały dwie młode osoby. Widziane od tyłu prezentowały płęć z grubsza męską i niemal identyczne stroje (solidne sznurowane krasnoludany do pół łydki, pumpy oraz gontyckie kurtki z czarnej skóry). Osobnik o buroblond czuprynie, nieco większy od towarzysza, kijem odgarniał z drogi pajęczyny. Osobnik o włosach koloru słomkowego szedł przygarbiony i smętny, wlokąc za sobą gruby sznurek.

Gdyby potencjalny obserwator zechciał wyprzedzić tę parę, przedzierając się bokiem między krzakami i rujnując liczne pajęczynowe dzieła sztuki oraz krzaczkę wilczej jagody, mógłby zajrzeć spacerowiczom w twarze. A wtedy musiałyby zweryfikować domniemaną płęć męską (o pięćdziesiąt procent), za to rozpoznałyby znane w okolicy fizjonomie rodzeństwa von Selerbergów.

Aktualnie były to fizjonomie bardzo ponure.

Margerita von Selerberg zamachnęła się kijkiem, dezintegrując nie dość szybkiego pajaka.

- Fuj... - mruknęła z obrzydzeniem, próbując strząsnąć pajęczyny z zaimprovizowanej broni, która zaczynała już przypominać niedojedzoną porcję cukrowej waty na patyku.

- Marge... co my tu właściwie robimy? - odezwał się posepnie Rinaldo von Selerberg.

- Przygotowujemy się do obchodzenia twoich urodzin - odparła Margerita gładko.

- Czemu w lesie?

- Bo tu jest ładnie!

Ricky rozejrzał się z pewnym sceptycyzmem. Pojęcie „ładnie” w tym przypadku miało części składowe, takie jak „wilgotno”, „robale”, „paprochy za kołnierzem” i tym podobne. Osobiście nie lubił tego, co naiwni zwą „łonem przyrody”. Bądź co bądź, osiągnął już wiek, kiedy interesowały go łona nieprzyrodnicze. Tymczasem jednak jakoś nie miał ochoty na protesty. Zaszemrał tylko z przygnębieniem:

- Czy przy twoich urodzinach też się będziemy naradzać w lesie?

- Nie, tylko przy twoich.

- Marge... - Splin Ricky’ego pogłębiał się z minuty na minutę, niemal dorównując depresji

gwiazdkowej don Angela, co znaczyło niemało. - Jestem twoim bratem, chociaż to słabo widać. Nigdy nie podkładałem ci świni... za bardzo - ciągnął. - A ty mnie traktujesz jak... jak nie wiem co. Jak blondyna.

Margerita zwolniła, ukąszona z lekka wyrzutami sumienia. Co prawda miała na końcu języka, słowa: „Przecież jesteś blondynem”, ale jako dobra (w miarę) siostra postanowiła nie znęcać się nad bratem, znajdującym się w tak żalosnej sytuacji.

- I to właśnie teraz, kiedy tego... potrzebuję wsparcia - kuł żelazo Rinaldo. - Kiedy mogę się załamać i skoczyć z wieży. A ty mi nawet nie chcesz powiedzieć, po co mnie wyciągnęłaś o świcie do tego lasu i dlaczego wlokę za sobą - Ricky zerknął do tyłu z abominacją - kurę na sznurku.

- Wilkołak - powiedziała Margerita z kamiennym wyrazem twarzy.

- Wilkołak? - Ricky zamrugał nieco zdezorientowany. - Gdzie?

- Tu. Skup się. Wilkołak.

- Wilkołak.

- Wil-ko-łAk!! - wrzasnęła Marge. - Której litery nie rozumiesz?

- No, tej przedostatniej.

- Wiedziałam... - Margerita westchnęła rozdzierająco, wyciągnęła z kieszeni małą, kolorową książeczkę i wetknęła bratu do rąk. - Tu czytaj, blondynie jeden.

Po kilku minutach Ricky podniósł osłupiały wzrok.

- Żartujesz, prawda? Wilkołak... stworek podobny do... - Spojrzał na okładkę. - Do królika po orgii w fabryce farb. Tańczy, śpiewa, stepuje i spełnia życzenia. Na Morganę! I żywi się marchewką i kurami.

Spojrzenie chłopaka powędrowało na koniec sznurka, gdzie nadal tkwiły zwłoki pieczonej kury, nieco sfatygowane i oblepione próbkami okolicznej flory.

- Przynęta? Zwariowałaś - orzekł z niesmakiem. - Na dodatek kradniesz bajki z pokoju Winka.

- W takim razie razem ze mną zwariował profesor Georg van Heineken - warknęła Margerita - bo tego królika opisał w biuletynie Royal Science Society.

- Ty czytasz „Royal Society”?! - Ricky’ego ogarnęło nagle przerażenie i popatrzył na siostrę jak na upiora.

- Coś ty - uspokoiła go. - Angelo miał akurat zawiniętą kanapkę w jedną ze stron i wpadło mi w oko. - Wyciągnęła z drugiej kieszeni zatłuszczony papier i podetknęła bratu pod nos.

Po dłuższej chwili Ricky odezwał się nieco spokojniejszym tonem:

- Hmm, wygląda trochę bardziej naukowo, chociaż i tak to stek bredni. Wilkołak, też coś!

Kontynuowali z Margeritą spacer po zawilgoconym lesie, nadal ciągnąc za sobą kurę na sznurku, jakby przez zapomnienie.

- I ten cały van Heineken mówi, że widział wilkołaka...

- Wilkołaka.

- ...dobra, wilkołaka, tutaj u nas? W Selerbergu? Nie wierzę.

- Dlaczego nie?

- Bo Selerberg to jest, najdroższa siostrze, zadupie. Tu się nic nie dzieje.

- Oprócz tego, co robi Angelo - sprostowała delikatnie Marge.

- I jego cokuwartalnych prób samobójczych - przyznał Ricky sprawiedliwie.

- I awarii kanalizacji, kiedy ryby z fosy nauczyły się fruwać...

- Albo parady równości krasnoludów...

- I epidemii elfiej świnki...

- No ale pomiędzy tymi wszystkimi rzeczami tu się nie dzieje w ogóle nic! - zakrzyknął Ricky ze wzburzeniem, czując, że chyba z lekka traci grunt. - Więc skąd tu jakiś wilkołak? Co jest, zacięło się? - rzucił z irytacją, szarpiąc kurę, która chyba się o coś zaczepiła.

Margerita zerknęła nieuważnie do tyłu i zamarła ze stopą uniesioną do następnego kroku. Powiało lekkim nastrojem grozy.

- Ryba wzięła - wyszeptała dramatycznie.

- Jaka ry... - zaczął Rinaldo grymasnie i urwał na widok jej miny.

Ostrożnie, jakby miał kark ze szkła, przekreślił głowę.

Za nimi stał... hm... niedokładnie królik. Rzadko kiedy królik ma około dwóch metrów wzrostu. Zwykle króliki nie są koloru zielonego, w intensywnym odcieniu optymistycznego groszku. Chyba że są królikami pluszowymi, co z kolei wyklucza dość pokaźne uzębienie, należące do cech wybitnie wilczych.

Wilkołak patrzył na rodzeństwo bez mrugnięcia, ciamkając kurę. W ciszy słychać było chrzęst drobnych kości w jego potężnych szczękach. Rickym wstrząsnął dreszcz. Z przeciągłym „szszszluf” w ślad za kurą zniknął sznurek, wciągnięty niby nitka spaghetti. Wilkołak przełknął głośno i poruszał energicznie wąsami - długimi, sztywnymi jak druty do robótek.

Nie wiadomo czemu to otrzeźwiło Margeritę, która nareszcie opuściła uniesioną stopę, po czym wykrztusiła załamującym się z emocji głosem:

- Wil... ee... Pan Wilkołak, jak mniemam?

Gigantyczny zielony królik ponownie zaruszał wąsami, mierząc dziewczynę błyszczącymi ślepiami, żółtymi jak bursztyn.

- Państwo są umówieni? - odrzekł sucho, ignorując jej pytanie.

- Nie... - bąknął Ricky.

Niebieskie oczy chłopca były szkliste jak porcelanowe kulki - najwyraźniej poziom surrealizmu zaczynał przekraczać jego wytrzymałość nerwową. Atmosferę nierealności pogłębiał koncert dziecioła symfonicznego², który właśnie na sąsiedniej sośnie rozpoczął solo na dziób i pędzaka.

- Skoro państwo nie byli umówieni, to żegnam - odparł wilkołak chłodno.

- Chwila! - Podniesiony głos Marge zatrzymał go w połowie nonszalanckiego hycnięcia. - Ale zaliczkę to się zjadło? I co?!

Wilkołak zacukał się i raptem zmienił kolor na śliwko-woróżowy. Wąsy opadły mu z lekka. Ricky zacisnął powieki, zastanawiając się, czego też don Angelo mógł mu dosypać do porannej owsianki i kiedy zakończy się działanie tego specyfiku. Dziecioł zaczął synkopować. Selerberg junior słyszał poprzez owe przyrodnicze zakłócenia, jak jego siostra odważnie targuje się z futrzastą bestią.

- Jesteśmy potencjalnymi klientami, proszę pana. Nie szkodzi, że nieumówionymi. Jak mianowicie mieliśmy się umówić? Pan bynajmniej nie rozdaje wizytówek... - wywodziła Marge.

Dziecioł tymczasem przeszedł w rytmy południowo-gonzolijskie i Ricky bezwiednie przytupywał do taktu swym ciężkim butem. Konwersacja przepływała obok niego, zawadzając jedynie o wierzchnie warstwy umysłu, zamykającego się w odruchu obronnym przed nadmiernym przyrostem niezwykłości.

- No to załatwione - usłyszał zrezygnowany bas wilkołaka, zerknął więc podejrzliwie jednym okiem.

Króliczokształtna zjawa nadal pozostawała w polu widzenia, tyle że ponownie zmieniła kolor - tym razem na szafirowy w niewyraźne złote gwiazdki, przez co stwór wyglądał teraz jak spowity w dziecinny kocyk. Kocyk takowy, obśliniany pracowicie przez młodszego brata, Rinaldo von Selerberg widział nie dalej jak wczorajszego wieczora i, jak mniemał, żadna siła nie zdołałaby go wyrwać ze szczęk sześciomiesięcznego Winicjusza von Selerberga (alias Winka, vel Wyjca, alias Chomika, zwanego również Mister Rekin). Przypuszczenia, że Margerita konwersuje z kocykiem ożywionym przez jakąś wredną (i obłąkaną) wróżkę, miały zatem niski poziom prawdopodobieństwa.

- Gładys! - wrzasnął nagle wilkołak, zagłuszając koncertującego w najlepsze dziecioła.

Kimkolwiek była tajemnicza Gladys, ryk pozostał bez odzewu. Bliźniaki z zainteresowaniem obserwowały, jak wilkołak maca się po futrze, mrucząc pod nosem coś w rodzaju „znów nie ma zasięgu”. W końcu z tryumfalnym „ha!” wyjął z torby na brzuchu metalowy krążek, ze szcęknięciem rozciągnął go w tubę i ryknął przez nią jeszcze potężniej:

- GLADYS!

Rodzeństwu zadzwoniło w uszach, z pobliskich sosen posypały się igły, a dzieciół w szoku spadł z pnia, wbijając się dziobem w leśną ściółkę. Ledwo przebrzmiało echo, rozległ się charakterystyczny odgłos, przypominający odkorkowywanie butelki, i przed wilkołakiem zjawiała się... wróżka. Co do gatunku nie mogło być wątpliwości. Osóbka miała około metra wzrostu, wielkie oczy w kolorze wściekłozielonym, a na plecach sterczały jej szcątkowe skrzydła - półprzezroczyste, niebieskawe - podobne do delikatnych skrzydełek złotooków.

Ricky postanowił, że nie będzie dziwił się już absolutnie niczemu, nawet gdyby w ślad za wróżką objawił się w ostępach rusałczanego rezerwatu słoń stepujący w takt melodii *Boże, zachowaj króla*. Zresztą, co tam słoń! Starczył wilkołak.

Na dodatek wróżka miała najmodniejszą w tym sezonie fryzurę, przywodzącą na myśl wybuch w fabryce spaghetti, i wybijały biust, którego widok przyprawił Ricky’ego o opad szczęki. Reszta była równie atrakcyjna z punktu widzenia napompowanego hormonami nastolatka, choć raczej miniaturowa.

- Już, już... Na Oberona, nie można chwilę poczekać? - wymamrotała wróżka, obciążając biznesowy zakieciak i ukradkiem sprawdzając, czy nie poszło jej oczko w pończoszcze. Błyskawicznie wyciągnęła z piastowanej pod pachą dyplomatki notatnik i wieczne pióro, a z chmury makaronowych włosów okularki-połówki, które osadziła na zgrabnym nosku, przybierając minę pod tytułem Profesjonalna Sekretarka Pana Prezesa.

- Słucham.

Bliźniaki wymieniły między sobą niezbyt pewne spojrzenia. Ani literatura piękna (patrz: *Przygody wesolego wilkołaka*), ani naukowa, czyli pokryty plamami masła artykuł, nie wspominały o tym, że wilkołaki są torbaczami i że mogą posiadać sekretarki.

- Gladys się państwem zajmie i poczyni wszelkie ustalenia. Do widzenia szanownemu państwu. - Wilkołak uchylił wymagowanego kapelusza i odhyczał w siną dal.

Okazało się przy tym, że zamiast ogonka podobnego do włóczkowego kłębka, właściwego wszystkim królikom, ma długą, puchatą kitę z wyglądu dość wilczą, lub nawet lisią.

- Państwo... - Gladys zawiesiła głos i stalówkę nad papierem.

² Picus symponicus major, niejadalny.

- Selerberg - odpowiedziała Margerita.

- Prośba dotyczy...

- Ślubu.

Wróżka zapisała coś pracowicie w notesie.

- Aaaa... rozumiem. Pan chce się oże... pobrać z tym panem? - Machnęła głową w stronę Rinalda. - A nastąpiły przeszkody natury moralno-prawnej?

- Jestem jego SIOSTRĄ! - ryknęła Margerita, zalewając się ceglastym rumieńcem irytacji.

Wróżka wytrzeszczyła zielone oczęta, na odmianę nie-bieszczejac, co fatalnie gryzło się z kasztanowym kolorem żakiecika. Zachichotała nerwowo.

- Przepraszam, ludzka rasa jest taka zaskakująca...

Margerita z trudem opanowała ochotę, by podbić jej oko. Na to przyjdzie czas później. Na razie powinni rozpocząć negocjacje.

- Chyba musimy zacząć od początku - powiedziała, rozglądając się, i siadła na pobliskim pniu.

- A zaczęło się od tego, że nasz ojciec oszalał - dodał Ricky melancholijnie, zajmując miejsce obok siostry.

Zielone wróżkowe ślepka zaiskrzyły typowo damską ciekawością. Skrzydlata kobietka czym prędzej usadowiła się na hubie (rozłożywszy na niej przedtem chusteczkę), gotując się do słuchania plotek o bliźnich.



Początek był niewinny. Ricky doszedł do siebie po zerwaniu z Lawinią Boyd, romans Margerity i Loussiera kwitł, owocował, wypuszczał pędy, a uszczęśliwiona Marge również kwitła w tym związku, choć na szczęście nie owocowała. Dobry nastrój po części udzielił się jej bliźniaczemu bratu, który przestał w depresji rozmyślać nad zmianą orientacji i powtarzać z goryczą, że związek z facetem miałby przynajmniej tę dobrą stronę, że można by pogadać o zespołach rockowych³ i krykiecie. Nadeszły ferie wiosenne, część uczniów z L'Ecole privee de la metode experimentale opuściła Schweingehoelez, udając się do domów. Urodziny bliźniąt korzystnie wypadły w tym samym terminie, oczekiwali więc podwójnie, a nawet poczwórnje uroczystego przyjęcia. Zwłaszcza że po całych latach domagania się chłopczyńskich podarunków Marge raptem w liście do domu zażądała sukienki. Modnej. I żeby już na pewno nie było wątpliwości, dołączyła wyrwaną z żurnala kartkę z zakreśloną

³ Rock - dość ciężka brzmieniowo odmiana muzyki, uprawiana przez krasnoludy, głównie za pomocą kawałków skały, jak wskazuje nazwa.

odpowiednią ryciną. To z kolei wywołało prawdziwą lawinę listów od matki, która z istic macierzyńską intuicją dopytywała się, kim ON jest. Marge jednak trzymała język za zębami.

ON został na ferie w szkole, zakuwając do końcowych egzaminów, ale obiecał napisać.

Tajfun rodzicielski koncentrował się zatem wokół Margerity, która opierała się mu jako ta skała z mórz wychylona, co było bardzo na rękę Ricky'emu, pielęgnującemu resztki swej depresji. Kompletnie nie spodziewał się czyhającego na niego niebezpieczeństwa.



Cios spadł następnego dnia po przyjeździe bliźniąt, podczas rodzinnego śniadania.

- Rinaldo, mój synu. Margerito, mój sy... córko - odezwał się Rufus von Selerberg, z namaszczeniem pukając łyżeczką w jajko.

- Tak, ojciec... - odpowiedziały jego dzieci automatycznie.

Przemowy landgrafa, przynajmniej te zaczynające się od „Rinaldo, mój synu”, przebiegały według pewnego tradycyjnego schematu i zwykle starczało w miarę regularnie kiwać głową i powtarzać „tak, tato” poważnym tonem, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. Tak więc Rufus von Selerberg brzęczał uroczyście i dopiero słowo „ślub” przywołało jego dzieci z krainy snu na jawie.

- Co...? - wyrwało się zaskoczonemu Ricky'emu. Marge milczała, zaszokowana, gdyż dotarło do niej więcej z wypowiedzi tatusia.

- Ślub - powtórzył landgraf cierpliwie.

- Czyj? - zapytał Rinaldo z niebotycznym zdumieniem.

Nie wiedzieć czemu, na moment przed oczami wyobraźni stanęła mu pani Catway w białym welonie, co było wizją dość wstrząsającą.

- Twój. Czy ty w ogóle słuchasz ojca, Riciu? Skarbie? - Mina landgrafini przetransformowała płynnie z uśmiechu dumnej rodzicielki w wyraz umiarkowanej dezaprobaty.

- Przywykłem, że mnie się w tym domu nie słucha - zauważył Rufus cierpko. - Jak wiadomo, w naszej rodzinie zawsze zawierało się narzeczeństwo w szesnaste urodziny. Rozmawialiśmy o tym kilkakrotnie, Rinaldo, mój synu. To bardzo stara tradycja.

- Ale... - zaczął Ricky rozpaczliwie i raptem zamilkł, kuląc się z bólu, gdyż Margerita kopnęła go pod stołem.

Istotnie, prawdopodobnie ojciec mówił Ricky'emu parokrotnie o takim drobiazgu jak narzeczeństwo w szesnaste urodziny. Syn zapewne wpatrywał się w niego jak w obrazek, potakując co chwilę, a biedny ojciec był przekonany, że dziecko z szacunkiem chłonie jego

słowa.

- On jest trochę zaskoczony, pere. Nie widział narzeczonej i w ogóle... Czy ona przynajmniej jest ładna?

Ricky z wdzięcznością spojrział na siostrę. Zostać zmuszonym do małżeństwa w kwiecie wieku lat szesnastu to perspektywa wystarczająco okropna, a co dopiero gdyby tamta dziewczyna okazała się jakimś kaszalotem! Matka z wyrozumiałym uśmiechem podała mu ponad stołem fotografię w ramce ozdobionej papierowymi różyczkami. Chłopak popatrzył z obawą na portret i odetchnął. Marge przysunęła się bliżej, lustrując krytycznie swą przyszłą szwagierkę.

- Ujdzie - osądziła.

Dziewczę na fotografii miało wszelkie atuty urody, których brakowało samej Margericie. Bujne, starannie ufrizowane jasne loki, łabędzią szyję, usta jak róży pąk i wielkie, lalkowate oczy, ocienione gęstwą rzęs niczym dwa stawy szuwarem. Akurat w guście Ricky'ego. Lawinia była dziewczyną tego samego typu, choć brzydszą, jak zauważyła Marge nie bez pewnej satysfakcji. Należało mieć nadzieję, że przyszła pani von Selerberg jest nie tylko ładniejsza, ale także miłsza od Lawinii Boyd.

- Jak ona... ehm... ma na imię?

- Kamillea. Kamillea de Comber - odpowiedziała pani Wincenta, zadowolona, że potencjalna narzeczonea przypadła synowi do gustu. - Prawda, że jest śliczna? Znałam jej matkę, Gretchen. Słodka dziewczyna... Jej córeczka jest taka sama. Jutro przyjeżdżają, sami zobaczycie, kochani...

Margerita grzecznie odczekała, aż matka przestanie się rozplęwać nad zaletami przyjaciółki z młodości, po czym poprosiła o pozwolenie odejścia od stołu i pociągnęła za sobą nadal lekko otumanionego Rinalda. Sytuację należało szczegółowo omówić, zwłaszcza że pozostało bardzo niewiele czasu.

- Mamo...? - Marge odwróciła się w drzwiach. - Czy... Czy dla mnie też kogoś wybraliście?

Na twarzy pani Wincenty odmalowało się zażenowanie. Znalezienie dobrej partii dziewczynie o takich gabarytach jak Margerita nie należało do rzeczy łatwych, a landgrafini nie chciała być tak okrutna, by wiązać swą jedyną córkę z pierwszym lepszym.

- Nie, kochanie, nie mamy jeszcze nikogo... odpowiedniego.

To znaczy nikogo, kto nie uciekłby z krzykiem, pomyślała Margerita zgryźliwie, ale jednocześnie odczuła dużą ulgę. Ren na razie mógł pozostać w bezpiecznym ukryciu, niewyciągany przed arystokratyczny trybunał.



Kamillea była rzeczywiście słodka. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Trzymała się skromnie z tyłu, kiedy rodzina de Comber wkraczała w gościnne progi von Selerbergów, a podczas oficjalnego powitania w reprezentacyjnym salonie tylko zerkała ciekawie ponad ramieniem matki, trzepocąc rzęsami w stronę Rinalda. Biedny młodzieniec został zmuszony z tej okazji do wbicia się w odświętny strój. Wyglądał bardzo dobrze i czuł się bardzo źle. Z powodu wysokiego, sztywnego kołnierza miał wrażenie, że jest psem wziętym na łańcuch. Dodatkowych cierpień dokładały mu podwiązki do skarpetek. W duchu postanowił, że dopadnie wynalazcę tego koszmaru i zabije go. A jeśli facet już nie żyje, to zabije jego wnuka!

Jeden rzut oka na siostrę przekonał go, że Marge myśli dość podobnie. Matka jakimś cudem zdołała ułożyć jej sztywne włosy w krótkie loczki, więc Ricky ocenił, że Margerita przypomina poirytowaną owcę, torturowaną gorsetem. Latorośle rodu Selerbergów z identycznymi uśmiezkami, słodkimi jak sztuczny miód, wymieniały uprzejme frazesy z gośćmi. Kamillea *au naturelle* okazała się nawet ładniejsza niż na fotografii. Rinaldo nabrał otuchy i pomyślał, że może ta nieszczęsna tradycja, której ojciec hołdował z uporem, nie jest taka zła. Ostatecznie jego złamane serce niemal się już pozrastało, był wolny, a Kamillea nie może być przecież gorsza niż Lawinia...

Złudzenia Rinalda von Selerberga rozpadły się z hukiem w momencie, gdy Kamillea otworzyła różane usteczka.

- Ahh, Rhiinaldo, wyglądasz zupełnie tak, jak sǎbię siebie wiobrażałam! Takie miłe spǎtkanie.

- Mnie rǳownie bardzo miło - wybelkotał Ricky, cofając się odruchowo i nadeptując siostrze na nogę.

Kamillea wrażenie zrobiła potężne. Pomijając osobliwy akcent oraz wtykanie gdzie się dało manierycznych „ǎ” i „ę”, pod wzgłędem przenikliwości głosu zostawiała daleko w tyle wszelkie gwizdki, trǳbki pocztowe, nieoliwione zawiasy czy teź rozhisteryzowane świnki morskie. Kamillea z kolei rzuciła się na Margeritę.

- Jakzie mi miło, Margieritko! Jaka śliczna sukienka, jakzie ci w niej do twarzy!

- Dziękuję - wykrztusiła Marge, na wpół ogłuszona.

Oboje z Rickym doprowadzili do perfekcji sztukę ignorowania rozmǳcy - juź to przemawiającego Selerberga seniora, juź to co nudniejszych wykładǳcǳw w szkole. Po prostu należało przybrać przyjemny wyraz twarzy, jednocześnienie wyłǳczając słuch. Niestety,

sposób na wyłączenie Kamillei nie istniał. Równie dobrze mogliby próbować ignorowania cyklonu, wiejącego poprzez piszczalki organów. O dziwo, zdawało się, że nikomu poza nimi nie przeszkadzał sposób bycia straszliwej *in spe* narzeczonej biednego Rinalda.

Dziewczę pokwiczało kurtuazyjnie nad suknią Margerity, wyćwierkało parę komplementów pod adresem toalety landgrafini, po czym płynnie przerzuciło się na wystrój salonu, nie zamykając ust ani na chwilę, aż Marge zaczęła podejrzewać, że panna de Comber umie mówić także na wdechu. Na szczęście podano herbatę, więc Kamillea zamknęła się, popiskując jedynie z rzadka, między jednym łyżkiem a drugim. Wstrząśnięte bliźniaki milczały nad swoimi filiżankami, wyrabiając sobie fałszywą opinię dzieci skromnych i doskonale wychowanych.



Następny dzień nie przyniósł zmian, poza tą, że Kamillea przebrała się w bardziej swobodny strój. „Kamilcia jest taka nowoczesna” - oświadczyła hrabina de Comber, wpatrzona z zachwytem w swoją jedynaczkę. Nowoczesność „Kamilci” polegała na włożeniu różowej spódniczki zaledwie do kolan i równie różowego żakiecika naszywanego cekinami. W kłapę żakiecika wpięła duży żółty krążek z tajemniczymi literami.

- LIB... - odczytał Rinaldo napis na plakietce, a na jego twarzy odmalował się głęboki namysł. - Co to jest lib?

- To po angilijsku! - kwiknęła Kamillea, produkując przeciąg rzęsami i promieniując urokiem osobistym na wszystkie strony, aż bliźniętom zrobiło się zdecydowanie niedobrze. - Lajf is bjutiful!

- Liga Idiotycznych Blondynek - wymamrotała Margerita pod nosem.

- Chi, chi... Margeritko, jaka ty jesteś śmieszniusia!

- Lubisz muzykę? - spytał Ricky z rozpaczliwą nadzieją, że może zdarzy się cud i osiągnie porozumienie z przyszłą narzeczoną chociaż w jednym, jedynym punkcie. Kamillea wydała perlisty chichot.

- A tak! Uwielbiam Pepper Elves! Ańi są taci przistojni, prawda?

Ricky, od lat wierny fan zespołów rockowych (i nieco lżejszego rodzimego holzfallera⁴), załamał się ostatecznie. Pepper Elves, aktualnie modny boysbandzik, zawodzący głównie piosneczki o miłości (szczęśliwej lub nieszczęśliwej na przemian), niedawno wslawił się

⁴ Holzfäller - muzyka folkowa, łącząca charakterystyczną łagodną melodykę piły z ostrym brzmieniem krasnoludzkiego oskarda, popularna zwłaszcza wśród drwali [*Die musikalische Enzyklopädie* pod red. Klausa Ribbentroppe].

skandalem, polegającym na tym, że połowa zespołu jedynie udawała elfy, przyklejając sobie gumowe uszy.

- Lajf is brutal - westchnął chłopak rozdzierająco i rodzeństwo wymieniło znaczące spojrzenia.

Marge uściśnieła ukradkiem jego rękę. Rinaldo poczuł, że kocha swoją siostrę jak nigdy dotąd, braterskie uczucie wypełniło go w stu procentach i nawet zaczynało ulewać się uszami. Nie doceniał do tej pory biednej Marge tak, jak na to zasługiwała. Zrobiłby teraz dla niej wszystko: oddał deser i bilet do fotoplastykonu, a nawet by zabił. Zwłaszcza gdyby ofiarą mordu miała paść Kamillea de Comber.



Gabinet Rufusa von Selerberga był jednocześnie jego komnatą myśliwską. Rufus lubił łączyć przyjemne z pożytecznym. W przerwach analizowania sprawozdań z dochodów wytwórni *aqua minerale* i rozważań nad urodzajem kocimiętki czyścił broń, przestawiał na gzymsie kominka plakietki zdobyte na zawodach strzeleckich lub przeglądał album z fotografiami kaczek myśliwskich. Od czasu do czasu wrzucał smaczny kąsek do koszyka, gdzie rezydowała Gryzelda - jego ulubienica i czempionka rasy szlachar długodzioby - aktualnie wysiadująca jajka. Rufus przemawiał czule do ptaka, a ten odpowiadał cichym „kwaak kwaaak”. Idyllę tę przerwało wtargnięcie zdesperowanego pierworodnego syna.

- Tato...! - zaczął od progu. - Tato! Ona mi się nie podoba!

Myśli landgrafa wciąż jeszcze błądziły w okolicach kaczek tematyki i nie mógł przestawić się tak od razu.

- Gryzelda?

- Jaka Gryzelda? Tato, ta cała Kamillea! Ona jest STRASZNA!

Rufus zdał sobie sprawę, że nadciąga jedna z trudnych sytuacji rodzinnych, której powinien stawić czoło. Po męsku.

- Wydaje mi się, że jest raczej ładna. Rinaldo, mój sy...

- Nie o to chodzi! - po raz pierwszy Ricky porzucił taktykę potakiwania i przerwał ojcu. - Chodzi o to, co ona mówi. A właściwie jak mówi. Przecież ona kwiczy. Zupełnie jak prosiak!

Brwi landgrafa uniosły się.

- Jak prosiak... Rinaldo, synu, uważam, że przesadzasz. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, zapewniam cię. Ostatecznie ja się przyzwyczaiłem do twojej matki.

Ricky na chwilę oniemiał, po czym bohatercko podjął temat:

- Tato, ja wiem, że mama to nie jest jakiś cud, chociaż naprawdę ją kocham. Ale mama

jednak ma więcej rozumu niż ta dziewczucha. Ona nie odróżnia rocka od holza, a o schnittersoulu nawet nie słyszała. O czym ja mam z nią rozmawiać?

- Ty nie masz z nią rozmawiać, tylko mieć dzieci - uświadomił go ojciec brutalnie, po czym, przypominając sobie własne odczucia sprzed dwudziestu lat, kiedy poznał swoją Wincentę, dodał pocieszająco: - W końcu od czegoś są kochanki.

Ricky wytrzeszczył oczy w niemałym szoku. Trochę za dużo ostatnio spadało na jego biedną, szesnastoletnią głowę.

- Zdradzałeś mamę...?!

Rufus zamachał rękami z irytacją.

- Zaraz tam „zdradzałeś”! To zupełnie naturalne, że ludzie z naszej sfery miewają kochanki. To sprawa prestiżu. A poza tym z Alicją zawsze tak miło mi się rozmawiało o kaczorach bojowych... a z Penelopą o wędkarstwie podlodowym i suchołustkach - rozmarzył się na chwilę. - Przecież nie można wymagać, żeby jedna kobieta znała się na wszystkim. Jedna zna się na kaczkach, inna na literaturze, jeszcze inna na muzyce... a jeszcze inna na tym, no... na seksie. - Ricky’emu wydawało się, że ojciec przy tych słowach leciutko się zarumienił, lecz postanowił uznać to za złudzenie.

- Ale tato... Czyja bym nie mógł sobie sam wybrać dziewczyny?

- A dlaczego miałbyś to robić? - zdumiał się Rufus. - I gdzie szukać? W szkole? Poza tym nie masz żadnego doświadczenia, synu.

- Ale tato, tobie też żonę wybrał dziadek, prawda? Więc też nie masz doświadczenia - zauważył Ricky logicznie.

- Ale tradycja...

- Tatusiu, ja chyba jestem za nowoczesny na tę tradycję - oznajmił Selerberg junior ze skrywanym bólem.

Ojciec nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc tylko uściśnął go za ramiona, co zapewne powinno być gestem dodającym otuchy. Jemu samemu przydałoby się wsparcie. Czas zdawał się już nie płynąć, lecz galopować na spienionym koniu, a senior rodu Selerbergów czuł, że nie nadąża za społecznymi zmianami. Jego córka chodziła w spodniach i trenowała pięściarstwo, syn puszczał na rodzinnym patefonie rytmiczny łomot, nazywając go muzyką, a teraz ta sprawa z narzeczoną... Raptem Rufus z całą wyrazistością uświadomił sobie, że ma jeszcze jednego syna, który za kilka lat może okazać się jeszcze bardziej nowoczesny niż pierworodny. Przeszył go dreszcz zgrozy.

- Wszystko będzie dobrze, Rinaldo. Głowa do góry. Wszystko będzie w porządku - to ostatnie powiedział już właściwie do samego siebie.

Ricky wyszedł z ojcowskiego gabinetu przytłoczony wizją przyszłości, wypełnionej hordami kobiet o rozmaitych specjalnościach. Dziesiątki, setki piskliwych blondynek, każda od czego innego, a pośród nich on jeden, samiutki i przerażony.

W ekspresowym tempie wpadł w depresję gigant. Margerita, powodowana rodzinną solidarnością, wzięła się do obmyślania sposobów ratowania brata przed straszną katastrofą matrymonialną - jeden bardziej fantastyczny od drugiego - co w rezultacie doprowadziło do konferencji w rezerwacie rusałek.



- No i tak to się odbyło - zakończyła Marge. - Najgorsze jest to, że Ricky wpadł tej zoźzie w oko i z trudem można się jej wysliznąć. Czatuje na niego jak kot na mysz. Musieliśmy wstać o szóstej rano, żeby tu przyjść.

Zaciekawiona Gladys obrzuciła krytycznym wzrokiem postać chłopaka i ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami. Są różne gusta. Możliwe, że jakaś ludzka samica może szaleć za takimi wypłoszowatymi blondaskami.

- Och, to całkiem rutynowa sprawa, moi drodzy! - zakrzyknęła, dziarsko trzepocąc skrzydełkami. - Otrujemy tę pannicę i załatwione!

Rodzeństwo spłoszyło się. Po dwóch dniach przebywania z panną de Comber nader chętnie uczestniczyliby w jej pogrzebie, ale istniały jednak jakieś zasady moralne.

- Uh, prawdę mówiąc, myśleliśmy o czymś... subtelniejszym - rzekł Ricky z nieszczerym uśmiechem. - Żeby się odczepiła sama. Albo coś...

- Coś - powtórzyła Gladys ironicznie. - Chłopcze, „coś” to możesz sam zrobić. Napluj jej na buty, zwymyślaj ją albo nawet podbij jej oko. Niepotrzebny ci do tego mój szef. Będzie skandal, cizia wróci do domu, a ty zostaniesz, wolny jako ptaszę.

- Kiedy ja nie biję kobiet - odparł Ricky z ponurą godnością.

(Posiadanie siostry większej od siebie z każdego zrobiliby dżentelmena).

- Nie możemy jej zabić albo skatować tylko dlatego, że jest głupia - powiedziała Marge. - Poza tym to by strasznie zaszkodziło naszemu ojcu. Lepiej, żeby wina leżała po jej stronie. Tylko nie mam pojęcia, w co ją zrobić. Na razie rodzina jest nią zachwycona. Że taka słodka i miłusia - dodała z niesmakiem.

Wróżka zapisała coś, po czym zdecydowanym ruchem zatrzaskała notatnik i wstała ze swego hubowego siedziska. Jej okulary na powrót zniknęły w gęstwie szalonej fryzury.

- Nic z tego nie będzie? - Ricky nie mógł opanować rozczarowania.

- Tego nie powiedziałam - odrzekła Gladys, sznurując usta. - Po prostu Ronald musi

obmyślić taktykę. Skoro nie ma to być żadne trywialne zjedzenie wroga, to... - Rozłożyła ręce. - Cena oczywiście też wzrośnie.

- Jesteśmy na to przygotowani. Byle bez przesady - odpowiedziała Margerita, w myślach obliczając oszczędności, swoje i brata.

- Oczekujcie wiadomości ptasią pocztą - usłyszeli jeszcze, po czym nastąpiło ciche „pok” i zostali sami. Jedyne dowód, że jeszcze przed chwilą był tu ktoś prócz bliźniąt, stanowiła leżąca na ziemi wizytówka, na której zdobne w zawijaski litery głosiły:



- Wilkołak imieniem Ronald i jego ehm... sekretarka - rzekł Ricky w zadumie, podnosząc wizytówkę i chowając do kieszeni. - Są rzeczy, o których nie śnili autorzy bajeczek dla dzieci.

- Ani naukowcy z Deprezji - dodała Marge.

Ricky powoli zaczął iść ścieżką w stronę posiadłości Selerbergów.

- Marge, właściwie dlaczego ty jesteś dla mnie taka dobra? Strasznie się angażujesz, a w końcu to nie ciebie chcą zaręczyć z tą... tą różową wampirzycą.

- Jak cię z nią zaręczą, to ona tu będzie ciągle przyjeżdżać. Rozumiesz, zacieśnianie więzów międzyrodzinnych itepe. I będę musiała ją widywać. Aż w końcu doczekam się gromadki kwikliwych bratanków i brataniczek. Ta myśl jest dla mnie nie do zniesienia - burknęła Margerita, po czym zapytała z lekkim niepokojem: - A co sądzisz o Renaudzie?

- Jest w porządku - odpowiedział Ricky wspaniałomyślnie. - Nic do niego nie mam, może się z tobą żenić nawet jutro.

- Rodzina jest ważna.

- O tak.

- Nie można przyjmować do niej byle kogo.

- O tak.

- Precz z różowymi świnkami!

- O tak!

Po raz pierwszy w życiu zgadzając się ze sobą w stu procentach, bliźnięta von Selerberg w bojowym nastroju zmierzały do domu, na pole bitwy psychologicznej.



- Uwielbiam природę! - entuzjasmowała się Kamillea. - Jakże to milusio, Riiciu, że mię zaprosiłeś na spacer! Jak tu romantycznie!

Ricky miał wątpliwości, czy słowo „romantycznie” dobrze określa dookolne chaszcze.

Chyba że ktoś faktycznie lubi kłujące gąszcze jałowca lub całe polany paproci, wysokich po pas. Ricky osobiście nie lubił, wolał otwarte przestrzenie podgórskich wrzosowisk oraz łąk zielonych, szeroko wokół jego zamku rozciągniętych, jeśli już utrzymujemy się w nastroju romantycznym. Ale cóż począć, zeszłego wieczora na oknie w pokoju Ricky'ego wylądował dość mocno wymiętoszony zimorodek. Wypluł niewielką karteczkę, niewątpliwie wiadomość zapowiadaną przez zielonooką Gladys, po czym z wrednym wyrazem dzioba narobił na parapet. I odrznął. Na karteluszkę natomiast stało ni mniej, ni więcej, tylko polecenie, by Rinaldo zaprosił sam-wie-kogo na podryw do rezerwatu rusałek, w sam-wie-jakie miejsce. Nie pozostawało nic innego, jak drżącą ręką nakreślić na innej kartce parę zachęcających słów, po czym wsunąć liścik pod drzwi Kamillei. W przyływie natchnienia Ricky skropił go swoją wodą kolońską, ale wyglądało na to, że Kamillea nie potrzebuje dodatkowej zachęty. Odpowiedziała tym samym sposobem po dziesięciu minutach. I po piętnastu... I po półgodzinie... Na biurku Ricky'ego rósł stosik miłosnej makulatury aż do momentu, kiedy pannie de Comber skończyła się papeteria w różyczki. W pierwszym odruchu Rinaldo chciał wyrzucić to wszystko do kosza, potem jednak z mściwym uśmiechem zapakował listy na dno walizki. Przynajmniej będzie miał czym zaimponować kumplom w szkole. Nie wspominając o wywarceniu subtelnej zemsty na Lawinii.

A teraz Kamillea czepiała się raz po raz jego rękawa, zaglądała w oczy i wdzięczyła się bez przerwy, gruchając i pokwikując, aż Ricky odnosił wrażenie, że lada chwila dziewczę zamieni się w rozerotyzowaną świnkę morską.

- Och, Rickky... przecież dobrze wiem, czemu mię tu przyprowadziłeś... - wytchnęła, zbliżając twarz do jego twarzy i zawzięcie wiosłując rzęsami. Odruchowo cofnął się, czując nagle za plecami twardy pień sosny. Droga ucieczki była odcięta.

- Nię bądź taki nieśmiały, głuptasie...

Ratunku! Ratunku! - zakrzyknął w duchu nieszczęsny Rinaldo, z całych sił przyciskając się do drzewa. Gdybyż tak jakaś przyjazna driada otworzyła drzwi...! Niestety, płonne nadzieje. Ricky miał oczywiście doświadczenie w całowaniu się z dziewczynami, nie był też dziewicą - prawie - ale sama idea oblizywania się z Kamillea de Comber, aczkolwiek urodziwą, napawała go irracjonalną odrazą. Wziął głębszy oddech, przygotowując się psychicznie na ustny gwałt. Uszmkowane wargi straszliwej Kamillei zbliżały się, napęczniałe żądzą niczym głodna ośmiornica... I kiedy już gasła ostatnia iskra nadziei, rozległo się, wygłoszone tonem ostrym niczym dźwięk kawalerskiej trąbki:

- Te, lala! Odwal się od niego!

Kamillea kwiknęła i podskoczyła, jakby ktoś dźgnął ją w tyłek. Co może zresztą było

prawdą, gdyż Ricky z niebotyczną ulgą ujrzał rozczochraną bojowo Gladys z ołówkiem w ręku. Wróżka dała susa, trzepocąc skrzydełkami, zawisła na sekundę w powietrzu, rzucając jednocześnie rozkaz:

- Ricky, wydech!

Ricky na wszelki wypadek w ogóle przestał oddychać, za to zaatakowana Kamillea postanowiła wrzasnąć, co okazało się grubym błędem, gdyż w celu wrzaśnięcia, jak wiadomo, należy nabrać powietrza. Otoczona chmurką opalizującego pyłu, zakaszła tylko słabo i osunęła się na mech. Gladys wylądowała elegancko na ziemi, strzepując ze skromną miną spódniczkę.

- Nie żyje? - wyszeptał Ricky, nachylając się nad nieruchomą Kamillea.

Kiedy milczała, wydawała się dużo bardziej atrakcyjna.

- A zamawiałaś zabójstwo?

- Nie - bąknął chłopak.

- No to nie zadawaj głupich pytań.

- Co to było? Ten proszek.

- Pył wróżek.

- Myślałem, że po tym się fruwa.

- Błąd pojęciowy. Nie fruwa, tylko odlatuje - wyjaśniła Gladys. - Ronaldzie, możesz wyjść.

Nie było żadnej reakcji, więc powtórzyła głośniejszym głosem:

- Ronaldzie!

Dopiero wtedy spomiędzy paproci podniosła się znajoma postać wilkołaka. Jak się okazało, cały czas był o krok, doskonale zakamuflowany w zieleni. Strzepnął uszami i ziewnął z zakłopotaniem.

- Przepraszam, to długo trwało i chyba zasnąłem.

Tak jak przed chwilą Ricky, zielony stwór pochylił się nad nieprzytomną dziewczyną i powąchał ją ostrożnie.

- Więc to jest... obiekt? No cóż, żadne z niej чудо - orzekł lekceważąco. - Widziałem lepsze dziwożony. Strasznie chuda. Pacek!

Między paprociami ukazał się z kolei dorodny rusał w powyciąganym swetrze i gumowcach. Z ramienia zwieszał mu się zrolowany bury koc.

- Pacek, przypilnujesz panienki. Rusał nadstawił spiczastych uszu.

- Dobra, mogę popilnować - zadeklarował i przesunął w kąt ust przeżuwaną trawkę.

- I nie będziesz jej rusa... tfu! ruszał! - przykazała surowo Gladys.

Przy wzroście stu dwóch centymetrów kojarzyła się z pinczerkiem obszczekującym doga.

- Dooobra - zgodził się rusał, wtykając ręce do powypychanych kieszeni bojówek.

- Skrewisz, to osobiście się postaram, żebyś nie mógł rusańczyć do końca życia - zagroziła wróżka. - Tamten raz to był pierwszy i ostatni.

- Dooobra, szefowa to taka normalnie nieżyciowa jest - poskarżył się rusał, wywracając opalizującymi oczami, ale nic więcej już nie powiedział, tylko żuł swoją trawkę i popatrywał posepnie na śpiącą Kamilkę.

- No to mamy z głowy. A więc, młodzieńcze, zrobimy tak, słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać... - Wilkołak zatarł zielone, pazurzaste łapska, zwracając się do Ricky'ego.



Margerita niespokojnie wyglądała przez okna, wychodzące na rezerwat rusałek. Gdzie ten Ricky się podziewa tyle czasu? Od rana próbowała odwracać uwagę od poczynąń brata, co było utrudnione, tym bardziej że zjeżdżali się krewni zarówno von Selerbergów, jak i de Comberów, wszyscy zainteresowani głównie zaręczynami Kamilki i Rinalda, w następnej kolejności jego urodzinami, a na samym końcu urodzinami Marge. Zepchnięcie na najdalszy plan, prawdę mówiąc, w ogóle jej nie przeszkadzało. Miała wystarczające powody do zadowolenia, gdyż po długotrwałej tresurze ciotki wreszcie przestały na jej widok wznosić okrzyki: „Jak ty urosłaś, Margeritko!”.

- Nie wiem, czy to stosowne, żeby oni chodzili na samotne spacerunki - odezwała się hrabina de Comber za plecami Marge. - Sami? W lesie? Niestosowne. Mogłoby do czegoś dojść...

- Ależ skąd - uspokoiła ją pani Wincenta. - O ile tylko Ricio pamiętał o zabranii spraju na rusałki, to do niczego nie dojdzie. Poza tym rusałki zaczynają okres parzenia dopiero w połowie maja.

Sądząc z odgłosów, hrabina zakrzuszyła się herbatą. W takich momentach Marge naprawdę kochała swoją matkę, mimo jej wszystkich wad.

- Wracają do domu - oznajmiła, gdyż istotnie na drodze wijącej się między zieleniejącymi wiosennie zagonami dojrzała dwie plamki: jedną czarną (czyli brata w jego ukochanej skórze) i jedną wściekle różową (niewątpliwie Kamilkę w upiornie słodkiej kreacji „młodzieżowej”).

Kiedy spacerowicze weszli do salonu, już od progu było widać, że z dziewczyną dzieje się coś dziwnego. Rozczochrane włosy i malinowe wypieki można było złożyć na karb wiatru i świeżego powietrza, natomiast krzywo zapięty żakiecik, nieprzytomne spojrzenie oraz tendencje do podrygiwania zdawały się co najmniej podejrzane.

- O, wszystko w porządku, kochanie? - spytała pani von Selerberg, zanim jeszcze hrabina

otrząsnęła się z chwilowego szoku.

- Tak, mamó - odparła Kamillea, uśmiechając się promiennie i głupawo.

- To moja mama - syknął Ricky przez zęby.

- Ćwiczę - odparła natychmiast Kamillea, szczerząc się jak różowy rekin. - Jako twoja żona będę kiedyś mówić do tej pani „mamo”, prawda?

- Kamilciu, jakoś dziwnie mówisz. Kochanie, dobrze się czujesz? - niepokoiliła się hrabina de Comber. - Panie von Selerberg - zwróciła się nieco podniesionym głosem do Rinalda, wstając, by dodać sobie powagi - natychmiast proszę wyjaśnić, co zaszło na owym... spacerze!

- Och... poszliśmy do lasu... r-rozmawialiśmy... - jąkał się Ricky ze zmieszaniem. - Ahm... i spotkaliśmy wil... wielką rusałkę! I ta rusałka...

- Ugryzła mnie w tyłek! - dokończyła Kamillea z ogromną satysfakcją, potrząsając lokami.

Hrabina z rozpaczliwym jękiem osunęła się z powrotem na fotelik, łapiąc się za gors. Wincenta von Selerberg, posiadaczka dwojga nastoletnich dzieci i niekonwencjonalnego męża, była bardziej odporna.

- Riciu, nie zabrałeś środka na rusałki?!

Ricky bezradnie rozłożył ręce.

- Przepraszam, mamó. Ale tutejsze rusałki i tak są szczepione... Chociaż może powinien ją zbadać lekarz? - dodał, widząc, jak Kamillea ogląda z zainteresowaniem zastawę herbacianą i usiłuje uczesać sobie grzywkę widelczykiem do ciasta.

- Kamilciu, ty jesteś niezdrowa. Ty się musisz koniecznie położyć - zdecydowała hrabina, odzyskując siły. Złapała córkę za łokieć chwytem niemalże zapaśniczym i wyprowadziła z salonu, po drodze artykułując kilka grzecznościowych frazesów.

Margerita ruszyła się w końcu ze stanowiska pod oknem, posławszy bratu znaczące spojrzenie.

- Maman, też powinnam się położyć, jeśli w nocy chcę tańczyć na przyjęciu.

Ewakuowali się pośpiesznie z salonu, zanim matka rozpoczęła wywiad, dlaczego Margerita nagle ma ochotę na tańce, które zawsze uważała za czynność uwłaczającą i obrzydliwą.

- I co?! - wyszczała Marge już na korytarzu, rozglądając się przezornie, czy nie ma nikogo w pobliżu. - Rzucił na nią coś? Zahipnotyzował?

- Lepiej! - Ricky rozpromienił się. - Chodźmy do mnie, wszystko ci opowiem.



Hrabina de Comber nie była w stanie utrzymać córki w łóżku, więc niebawem Kamillea znów pętała się po posiadłości, kompromitując się średnio co pięć minut. Bliźnięta snuły się za nią jak cienie ze zgorzonymi minami, choć w rzeczywistości ich zachwyty rósł, kwitł i wypuszczał liczne odnóżki. Na widok „Kamilci” zjeżdżającej po poręczy w holu Marge omal nie zawyła z radości, zwłaszcza że odbyło się to w obecności dwóch osłupiałych wujów. Akcje panny de Comber spadały na łeb na szyję.

- Niessamowite... niessamowite... - mamrotał Ricky pod nosem, obserwując w upojeniu ekscesy „narzeczonej”.

W końcu Marge uznała, że powinna wkroczyć do akcji.

- Kamilleo, kochanie, odpocznij może - powiedziała słodko, biorąc dziewczynę pod ramię.
- Zmęczysz się takim bieganiem, a przecież dziś o północy wielki finał, prawda?

- Finał? - Blondynka popatrzyła na nią ryblem okiem.

- Macie podpisać z Rinaldem intercyzę. Wszyscy goście będą obecni...

Kamillea rozpromieniła się.

- O tak! Nie mogę się doczekać! To będzie *niezapomniana* uroczystość, Margeritko!



Hrabina de Comber cierpiała męki psychiczne, obserwując poczynania swej pogryzionej przez rusałkę córeczki (wolała nie myśleć, gdzie Kamillea została ukąszona). Być może rusałka miała również wściekliznę. Co za potworny dzień! Gdyby Kamilcię napadł wilk, lew, krwiożerczy bóbr - cokolwiek żyło w tych piekielnych górach - i ją zranił (troszeczkę oczywiście), teraz przynajmniej leżałaby na łożu boleści, romantycznie blada... a narzeczoney klęczałby u jej stóp i całowałby stygnące skronie ukochanej. Rozstrojonej damie nie przyszło do głowy, że byłby to wyczyn dość ekwilibrystyczny. Wszystko sprowadzało się do tego, że umierająca (trochę) hrabianka na przykład nie wychylałaby się oknem, by pluć na służbę, ani nie latałaby po korytarzu w koronkowych majtkach - to ostatnie sprowadziło na hrabinę ciężką migrenę. Zaczęła nawet przebąkiwać o odłożeniu uroczystości. Później Kamillea uspokoiła się jak gdyby, ale w każdej chwili mógł nastąpić nawrót działania rusałczanej toksyny. Jej matka zmieniała zdanie trzy razy na godzinę, tymczasem czas upływał, nastał wieczór i już było za późno, by cokolwiek odłożyć.

W wielkiej jadalni służba zmontowała stoły i nakryła je śnieżnobiałymi obrusami. Pani Catway zawiadywała rozstawianiem sreber i porcelany - spod sufitu, gdyż postanowiła własnoręcznie przyozdobić herb von Selerbergów liliami. Kwiaty owe stanowiły bowiem

godło rodziny de Comber, a wszystko razem miało pięknie symbolizować unię między rodami. Pani Wincenta stała pod drabiną, z rozrzwieniem oglądając rodzinnego węża w lelijach, i pomagała metodą „jeszcze troszkę przesunąć w lewo”.

Z szybu kuchennej windy unosiły się upojne zapachy, walczące z wonią kwieciami w wazonach. Don Angelo przygotowywał fajerwerki na tarasie, stylowo powiewając w wieczornej bryzie peleryną haftowaną w gwiazdozbiory i złote motylki. Co prawda twierdził on uparcie, że są to ćmy - symbole wiecznego snu i ulubione zwierzątka Tanatosa, boga śmierci. Tajemnicą poliszynela było, że ów niemodny aksamit w motylki po prostu nie miał wzięcia w pobliskim sklepie z tkaninami i został sporo przeceniony.

W końcu nadszedł czas, by goście zajęli swoje miejsca. Wszyscy wysztafirowani, sztywni w swych odświętnych toaletach i niewiarygodnie nudni, jak w skrytości ducha uważały bliźnięta. Do tej pory Marge i Ricky urodziny obchodzili znacznie bardziej na luzie: a to z innymi dziećmi na piknikach na świeżym powietrzu, jeszcze jako maluchy, a to znów przy ogniskach, rozpalanych z okazji Nocy Walpurgi⁵, gdy już dorosli do wieku, kiedy nie trzeba iść do łóżka grubo przed północą. Tym razem jednak, z racji doniosłego charakteru uroczystości, zaproszono rodziny. Humorzyste ciotki, przedpotopowych wujaszek, nudnawe kuzynki i tak dalej. O dzikich tańcach i grzonym winie przy ogniu, plującym iskrami w czarne niebo, nie było co marzyć. Z trudem wynagradzały to stosy prezentów, zgromadzone na bocznym stole.

Odświętnie przylizany, znów wbity we frak Ricky zauważył z zadowoleniem, że Kamillea jest równie niewygodnie.

Spowita w bladioróżowe (a jakże!) tiule, sprasowana w talii fiszbinami do średnicy niemalże butelki, miała naburmuszoną minę i drapała się ukradkiem to tu, to tam, ku straszliwemu zgorszeniu i konsternacji hrabiny. Oczywiście Kamillea jako *in spe* narzeczona. Selerberga juniora siedziała obok niego, co stwarzało okazję do konwersacji.

- Dlaczego tylko jeden? Gdzie tort Margerity? - zapytała Kamillea ciekawie, kiedy kuchmistrz Grunwald z dumą wturlał wielki tort na stoliku na kółkach.

Tort był co prawda ozdobiony zawijaskami z kremu i cukrowymi różyczkami, ale Ricky docenił, że są to różyczki czarne. Pocziwy stary Grunwald doskonale wyczuwał gusta młodego panicza. Dokoła tortu biegł napis z czekolady: *Najdroższemu Rinaldo z okazji szesnastych urodzin - rodzice.*

⁵ Noc Walpurgi, tradycyjnie obchodzona z 30 kwietnia na 1 maja, ciesząca się złą sławą święto nadnaturalnych mocy.

- My nie mamy urodzin jednego dnia - wyjaśnił Ricky przyciszonym głosem.

- Zawsze myśla...łam, że bliźniaki rodzą się razem.

- Nie jesteśmy typowi - mruknął Ricky. - Ja mam urodziny dziś, a Marge jutro. Była między nami pewna przerwa... i Marge urodziła się już po północy. Jej tort wniosą później.

- W ten sposób ty masz urodziny jeszcze w kwietniu, a ona już w maju. Bardzo niezwykle daty - zauważyła Kamillea bystrze i jakby zreflektowawszy się, że wychodzi z roli, zaniósł się perlistym chichotem, z afektacją zasłaniając różane usteczka.

Matka rzuciła jej jastrzębie spojrzenie znad talerza, ale potem uśmiechnęła się z lepką słodyczą, widząc jak córka adoruje Selerberga młodszego, nawijając figlarnie loczek na paluszek.

Przystawki przeszły bez większych wstrząsów, podobnie jak zupa rakowa. Katastrofa przypęzła podstępnie, kiedy na stół wjechała faszerowana kura. Słodkiej Kamilci błysnęło w oku, jednym ruchem porwała kurę w całości na swój talerz i zaczęła konsumpcję bez pomocy sztuców, aż sos pryskał dokoła. Gwar rozmów przy stołach stopniowo opadł i ucichł, podobnie jak to dzieje się w orkiestrze, kiedy dyrygent pada na zawał, muzycy jeszcze chwilę ciągną symfonię nie w takt, a w końcu całość zamiera (z obowiązkowym fałszywym trrruuuuu zaambarasowanego puzonisty na końcu).

Hrabina de Comber straciła głowę, zerwała się ze swego miejsca, przewracając krzesło, i rzuciła się ku córce, usiłując wyrwać jej nieszczęsnego kuraka spomiędzy szczęk. Kamillea zawarczała głucho.

- Ona się chyba wściekła - zasugerował Rinaldo i odchylił się maksymalnie od niebezpiecznej sąsiadki, prawie się przy tym kładąc na talerz siostry.

Hrabina ponowiła wysiłki. Kamillea wyciągnęła zęby z mięsa, a potem zupełnie po psiemu capnęła za palec matkę, która kwiknęła krótko i zamarła, z niedowierzaniem wpatrując się w swój kciuk.

Wśród gości rozeszło się mamrotanie, ponad które wybiło się pytanie Rufusa von Selerberga, wypowiedziane donośnie tonem naukowego zainteresowania:

- Czy to jest zaraźliwe?

Hrabina podniosła na niego wytrzeszczone oczy, po czym zemdląła. Kamillea z kurczakiem w zębach wskoczyła na stół, co spowodowało, że większość gości poszukała schronienia pod nim.

- Łapcie ją! Zamknijcie gdzieś! Wezwijcie służby dezynsekcyjne! - zagrzmiął Grunwald od progu, przypomniawszy sobie widać chwalebne dni służby wojskowej.

- To przecież nie jest karaluch, to dziewczynka! - oburzyła się pani Catway i zakasała

rękawy wieczorowej sukni, zapewne chcąc ściągnąć oszalałą Kamilę z blatu, gdzie zagrażała porcelanie. Bliźniaki zajęły strategiczną pozycję za tortem.

- Złaż w tej chwili, ty obłąkana dziewucho! - zażądała ochmistrzyni głosem nieznoszącym sprzeciwu, łapiąc Kamilę za skraj sukni.

Hrabianka zwróciła na nią nabiegłe krwią oczy, wypuściła z zębów sponiewieraną kure, po czym zadarła głowę ku gontyckiemu sklepieniu i zawyła przeraźliwie. Bładoróżowe jedwabie i tiule pękały na niej, odsłaniając falujące mięśnie oraz wyrastające zewsząd kłaki burej sierści.

- Wilkołak! - wrzasnął landgraf, chwytając srebrny widelec. - Grunwald, dawaj gwintówkę!

Hrabina, która właśnie zaczynała dochodzić do siebie, zemdląła na nowo.

- Niemożliwe, jest nów! - odparł don Angelo, bombardując Kamilę grzankami czosnkowymi. Ze zdenerwowania zapomniał, że czosnek szkodzi tylko wampirom.

- Widocznie to jest taki nowiowy wilkołak! Przecież dziś Noc Walpurgii A kysz, a kysz, siło nieczysta! - Rufus von Selerberg zasłonił się przed zwilkołaczoną Kamilą skrzyżowanymi srebrnymi sztucami.

Wilkołaczyca znowu zawyła, tocząc pianę z pyska. Niewiele już było w niej z dziewczyny - wargi wywinęły się złowrogo, odsłaniając długie kły, wypiełgnowane paznokcie transformowały w bardzo niemilo wyglądające szpony, a spod strzepów tiulu wyglądał wilczy ogon. Pani Wincenta w chwili natchnienia celnie cisnęła w potwora srebrną solniczką. Wilkołak zaskowytał, skulił się, a potem nagłym susem wyskoczył przez okno, niszcząc zabytkowy witraż. I jedynie Marge z Rickym zauważyli, że podczas skoku zgrabnie zgarnął pazurzystą łapą kolejnego kurczaka.

Zanim Grunwald przybiegł ze strzelbą, po wilkołaku ślad już stygł. Za to hrabina de Comber, ocucona tymczasem przez krewne, na widok broni dostała spazmów.

- To chyba moje najpiękniejsze urodziny - mruknął Ricky i zgarnął palcem trochę kremu z tortu.

Gdzieś w oddali zegar zaczął bić północ.

- Moje też - odpowiedziała Margerita, oblizując tort z drugiej strony.



Ekspedycja, wysłana rankiem na poszukiwania Kamillei de Comber, odnalazła dziewczynę śpiącą twardo pod sosną w rusałczanym rezerwacie. Była trochę brudna i zziębnięta, ale poza tym cała. Jedyne ślad ataku wilkołactwa stanowiła kompletnie podarta suknia balowa.

- Żadnych zadrapań, żadnych sińców! Powinna się poranić, przelatując przez witraż! - tryumfował Rufus. - Wszyscy wiedzą, że na wilkołaku rany goją się jak na psie! Zwilkołaczyła się na amen! Nawiasem mówiąc, za ten witraż to ja hrabinie wysłę rachunek!

Rozpaczająca hrabina de Comber pozbierała manatki w ciągu godziny i wyjechała w ogromnym pośpiechu, zabierając ze sobą zdumioną, niczego nierozumiejącą córkę. Kamillea miała wielką dziurę w pamięci, od kiedy spacerowała z narzeczonym (teraz już byłym) po lesie aż do chwili, gdy obudzono ją w tymże lesie, leżącą na twardej ziemi i szyszkach.

Bliźnięta świętowały cichutko zwycięstwo w pokoju Rinalda, w miłym towarzystwie piwa imbirowego oraz resztek urodzinowej uczyty.

- Czy myśmy nie postąpili trochę okrutnie? - zastanowił się Rinaldo, który miał w gruncie rzeczy miękkie serce. - Opinia będzie się za nią ciągnęła przez całe życie.

- E tam - Margerita wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Po pierwsze, badania lekarskie nic nie wykażą, a okultystyczne dadzą co najwyżej odczyt, że miała niewielki kontakt z magią. Akurat tyle, ile ma pierwszy lepszy dzieciak po zjedzeniu magicznego ciastka w Halloween. Po drugie, plotki mogą co najwyżej sprawić, że będzie miała większe powodzenie u facetów... no wiesz, tych dziwnych.

- Uhm... - Ricky udał, że wie, o jakich „dziwnych” mężczyzn chodzi jego siostrze. - Musimy zapłacić wilkołakowi zaczął z innej beczki. - Robotę wykonał na cacy, trzeba przyznać. Znów będziemy łązić po lesie z kurą na wędce? - spytał niepewnie. - Może on ma jakiś adres? Bo skoro ma sekretarkę, to może i biuro...?

Raptem przypomniał sobie coś i sięgnął do kieszeni kurtki, wyjmując lekko pomiętą wizytówkę.

- Ronald Wilkołak, spółka z ograniczoną poczytalnością, nieograniczone usługi dla ludności na każde skiknienie - przeczytał. - Skiknienie? Aj! - Z wizytówki uniosła się błękitnawa iskra, ledwo widoczna w dziennym świetle.

Ricky powtórzył:

- Skik... Ala! - Tym razem były to już dwie iskry, trzeszczące cichutko, a w powietrzu rozszedł się leciutki zapach ozonu.

Ricky trzymał wizytówkę z dala od siebie w dwóch palcach, bojąc się zarówno schować ją z powrotem do kieszeni, jak i rzucić na podłogę.

- Podskocz! - rozkazała Margerita.

Ricky rzucił jej wymowne spojrzenie, ale podskoczył. Prostokącik kartonu rozjarzył się błękitną poświatą, a ponad nim ukazał się półprzezroczysty wizerunek głowy rozczochranej modnie Gladys.

- Witamy szanownych państwa. Firma Wilkołak spełni każde państwa życzenie... O, cześć, Ricky! - Gladys porzuciła oficjalny ton, uśmiechając się sympatycznie. - Jak wrażenia z imprezki?

- Ekstra! - wyszczerzył się Ricky do widmowej główki. - Twój szef dał niezły show. Jak mamy zapłacić za usługę?

- Przyślemy gońca.

- O, szkoda, myślałem, że... - Ricky zbierał do kupy swoją odwagę, a potem wypalił: - Co robisz dziś wieczorem?!

Gladys znów się uśmiechnęła, zalotnie trzepocąc rzęsami.

- Idę do klubu Fairy Heat, gra tam mój ulubiony zespół.

- O! - ucieszył się Rinaldo.

- Ale nie wpuszczają nikogo poniżej osiemdziesiątki - dodała wróżka. - Niestety, chłopcze.

- O... - Ricky zmarkotniał.

- Nie martw się, skarbie. Mnie i tak nie wolno umawiać się z klientami. Pa! - Gladys cmoknęła powietrze i zniknęła, pozostawiając zasepionego młodzieńca.

- Ricky... - odezwała się Margerita. - Przestań choć na chwilę myśleć o babach, odpocznijmy od tych cholernych amatorów. Zapomnijmy przynajmniej na jeden dzień, że mamy już po szesnaście lat, i zwyczajnie chodźmy na ryby. Co ty na to?

Ricky ożywił się. To nie był zły pomysł - gwarantował, że żadna z pretensjonalnych kuzyneczek, snujących się po zamku i plotkujących co siłą, nie zdecyduje się na towarzyszenie bliźniętom. Ryby były oślizgłe i zupełnie nie *comme il faut*. Właściwie to był nawet superpomysł.

- Oczywiście, Marge. Jak sobie życzysz. W końcu dziś są twoje urodziny.



DIABLI WZIĘLI

**CZYLI
THRILLER OKULTYSTYCZNY**



Należy uważać, co się mówi. Nigdy nie wiadomo, kto usłyszy nasze słowa i jak je zinterpretuje. Oczywiście niewielu ludzi kieruje się tą jakże słuszną ideą. Rinaldo von Selerberg nie stanowił wyjątku. Zresztą czemu miałby stanowić?

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli dam się ożenić! - rzekł buntowniczo, siedząc w przedziale drugiej klasy pociągu zdążającego do Schweingehölz na końcówkę wiosennego semestru. Co prawda młodzi Selerbergowie mogli podróżować pierwszą klasą, ale nie zdarzyło się to im od długiego już czasu. W mniej ekskluzywnych wagonach, tych bez pluszowych kanap i firaneczek, spotykało się znacznie bardziej interesujących współpasażerów, nie wspominając o kolegach ze szkoły dosiadających się po drodze. Za oknem wagonu migało to, co zwykle miga w takich wypadkach - głównie kwadratowe poletka zielonej młodej kapusty, zielonego owsa, zielonego pasternaku i od czasu do czasu zielone lasy sosnowe. Niejakie urozmaicenie w zielonym miganiu stanowiły wiejskie zabudowania (dachy kryte szarym łupkiem albo strzechą) lub czerwone dachówki małych miasteczek.

- Popieram - mruknęła Margerita, rozbebeszając swój bagaż. - Gdzie są kanapki z peklowaną wołowiną?

- Za dużo jesz - wytknął jej brat. - Za dużo ważysz i ogólnie jest ciebie za dużo. A peklowana wołowina to wyjątkowe świństwo.

- Lubię wołowinę i muszę dużo jeść, bo dużo ćwiczę - odparła Marge, znajdując wreszcie pudełko z kanapkami. - Poza tym Renaud nie lubi chudych kobiet.

- No jasne, należy zadowalać Renauda - rzekł Ricky z lekkim przekąsem. - Znokautuj go, zdepocz, oszołom. Może nawet się z tobą ożeni, siostró.

Marge roześmiała się, niezrażona docinkami bliźniaka. Znała go dostatecznie długo, by wiedzieć, kiedy Rinaldo nie mówi serio.

- Niech mnie diabli, jeśli tego NIE zrobi - prychnęła i wbiła zęby w chleb.



Poświstując przez zęby, agentka Lill Astaroth patrzyła w zadumie w ekran monitora. Ludzie potrafią się wręcz niewiarygodnie podkładać. Pokręciła głową z dezaprobatą i zwolniła klawisz nagrywania. Miała już dość materiału, dalej szkoda było marnować taśmy. Drzwi jej boks uchyliły się gwałtownie, w szparze najpierw ukazała się rogata głowa Leonarda de Vill, a w ślad za nią do środka wparadowała reszta, przyozdobiona krawatem z napisem GO TO HELL.

- Cześć, Lily. Kończysz dyżur? Może pójdziemy razem coś zjeść?

Lill przewróciła oczami z irytacją.

- Leo, po pierwsze: jeszcze raz powiesz do mnie Lily, to będziesz szukał swojego ogona w najbliższym kubie na śmieci. Po drugie, mamusia nie uczyła cię pukać? Mogłam przecież...

- Modlić się? - przerwał jej Leo beczelnie.

- Mogłam mieć na ekranie Secret Service, a wtedy byś wylądował na czyszczeniu pamięci.

- Doniosłabyś? Na kolegę? - zaskomlał Leo z niezłym wyczuciem dramatyzmu.

- Pajac. Nie zastanawiałabym się nawet minuty - odparła Lill bezlitośnie. - I zdejmij tę idiotyczną ozdobę, na Lucifera, wyglądasz jak ostatni kretyn. Nie wiem, co was opętało z tą głupią modą.

De Vill skrzywił się, ale zdjął rogi. Zresztą imidzu Agenta Dołu na pewno nie da się uzyskać za pomocą pary czerwonych, podświetlanych diodami rogów, zwłaszcza jeśli poza tym jest się z lekka niechlujnym informatykiem w kraciastej koszuli i firmowym krawacie.



Tu przydałoby się zapewne kilka słów wyjaśnienia, kim właściwie jest ta sympatycznie pogadująca parka. Jak się można domyślać, nie są ludźmi. Lilith Lukrecja Astaroth na określenie „diabeł” odparłaby zjadliwie, że diabły występują w jasełkach, a jej rasę nazywa się „demonami”. Z kolei Leonardo de Vill radośnie przyznałby się do diabelstwa, nałożył pulsujące światełkami rogi i zaprosiłby nas na zimne piwo do pubu U Stalina. Może więc lepiej zostawić sprawę przynależności rasowej na kiedy indziej. Powszechnie uważa się, że diabły... demony... no, te istoty na D, żyją w piekle, czy może w Piekle - zależy to od indywidualnych zapatrywań religijnych danej osoby. W rzeczywistości jednak jedynym „piekłem” jest tam HELL, czyli Heurystyczna Ekspozytura Logiczno-Logistyczna, gdzie pracują Lill i Leo. Trudno byłoby w tym „piekle” wypatrzeć jakąś smołę i kotły, chyba że wziąć pod uwagę asfalt na parkingu i zbiorniki centralnego ogrzewania w suterenie. Pracownicy ekspozytury z właściwym sobie poczuciem humoru własny adres określali nieodmiennie jako „Aleja Potępienia numer 666, wymiar cztery i trzy czwarte, skrócić za warzywniakiem na wpół do piątej”.



Wyszli przed budynek HELL-u, przed którym jak zawsze kręcił się pozornie bezcelowo wielokolorowy, wielo-kończynowy i ogólnie wielorasowy tłumek pracowników poziomu technicznego. Leonardo przeciągnął się, aż trzasnęły mu stawy, i spojrział zezem w ametystowy przestwór nad głową.

- A więc to jest niebo... fiu-fiu, robi wrażenie... Prawie zapomniałem, jak wygląda.

- Kiedy ostatnio wyjrzałeś z tej waszej nory? - spytała Lill, zręcznie uskakując przed cyberoidem, który zataczał się po chodniku, puszczając obłoczki pary ze wszystkich złączy. - No żeż...! Powinni częściej robić przeglądy.

- Chyba w lustrze. Brak funduszy, brak czasu, brak personelu... Tylko roboty nie brak - zauważył Leo melancholijnie i ziewnął. - Właśnie schodzę z czterdziestu ośmiu godzin, a przedtem dzieliliśmy się dyżurem Pabla.

- A co z nim?

- Pablito założył się, że zje poczwórną porcję Trzech Esów, dostał rozstroju wszystkich żołądków i prawie całą swoją zmianę spędził w kiblu - wyjaśnił Leo.

- Mężczyźni! - prychnęła Lilith. - Zupełnie jak dzieci, doprawdy!

- Carissima, przecież nam też się należy jakaś rozrywka - odrzekł demon, robiąc minę skrzywdzonego Kubusia Puchatka, i szarmancko otworzył przed koleżanką drzwi, nad którymi zawieszono przybrudzony czerwony neon.

Z wnętrza pubu natychmiast zaleciał znajomy aromat przypalonej frytownicy oraz słynnej Specjalnej Solanki Stalina⁶. Leo szalenie lubił to miejsce, twierdził, że jest tam „świetna atmosfera”. Co prawda Lilith nie bardzo wiedziała, jak do owej atmosfery mają się czerwone zasłonki w sierpy i młoty oraz reprodukcje najważniejszych dzieł sztuki socrealistycznej, porozwieszane na ścianach, ale po cichu przyznawała, że w pewien sposób było tu przytulnie.

- Josifie Wissarionowiczu, mam coś dla pana! - zakrzyknął wesoło Leonardo, sięgając do kieszonki na piersi.

Wyciągnął białą kopertkę i podał ją wąsaczowi, majestatycznie królującemu za barem. Eksdyktator przyjął podarek z nieprzeniknioną miną, ani na chwilę nie przestając ssać nieodłącznej fajki. Zajrzał do środka i wąs mu się nastroszył, a oko błysnęło.

- Czudiesia... - mruknął poprzez fajkę i wąsy, wyciągając z koperty znaczek pocztowy. - Korea, tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty. Okolicznościówka na zjazd partii. Krótka seria, z błędem... Napisali MYP zamiast MUP⁷, durne kitajce. Zdaje się, że ktoś za to pojechał tam na „zimną daczę”. Bolszoje spasiba, Leonardzie Baalewiczu. - Stalin z pietyzmem schował znaczek w klaserze i zapytał:

- Co podać?

⁶ Specjalna Solanka Stalina - tradycyjna zupa rosyjska w menu U Stalina, zmodyfikowana na potrzeby mieszkańców wymiaru czwartego, zawiera głównie kwas solny i kiszzone ogórki. Zwykle jada się ją tylko dwa razy - pierwszy i ostatni. Popularna wśród cyberoidów jako świetny środek do czyszczenia karoserii.

⁷ MYP - mur (ros.); MUP - pokój (ros.).

De Vill przebiegł wzrokiem po menu, wypisanym kredą na tablicy, mimochodem zerknął na niewielkiego cthulhu, spożywającego dwiema trąbiastymi paszczkami dwie porcje blinów ze śmietaną (kolejne zasysały jakąś podejrzaną ciecz z kufli).

- Pizzę z ośmiorniczkami proszę - zdecydował. Cthulhu zacharczał tonem głębokiej niechęci, a po jego ciele przebiegła fala zieleni i fioleto.

- Bez takich określeń, Sh'ffathr, bo powiem szefowi, że pijesz w godzinach pracy - ucięła Lill. - Dla mnie sałatkę pepperoni, jestem na diecie. Dziękuję.

Informatyk i agentka zajęli miejsca pod półką z kolekcją matrioszek. Lill ukradkiem poprawiła kwiciastą laleczkę, która przekreśliła się bokiem.

- Co za straszny kicz - powiedziała, a w duchu obiecała sobie po raz kolejny, że zakupi podobny komplet, gdy tylko dostanie zadanie w odpowiednim kawałku czasoprzestrzeni.

Zamiłowanie do kiczu było jej wstydlwym sekretem, ukrywanym starannie przed wszystkimi.

- Lilith - odezwał się jej kolega. - Mam dwie sprawy i zależałoby mi, żebyś choć jedną rozpatrzyła pozytywnie.

- A mogą być obie negatywnie? - spytała, odbierając od kelnerki talerz z pepperoni.

- Jesteś mi coś winna - przypomniał Leo.

- Pamiętliwy jak Żyd buddysta. Zapodawaj, czego chcesz.

- Pierwsze: wiem, że coś teraz rozpracowujesz, i czuję, że to grubsza sprawa. Z nadzieją na awans. Proszę, weź mnie jako pilota.

Lill Astaroth z nieprzeniknioną miną skosztowała sałatki, po czym z ukontentowaniem chuchnęła. Kwiatki w wazoniku poczerniały i opadły na stół.

- A po drugie: pójdziesz ze mną na randkę? - wypalił Leonardo i zarumienił się.

- Odpowiedź negatywna - odparła Lill po krótkim namyśle. - Wykluczone.

- Nie weźmiesz mnie jako prowadzącego? - zapytał Leo tonem pełnym nadziei.

- Nie umówię się z tobą!

- Czyli weźmiesz mnie do zespołu!

- Pomyślę o tym.

- Lill, nie bądź taką jędzą. Wiesz, że jestem najlepszy na wydziale.

- Damien jest lepszy.

De Vill wrzucił ramionami.

- Damien spada w tabeli, od kiedy ściągnął tę laseczkę z Hollywood.

- Mhm... Jak jej tam? Marlin Moron? - mruknęła Lill, dziobiąc widelcem papryczkę pepperoni.

- Marilyn Monroe - poprawił Leo, spec od sąsiedniego wymiaru i - bądź co bądź - samiec.
- Damien, biedaczyna, zakochał się. Ludzka rzecz...

- Nie jesteście ludźmi, Leo. A miłość to niebezpieczna choroba i fatalnie może się odbić na pracy zawodowej.

- To jak będzie? Powiedz chociaż cokolwiek o tym projekcie. Uchyl rąbka tajemnicy, o piękna! - Leonardo nie popuszczał.

- Nie uchylę, gdyż przestałaby być tajemnicą. Przemyślę twoją propozycję. - Lilith z przyjemnością konsumowała pikantną sałatkę.

- A kiedy przedstawiś projekt szefom?

- To też tajemnica.

- Masz denerwująco dużo tajemnic! - nadał się Leo, zabierając się do pizzy z owocami morza.

Lilith wzruszyła lekko ramionami. Miała wiele sekretów, przy czym ten dotyczący kolekcjonowania gipsowych kotków należał do najbliższych i najmniej wartych ukrywania. Lilith Lukrecja Astaroth była osobą bardzo, bardzo tajemniczą.



W środowisku HELL-u Lilith posiadała opinię mróweczki-samotnicy. Sama zbierała informacje, sama opracowywała projekty i ostatecznie sama przedstawiała szefostwu do zatwierdzenia. W kwestionariuszu osobowym miała, co prawda, wpisane takie superlatywy, jak: inteligencja, ambicja, umysłowość analityczna, wyjątkowy talent symbiotyczny... ale także, małą czcionką: słaba umiejętność pracy w zespole. O ile Lilith miała diabelną cierpliwość do grzebania w papierach i analizowania setek gigabajtów danych, o tyle jej opanowanie wobec współpracowników plasowało się gdzieś na poziomie lochy z małymi. Irytowało ją to, że nie rozumieją jej w pół słowa, wszystko trzeba im tłumaczyć (zbyt długo, tracąc czas!), piją za dużo kawy z kofeiną i gapią się na nią baranym wzrokiem, kiedy rzuca hasła tak podstawowe, jak na przykład Chaplin A-20/ZZ. Czasami odruchowo szukała wzrokiem, gdzie mają guzik do restartu! Z komputerami wszystko szło znacznie łatwiej. Jedynym, który jako tako dogadywał się ze „Stalową Astaroth", był Leonardo de Vill, ale tenże Leo skrót na swoich drzwiach: WJO (Wewnętrzna Jednostka Operacyjna) przerobił mazakiem na Wszyscy Jesteśmy Obląkani, i sam działał trochę jak komputer, któremu ktoś zalał twardy dysk sznapssem. Lecz nawet Leo nie wiedział, nie mógł przypuszczać, że Lill

Stalowa Astaroth w zaciszu małego mieszkania tuli się nocą do ryżego szmacianego kota o psychodelicznym wyrazie pyska i w wąskim panieńskim łóżeczku śni o wielkiej miłości.

Lilith nigdy nie pamiętała swoich snów.

Po prostu wstawała rano, kiedy potworny plastikowy budzik-czaszka zaczynał wygrywać motyw zespołu King Diamond, wkładała kapcie w kształcie pluszowych kur i sunęła do łazienki, by przeistoczyć się w supersprawną, superkompetentną, supertrzeźwą pracownicę agencji rządowej.



Komisja składała się z dwóch demonów, jednej wampirzycy klasy theta i jednego cthulhu, zaproszonego ze względu na sugestie opinii publicznej, że podczas podejmowania decyzji kluczowych dla działania agencji pomija się rasy niehumanoidalne. Cztery pary oczu (plus kilkanaście dodatkowych na szypułkach) wpatrywały się w ekran projekcyjny.

- ...w chwili równoległej obiekt ma szesnaście lat - referowała agentka Astaroth. - Można oczywiście tak dobrać fazę, by był starszy, lecz to z kolei osłabi działanie agenta. Jako nastolatek będzie najbardziej podatny na sugestie, łatwiejszy do kierowania...

- Thooouuu saaamuuiiiec? - wtrącił się cthulhu, z wysiłkiem artykułując głoski.

- Samiec - potwierdziła Lilith, leciutko marszcząc brwi. Nie znosiła głupich pytań, ale wyrażanie dezaprobaty w takiej chwili mogło spowodować utracenie całego projektu.

Wampirzyca wychyliła się do przodu, nie spuszczając purpurowych oczu z „obiekta”, co kilkanaście sekund oblizywała wargi wąskim językiem - był to u niej odruch równie naturalny jak oddychanie, lecz mimo to potrafiła zachować dystyngowany wygląd. Inteligentniejsza od swojego mackowatego sąsiada, zadała pytanie, za które agentka mogłaby ją uściskać, gdyby tylko straciła trochę opanowania.

- Rozumiem, panno Astaroth, że obiekt, choć wygląda na bardzo młodego ludzkiego samca, przedstawia jakąś wartość, gdyż inaczej nie tracilibyśmy tu czasu. Tak więc... nie kim, lecz czym on jest? Lill zaczerpnęła głęboko tchu.

- Według zebranych danych, jest katalizatorem zjawisk eM - odrzekła po prostu, czekając na efekt wypowiedzianej tezy.

Demony wyprostowały się jak struny, strzygąc spiczastymi uszami, a zaskoczony cthulhu wydał nieelegancki dźwięk.

- Urodzony trzydziestego kwietnia, w święto zwane Nocą Bekane lub Nocą Walpurgi, celebrowane od ponad dwóch tysięcy lat, co daje niezwykle wysoki potencjał okultystyczny.

- Ostatniego dnia kwietnia rodzi się całkiem pokaźna liczba dzieci - zripostował jeden z

demonów, obdarzony wspaniałą szafirową grzywą. - Czemu akurat ten szczeniak? Co w nim takiego wspaniałego?

Lilith z kamienną twarzą natychmiast wyłowiła właściwą fiszkę z teczki.

- Po pierwsze: genetyka i historia rodzinna. Wszyscy członkowie jego rodziny ze strony ojca rodzili się w dość znaczących dniach. Ojciec - 1 kwietnia, siostra - 1 maja, młodszy brat... na niego także należałoby zwrócić za jakiś czas uwagę - 31 października, dokładnie w święto duchów.

Babka - 25 grudnia, prababka - 24 grudnia. Matka - 14 lutego, choć z jej strony nie zanotowano nic więcej. Cała ta grupa to jeden wielki generator eM-pola, przy czym najlepsze odczyty ma najmłodsze pokolenie.

Komisja słuchała uważnie, cthulhu zaplatał i rozplatał macki.

- Po drugie: chłopak wypowiedział formułę - ciągnęła Lilith rzeczowo.

- Formuła nie jest wiążąca, jeśli została ogłoszona bez świadomej intencji - burknął niebieskowłosey. - Poprawka do Traktatu z siedemdziesiątego szóstego. Nie dotyczy wyłącznie niepiśmiennych.

- Oczywiście, znam przepisy. Formułę można jednak inteligentnie wykorzystać, nawiązując do honoru, niełamania danego słowa i tak dalej. Chłopak jest szlachcicem, odebrał w tym względzie odpowiednie wychowanie. Wręcz wysał je z mlekiem matki. A od formuły już tylko krok do podpisu na karcie rekrutacyjnej - odparła Lilith lodowato. - Poza tym... Jego babkę i prababkę zgarnęli Gołębiarze. Gdybyśmy przejęli wnuka, dostaliby po nosie - dodała niby od niechcienia.

Rzut oka na fizjonomie komisji przekonał agentkę Astaroth, że ich złapała. Spotkanie twarzą w twarz z młodym R. Selerbergiem było tylko kwestią czasu. Awans i podwyżka uposażenia również. Kiedy nie działało już nic innego, należało komuś wjechać na ambicję. Konkurencyjny Resort Apostolski Jahwe, zwany pogardliwie Gołębiarzami, był solą w oku HELL-u od ładnych paru tysiącleci.



Jodłowy las pod Schweingehölz był przedostatnim miejscem, które tubylcy mogliby podejrzewać o jakieś nadprzyrodzone właściwości. (Jako ostatnie typowano archiwum miejscowego urzędu podatkowego, gdyż nawet duchy omijały tę placówkę z obrzydzeniem). Rzadki, zapyziały zagajnik nie skłoniłby do spacerów najmniej wymagającej pary zakochanych. Gdyby jednak ktoś się tam jakimś cudem znalazł o godzinie szóstej rano, mógłby przypadkiem zobaczyć, że ni stąd, ni zowąd w powietrzu na wysokości około metra

pojawił się wirujący bezgłośnie fioletowy lej gęstej mgły. Po chwili wypadł z niego jakiś ciemny kształt i z trzaskiem wylądował na krzaku jałowca.

- Allayfattys katyy źmelak, ynt stachdym kunfuw myn łara, easik hajłenet sahiral⁸ - rozległ się okrzyk pełen nietłumionej wściekłości.

Lill Astaroth czym prędzej wydostała się z kłującego gąszczu, wciąż cedząc przez zęby serdeczne życzenia, w których występowały już nie tylko jeże i wielbłądy, ale też ból zębów trzonowych, wizyty teściowej i rozliczenia ze skarbowką. Dwie minuty później w to samo miejsce rąbnęła duża skórzana waliza z okutymi rogami, następnie wzorzysta torba z tkaniny żakardowej, a na nią z brzękiem spadł rower. Gdyby agentka Astaroth działała nieco bardziej opieszale, w tym momencie byłaby dużo bardziej... płaska.

Otrząsnęła się nieco z igieł, sięgnęła do kieszeni, wyciągając szminkę i puderniczkę. Błyskawicznie nakreśliła na lusterku prościutki pentagram. Rozejrzała się na wszelki wypadek - nikogo w zasięgu wzroku.

- Tu Astaroth, próba łączności. De Vill jest idiotą. Powtórz.

- Astaroth, głośno i wyraźnie. Powtarzam: de Vill jest bogiem seksu. - Głos Leo był odrobinę zniekształcony, ale doskonale słyszalny.

- Pajac. Leo, wiesz, że wrzuciłeś mnie prosto w jałowce? Z ciebie taki pilot jak z kalmara latawiec.

- Mało miejsca, Lill. Miałem do wyboru jeszcze to drzewo obok, ale w roli aniołka na czubku choinki nie prezentowałabyś się za dobrze, carissima.

- Dobra, pogadamy, jak wrócę. Zgłoszę się za godzinę przez zestaw słuchawkowy.

- Kierunek południowy wschód, a dojdiesz do ścieżki. Potem w lewo, cel w odległości dwóch kilometrów. Co powiesz na tequilę z truskawkami i masaż olejkami migdałowymi?

- Bez odbioru - warknęła Lill do lusterka i zatrzęsnęła puderniczkę.

Zerknęła mimochodem na szminkę i lekko wzruszyła ramionami.

Komputery, szmery, bajery, a my nadal bazujemy na preparatach z kurzej krwi, to dopiero ironia, pomyślała. Fioletowy minicyklon tymczasem zmałał do jednej czwartej pierwotnej wielkości i zrobił się niemal przezroczysty. Gdzieś po drugiej stronie poskładanej jak origami przestrzeni pilot HELL-u zredukował łącznie eM-pola tak, by nic niepowołanego nie przedostało się do jego świata. Jedna zabłąkana wiewiórka mogła spowodować poważne uszkodzenia kabli i położyć całą akcję.

⁸ A żeby ci padło stado wielbłądów, ty używający jeża od tyłu, wielbicielu małych zwierzątek! (bayrabski).



Droga zaprowadziła Lilith wprost na tyły małej stacji kolejowej. Gdyby nie wyładowany bagażnik, agentka wyglądałaby po prostu jak młoda panienka, która wybrała się na majówkę, korzystając z ładnej pogody. Lill oparła rower o boczną ścianę dworca, ukryta przed wzrokiem osób mogących nadejść od strony miasteczka. Ze względu na wczesną porę, jak mogła się przekonać, spoglądając przez okno poczekalni, w budynku stacji nie było nikogo prócz drzemiącego za kratką kasjera oraz jakiegoś mężczyzny schowanego za płachtą gazety. Lilith sprawdziła czas na zegarku przypiętym do zakietu i nacisnęła kamień w małym medalionie, aktywując szpiegowski zestaw łączności. Wisiorek stanowił cud elektroniki, zawierający mikrokamerę i laryngofon.

- Zgłasza się Astaroth - powiedziała, niemal nie poruszając wargami.

- Głośno i wyraźnie, Lill - usłyszała krzepiący głos Leonarda w słuchawkach zamaskowanych jako para klipsów.

Dwa cieniutkie jak włoski, niewidoczne przewody przekazywały słowa pilota wprost do wnętrza uszu agentki.

- Jestem na stacji, pociąg przyjeżdża za kwadrans. Wszystko na razie normalnie i według planu. Bez odbioru.

Jak dotąd szło jak z płatka. Pociąg nadjechał punktualnie, a Lill z łatwością wmiszała się w gromadkę wysiadających. W popielatym kostiumiku podróżnym, miękkim aksamitnym berecie, z walizką i rowerem wyglądała jak jeszcze jedna pasażerka, która właśnie opuściła wagon i odebrała blaszanego rumaka z przedziału bagażowego. Nikt, kto później by wypytywał o pannę Lilianę Tenebrose, nie uzyskałby informacji innej niż ta, że przybyła ona do Schweingehölz osobowym o siódmej piętnaście.



Dla Lill, przyzwyczajonej do przeszklonych gmachów HELL-u, wzniesione z czerwonej cegły budynki L'Ecole privee de la metode experimentale wyglądały nobliwie i staroświecko, choć jak na standardy tego świata były całkiem nowoczesne. Agentka, przechodząc przez teren szkoły, dostrzegła kort tenisowy i coś, co wyglądało na wykop pod basen pływacki. Na boisku szereg kolorowo odzianych dziewczynek wykonywał dość żywy układ taneczny z chorągiewkami (o ile były to faktycznie dziewczynki, a nie młode kobiety). Lilith, u siebie wysoka i całkiem postawna osoba, wśród dużych mieszkańców wymiaru E-19/ZZ czuła się dziwnie mikro i niepokaźnie.

Cheerleaderki? Tutaj? - zdziwiła się w duchu, oglądając się za podskakującymi w takt

komend postaciami. Niewątpliwie madame Flageolet dbała o wszechstronny rozwój swych podopiecznych, zarówno fizyczny, jak i umysłowy. Lill wyobraziła sobie dyrektorkę jako surową, krótko ostrzyżoną kobietę w typie wojskowym, a niesforna fantazja podsuwała jej obraz pleczystej aktywistki w bluzie mundurowej, jak na plakatach w U Stalina, za to z monoklem i trzcinką. Rzeczywistość prędko zweryfikowała te wizje. Madame Flageolet okazała się chudą, ekstrawertyczną damą w średnim wieku, z lisio rudymi włosami upiętymi w kok, z którego pojedyncze kosmyki usiłowały się wydostać, jakby żyły własnym życiem. Zafascynowana Lilith z trudem oderwała oczy od jej lawendowej bluzeczki, by odpowiadać na zadawane pytania z miną wyrażającą należyty szacunek.

- Drogie dziecko, muszę przyznać, że jestem dość zaskoczona - mówiła dyrektorka, podnosząc wzrok znad przeglądanych dokumentów. - Owszem, trzy dni temu przysłano odpis twojej metryki, list i czek, ale zatelegrafowałam natychmiast, że nie mogę przyjąć już żadnej uczennicy z braku miejsc. Czek miałam odesłać kurierem. Tymczasem po prostu przyjeżdżasz, ot tak sobie... W dodatku na koniec semestru, bezsens.

Lill zrobiła minę wystraszonego spaniela.

- Ja nic nie wiem, proszę pani. Ciocia kupiła mi bilet i kazała tu przyjechać. Mówiła, że wszystko załatwione.

- Nie mogę cię zatrzymać! - zirytowała się dyrektorka. - Doprawdy, zupełnie jakby podrzucano mi kota. Nie jestem schroniskiem. Co też twoi rodzice sobie imaginują...

Wielkie, ciemne oczy Lilith wypełniły się łzami. Wargi jej zadrżały.

- Nie wiem, proszę pani. Oboje nie żyją - chlipnęła, sięgając do kieszeni po chustkę.

Zdetonowana madame Flageolet zamilkła na chwilę, po czym podjęła dużo łagodniejszym tonem:

- No, no, nie płacz, nie wyrzucam cię przecież już teraz i natychmiast. Myślę, że gdzieś cię zdołam umieścić na kilka dni, póki nie wyjaśnię spraw z twoją ciotką. Znajdziemy wolne łóżko, choćby w infirmerii.

- Dziękuję, madame Flageolet. - Lilith postarała się, by nasaczyć głos odpowiednią dawką wdzięczności.

- Muszę cię uprzedzić, że szkoła jest koedukacyjna. Możesz spotykać tu chłopców... Hm... Nawet z całą pewnością spotkasz, choć oczywiście nie w skrzydle sypialnym dziewcząt. Co to, to nie.

- Nie szkodzi, madame - odrzekła Lill grzecznie. - Jestem przyzwyczajona do chłopców, mam... miałam dwóch braci.

Zanim kobieta za biurkiem zdążyła cokolwiek powiedzieć, Lilith uniosła brodę, jakby w

przyplynie determinacji, i ciągnęła dalej:

- Alonzo miał siedemnaście lat, a Leonard dziesięć. Zginęli wraz z rodzicami pół roku temu pod lawiną. I pomyśleć, jak wtedy rozpaczalam, że nie mogę z nimi jechać na narty... Wygląda na to, że szkarlatyna uratowała mi życie. Powinnam być wdzięczna opatrności, chociaż to trudne, zwłaszcza kiedy ciotka... - Lill urwała, jakby ugryzła się w język. - Ciocia nie jest przyzwyczajona do dzieci. Oczywiście tatuś zostawił mi dużo pieniędzy w funduszu powierniczym, poradzę sobie, ale... Może mogłabym uczęszczać tu do szkoły jako eksternistka, gdybym wynajęła stancję w mieście? - zapytała z nadzieją.

- Ile masz lat, dziecko? - Dyrektorka zmierzyła ją jastrzębim wzrokiem.

To było ważne. Lill nie powinna się zbyt odmłodzić, ale też nie powinna wydawać się za bardzo dorosła.

- Szesnaście. Prawie szesnaście, proszę pani - skłamała bez mrugnięcia okiem Lill, która niedawno skończyła sto cztery. Leo w słuchaweczce wydał pomruk aprobaty.

- Lilianę. Lilianę Tenebrosa⁹... - rzekła madame Flageolet z namysłem. - Pochodzisz z Hiszpanii, kochanie?

- Tak, proszę pani. To znaczy tatuś pochodził. Myśmy się urodzili już tutaj, w Otterreich.

- No cóż, witaj w Schweingehölz, młoda damo.



Lilith potoczyła zwycięsko spojrzeniem po swoim nowym lokum. Zagranie na biedną sierotkę i tym razem zadziało bez pudła. Po rozmowie z dyrektorką zaprowadzono ją do małej salki, służącej zwykle jako separotka, teraz próżnej, gdyż nikt z wypoczętej po feriach młodzieży nie zdążył jeszcze obłożnie zachorować. Jak na gust Lill pomieszczenie było za białe - białe ściany, metalowe łóżko pociągnięte jasnym lakierem i śnieżna pościel, szafeczka i wieszak na ubrania, żadnych mebli więcej. To spartańskie wyposażenie trochę łagodził obrazek na ścianie, przedstawiający stadko owiec na łące, oraz dywanik koło łóżka, ozdobiony z kolei beżowym kotkiem o prześlicznie debilnym wyrazie oczek. Lilith odpędziła od siebie chęć, by go ukraść do swojej kolekcji.

Scenariusz rozwijał się według ustalonego planu. Flageolet już zmiękła. Prawdopodobnie wysłała następny list do domniemanej ciotki Lilianę Tenebrosy, a wtedy otrzymała zdawkową odpowiedź, dokładnie w stylu oschłej krewnej, która chce się pozbyć z domu nastoletniego kłopotu; oraz kolejny czek, jeszcze hojniejszy niż poprzedni. Czesne za cały przyszły rok z

⁹ *Tenebroso* - mroczny, ciemny (eszp.).

góry, „niemaproblema". Co litość zaczęła, skończą pieniądze, ostatecznie za coś trzeba wybudować ten basen.

Nim te korowody dojdą do finału, minie co najmniej dziesięć dni, a gdzieś w pobliżu przebywała ofiara, młody Selerberg, i każda minuta, jaką agentka Astaroth spędzała w L'Ecole experimentale, przybliżała ją do celu.



Dobór przedmiotów w szkole madame Flageolet wyglądał co najmniej dziwnie, i to nie tylko z punktu widzenia gościa z innego świata. Usiłując pogodzić tradycję z nowoczesnością, dyrektorka dokonywała czynów karkołomnych, co wprawiało w oszołomienie zarówno uczniów, jak i rodziców. W ten sposób wśród wykładanych języków obcych znalazł się elfi i krasnoludzki, obok matematyki w planie lekcji królowała demonologia (dla klas starszych), panienki uczyły się szycia i haftu krzyżykowego, a prócz tego udzielano im lekcji politologii (z naciskiem na prawa kobiet) i uświadamiano, jak działa silnik parowy. Młodzi panowie natomiast uczestniczyli od czasu do czasu w referatach pod fascynującymi tytułami „Jajko na twardo a jajko sadzone - techniki przeżycia" lub „Przyszywanie guzika - narzędzia i zajęcia praktyczne". Lilith, zgodnie ze swymi przewidywaniami przyjęta do owego zdumiewającego przybytku wiedzy, a według słów nowych koleżanek „upchnięta kolanem", szybko zrozumiała, dlaczego w szkole brakowało miejsc. Mimo zdecydowanej dziwaczności dawała wszechstronne wykształcenie, a na dodatek była doskonale demokratyczna - nie robiono tu żadnych różnic pod względem urodzenia czy rasy. Agentka wprawnym okiem wyławiała spośród uczniów krępych, niedogolonych potomków krasnoludów, spiczastouche pół- i ćwierćelfki, a nawet jednego adleriana o swojsko pomarańczowych, okrągłych oczach. Do L'Ecole experimentale mógł wstąpić każdy. Pod warunkiem że było go na to stać.

A Rinalda von Selerberga było na to stać z pewnością. Lilith zidentyfikowała go już pierwszego dnia. Wystarczyło, że rozejrzała się po jadalni, robiąc lekkiego zezę i ustawiając wzrok na odbiór aury. Ponad głowami jedzących lekko falowały różnobarwne łuny - bladożółte, zielonkawe lub błękitne, zależnie od kondycji i nastroju właściciela - natomiast nad szczupłym blondynkiem, gapiącym się z roztargnieniem w talerz, tkwiła solidna kolumna białego światła, wysoka na bez mała dwa metry, stabilna jak góra Uluru. Nie sposób było ją przeoczyć. Agentka z zainteresowaniem przyjrzała się „celowi". Młody Selerberg w realu słabo przypominał zdjęcie, jakie dostarczył jej dział wywiadu satelitarnego - zamazaną cyfrówkę, spikselowaną po brzegach. Fotografia pokazywała jedynie ogólne cechy wyglądu,

pomijając całkowicie szczegóły, których komputer, z samej swej cybernetycznej natury, nie mógł uchwycić. Choćby marzycielski wyraz niebieskich oczu lub sposób, w jaki chłopiec stroszył odruchowo włosy nad czołem, rujnując dzieło szczotki i grzebienia.

Nawet ładny, pomyślała Lill pobłaźliwie. Pasowałby na Gołębiarza z tymi włoskami, ale niedoczekanie, he, he...

Uczennica siedząca obok widocznie źle odczytała zachowanie Lilith, bo szepnęła z rozmarzeniem:

- Śliczny, prawda?

Lill rzuciła okiem na rozmaśloną dziewczynę, po czym znów popatrzyła na „cel”. Chłopaczek nie był brzydki, ale określenie „śliczny” wydawało się przesadą.

- Selerberg? - upewniła się ostrożnie.

Dziewczyna otrzeźwiała na trzy sekundy.

- Ricky? Coś ty. Leroy. Leroy Willoughby... - i znów utonęła w odmętach miłosego zauroczenia.

Dopiero wtedy Lill zauważyła, że obok młodego Selerberga (może powinna zacząć myśleć o nim Ricky?) siedzi jakiś drągal, przylizany pomadą brunet z młodzieńczym wąsikiem i uśmiechem władcy wszechświata, a w każdym razie jego żeńskiej połowy. W dodatku niejednoznacznie gapił się na nią! Fuuuuj... Lill podniosła do ust łyżeczkę z deserem. Galaretka, no cóż, mogło być gorzej.

W tej chwili omal się nie udławiła. Kolumna blasku nad głową Rinalda rozdzieliła się! Drugi słup światła, na oko zupełnie identyczny, przemieszczał się właśnie w stronę drzwi, najwyraźniej na stałe przypisany do rosłego chłopaka, który do tej pory siedział za Rickym, w ten sposób, że obie aury się pokrywały. Lilith chętnie dzieliłaby się w ucho za brak spostrzegawczości. To było po prostu niewiarygodne, cud... tfu! niesłychany zbieg okoliczności! Okazja, jaka trafia się raz na stulecie. Leonardo, który miał możliwość obserwacji pola działania poprzez mikrokamerę w medalionie Lilith, wydawał zdławione okrzyki entuzjazmu. W HELL-u musiało się nieźle zakotłować. Lill szturchnęła łokciem rozmarzoną sąsiadkę.

- Hej, kto to jest? - spytała, drżąc z łowieckiego podniecenia. - Ten, co idzie do drzwi. Ten duży...

Dziewczyna prychnęła drwiąco.

- To *ona*, nie *on*. Marge von Selerberg. Nie wygląda na dziewczynę, prawda?

Faktycznie, zaskoczona agentka w pierwszym momencie zasugerowała się krótką fryzurą, nie zauważając, że domniemany chłopak ma na sobie nie zieloną szkolną marynarkę, lecz

dziewczęcy żakiet w takim samym kolorze.

Blizniaki! Lilith poczuła, jak oblewa ją gorąco. Kiedy sześć miesięcy temu zainteresowała się rodziną von Selerbergów i zaczęła kompletować ich dossier, rutynowo sprawdziła też siostrę Rinalda, uzyskując wynik całkiem wysoki, ale bynajmniej nie rewelacyjny. Nic dziwnego, że skoncentrowała się na bardziej obiecującej połówce rodzeństwa, prawie zapominając o dziewczynie. Chociaż, uff... okazało się to grubym błędem. Skąd u niej tak gwałtowny przyrost aury w tak krótkim czasie? Oczywiście należało natychmiast dostosować się do nowej sytuacji. Rinaldo czy Margerita? Które najpierw? Lill błyskawicznie podjęła decyzję: Rinaldo. Scenariusz akcji od samego początku dostosowano do chłopaka. Poza tym, omotując Selerberga juniora, łatwiej będzie nawiązać znajomość także z jego siostrą. Tymczasem „cel”, nieświadom namiętności, jakie kłębiły się wokoło jego osoby, nadal w zamyśleniu konsumował deser. Lilith pomyślała, że może popełniła błąd także w tym, że tak się spieszyła z akcją, z obawy, że inny agent operacyjny sprzątnie jej sprzed nosa smakowity kąsek. Gdyby dzieciak był choć trochę starszy i bardziej doświadczony, mogłaby go po prostu zaciągnąć do łóżka. I gdyby nie przeszkadzał mu seks z kobietą, która ma ogon...



Więcej niż połowa agentek HELL-u, stale pracująca w terenie, decydowała się na amputację ogona. Większość ras humanoidalnych takowej ozdoby nie miała, a maskowanie owego „dodatku” często było bardzo utrudnione lub wręcz niemożliwe. Oczywiście nigdy, naprawdę *nigdy* na taki zabieg nie zdecydował się żaden demon płci męskiej, z oczywistych powodów. To z kolei dawało damskiej części agencji okazję do kpinek. Demonice złośliwie rozgłaszały tezę, że panowie potrzebują dodatkowego męskiego atrybutu, na wypadek gdyby ten z przodu zawiódł. Lilith żywiła niemalże męską niechęć do pomysłu amputacji. Miała bardzo piękny ogon - niezbyt długi, ale za to ozdobiony gęstą, starannie utrzymaną kitką. Używała kilku rodzajów balsamów do jego pielęgnacji i regularnie chodziła do fryzjera.

- Jeśli próżność jest moją najgorszą wadą, to lubię swoje wady - mawiała.

Próżność może być i zgubą, i bronią. Stalowa Astaroth nieodmiennie wykorzystywała ją jako broń. Zawsze jednak następuje ten pierwszy raz, kiedy broń zawiedzie.



Egzaminy końcowe zbliżały się wielkimi krokami, ale madame Flageolet nie pozwalała uczniom garbić się bez przerwy nad książkami.

- Czego nie zrobiliście przez cały rok, teraz i tak nie nadrobicie. Trzeba było uczyć się

wcześniej, w tej chwili proszę iść na spacer - mówiła i wyganiała poblada, wymiętoszoną od nadmiernego wysiłku umysłowego młodzież na majowe słońce.

Smarkacze z klas pierwszych i drugich grywali w kulki lub piłkę, starsi w tenisa, krykieta i *lacrosse*, a w dni wolne grupki chętnych organizowały wycieczki rowerowe. Lill w innych okolicznościach skusiłaby się na taką przejażdżkę, ale była przecież w pracy, a „cel” grywał w krykieta z denerwującym zaangażowaniem. Tak więc głównie markowała spacer w okolicach boiska, próbując zwrócić na siebie uwagę Rinalda von Selerberga. Niestety, jednocześnie zwracała też uwagę innych zawodników. Nic dziwnego.

Chociaż w tym świecie Lilith zaliczała się do osób wzrostu co najwyżej średniego, budowę miała stuprocentowo kobiecą. Co prawda tutejsza moda nie stwarzała takich możliwości uwodzenia jak chociażby bezpruderyjny styl AU-21/ZZ, ale to przynajmniej oszczędzało makabrycznych niewygód przy upychaniu ogona w ciasnych dżinsach. Za pomocą odsłoniętych łydek, pantofelków na obcasie i niewielkiego dekoltu można uzyskać i tak całkiem sporo. A kiedy jeszcze zastosowała pewne tajemnicze metody bieliźniane, uwypuklające to i owo, nie było zawodnika, który by się nie obejrzał za urodziwą „Eszpanką”. Kapitanowie obu drużyn klęli na czym świat stoi, usiłując przeciwdziałać rozkojarzeniu zawodników, ale zyskiwali tylko tyle, że gdy próbowali (mniej lub bardziej grzecznie) wyprosić pannę Tenebrose z okolic boiska, wracali z tej rozmowy zmieszani, skonfundowani i kompletnie rozbici. Stalowa Astaroth bezlitośnie stosowała także broń chemiczną w postaci perfum z feromonami.

Wojna podjazdowa trwała dwa dni, do momentu kiedy los, złośliwe bydlę, postanowił stanąć po stronie krykiecistów i dokonać zemsty.



Lilith Astaroth miewała już w swym demonowym życiu nieprzyjemne chwile. Migreny, wybite podczas treningów palce i nadwreżone ścięgna, złamany na akcji ząb, ból gardła po honorowym spożyciu trzech łyżek Specjalnej Solanki... Jednak było to absolutnie niczym w porównaniu z bólem po uderzeniu twardą piłką do krykieta w kość ogonową. Lill miała złudzenie, że się rozdwa - jedna jej część leżała na trawniku tyłkiem do góry, wyjąc, a druga, wewnętrzna, sarkastycznie rozpamiętywała, że skoro chciała zrobić wrażenie, to właśnie wyrabia dwieście procent normy. Wypadek ściągnął wszystkich w promieniu stu metrów. Oby tylko nikt nie zechciał od razu na miejscu sprawdzać jak, a przede wszystkim *gdzie* została poszkodowana. Katastrofa wisiała na cienkiej nici.

- Przepraszam, przepraszam... Ja przecież nie chciałem! Naprawdę nie chciałem! To był

przypadek! - Młodziutki miotacz to łamał nad Lilith ręce i łapał się za głowę, to znów usiłował podnieść ofiarę z ziemi.

- Zostaw mnie! Palant! - wyrzęziła Lill, opędzając się słabo rękami.

- Krykiet - sprostował ktoś głupio.

Szlag by to trafił, jeszcze chwila, a zjawi się tu któryś z nauczycieli i Lilith wpadnie ostatecznie. A mogła sobie obciąć ten cholerny ogon, kiedy był na to czas. W mikrosluchawkach Leonardo usiłował dawać jej instrukcje, których przytępiony cierpieniem umysł nie przyjmował. Pozbierać się, pozbierać się za wszelką cenę. Ma chyba złamaną kość... Pieprzona piłeczka, nienawidzę sportu, pomyślała Lill, unosząc się na łokciach.

- Co się tu dzieje, do jasnej anielki? - Ponad gwar dokoła wybił się przenikliwy damski głos, a pytanie zostało wygłoszone tonem sugerującym, że pytająca nie dopuszcza możliwości zignorowania.

Lilith serce wskoczyło do gardła, ale zaraz spostrzegła, że nie jest to nauczycielka, lecz dziewczyna, z którą dzieliła sypialnię. Persefona... Persefona Woodgate, ćwierć lub nawet półdrowka, sądząc po skośnych oczach i bardzo jasnych włosach w połączeniu z oliwkową cerą. Nic dziwnego, że współuczniowie traktowali ją ze sporą dozą trwożnego szacunku. Czego nie obejmowała świadomość, uzupełniała pamięć genetyczna, niosąc informację o armii drowów, którzy pod wodzą Wizir-khana przespacerowali się z ogniem i mieczem po tych ziemiach siedemset lat temu. Woodgate byłaby niezłym nabytkiem dla HELL-u...

Lilith uznała, że chyba jest z nią odrobinę lepiej, skoro zaczyna jej powracać myślenie pragmatyczne, toteż spróbowała się unieść na rękach.

- Marge, podeprzyj ją z drugiej strony. Lily, zabieramy cię do infirmerii. - Persefona złapała Lill pod pachy i stanowczo, choć delikatnie postawiła na nogi. - A reszta won stąd. Chcecie, żeby Fasola tu przylazła?

Ściśnięta między dwiema roślinami dziewczynami Lilith poczuła się jak przedszkolak. Mogła zrobić niewiele więcej poza niemrawym poruszaniem nogami. Właściwie szkolne koleżanki ją po prostu niosły, gdyż Lill kręciło się w głowie. Dotyk ciepłych żywych ciał, chociaż odmiennego gatunku, działał jednak uspokajająco. Lilith najchętniej zwinęłaby się w kłębek w bezpiecznych objęciach Persefony, względnie Margerity von Selerberg, i zasnęła do czasu, aż przestanie ją boleć. Raptem zachciało jej się płakać, tak strasznie zateśkniła za domem. Do małego mieszkanka przy placu Azazela, do pluszowego kota, ulubionego kubka na kawę z napisem *Ciemna Strona Mocy zondzi*, i nawet do Lea z jego fatalnym gustem odzieżowym.

- Ja nie chcę do szpitala! Pójdę do siebie i się położę - jęknęła rozpaczliwie już na

korytarzu.

- Powinna cię obejrzeć pielęgniarka - odparła Woodgate, nie zwalniając kroku.

- Nie! Nie chcę! Nie mogę, mnie... eee... religia nie pozwala! - Lill wbiła obcasy w posadzkę.

Argument religijny zadziałałby bez pudła w AU-20 i -21, a nawet BW-16, ale Lill nie była pewna, czy jest odpowiedni w takich okolicznościach. Niestety, nie potrafiła wymyślić niczego lepszego. Obie dziewczyny wymieniły spojrzenia ponad jej głową, Margerita wzruszyła ramionami, lecz zmieniły kierunek, prowadząc Lilith do sypialni.



Kiedy nareszcie została sama, agentka Astaroth wygrzebała ze schowka w walizce aplikator z silnym środkiem znieczulającym i zrobiła sobie zastrzyk w okolice lędźwi. Oczekała kilka minut, aż błogosławione... tfu, dobroczynne odrętwienie ogarnie jej tylną część ciała, po czym zdjęła sukienkę i odważyła się pomacać poszkodowany ogon. Nie miała pod ręką lustra, ale metoda na dotyk pozwoliła jej się przekonać, że choć spuchł, nie jest złamany, tylko zwichnięty. Stalowa Astaroth wzięła głęboki oddech, przypomniała sobie odpowiedni wykład z pierwszej pomocy i zdecydowanym ruchem nastawiła przesunięte kręgi. A potem usiłowała nie zwymiotować.

Zdołała jeszcze ściągnąć buty. Oszołomiona środkiem znieczulającym, padła na łóżko i zasnęła jak kamień.



Obudziła się gwałtownie, jakby ktoś chlusnął na nią wodą. Żołądek demonicy wykonał niemiły podskok. Wolałaby być zbudzona przez wyćwiczony instynkt agenta specjalnego, ale w rzeczywistości był to jej pilot, wydzierający się w słuchawce na alarm. Otworzyła oczy i zobaczyła obok swego łóżka Margeritę von Selerberg.

- Jak się czujesz? - zapytała dziewczyna. - Przyniosłam lód. - Pomajtała w powietrzu niebieskim gumowym workiem w biały wzorek.

Lill przyjęła go z wdzięcznością, natychmiast odkręciła korek i ze smakiem pochłonęła kawałek lodu, chrupiąc. Margerita obrzuciła ją zdumionym wzrokiem.

- Właściwie to powinnaś przyłożyć go do... no wiesz - powiedziała, starając się nadać tym słowom uprzejmy ton.

Grzeczna, współczująca, możliwe, że również uczciwa i moralna... Ha, niezły materiał dla Gołębiarzy, aż szkoda. Choć nawet Gołębiarze dobierają pracowników podług inteligencji, a

nie porywów serca, pomyślała Lill, głośno zaś rzekła:

- Wiem, po prostu lubię lód. I chyba mam lekką gorączkę. Dzięki.

Wciągnęła worek z lodem pod koc. Faktycznie, natychmiast odczuła ulgę.

- Coś ty w ogóle robiła przy boisku do krykieta? - spytała Margerita surowo.

„Próbowałam poderwać twojego brata bliźniaka, który mnie całkowicie ignorował” - miała Lilith na końcu języka, ale zrobiła tylko smutną minę.

- Nie wiesz, że tam jest niebezpiecznie? Mogłaś dostać w twarz - ciągnęła Marge. - Grają jak patałachy. Nie graliby lepiej, nawet gdyby mój brat nie należał do drużyny.

Lilith uśmiechnęła się, i to bez żadnego przymusu. No proszę, Margerita von Selerberg wykazywała poczucie humoru.

- Nigdy nie lubiłam krykieta, wolę boks - dodała dziewczyna, lekko wzruszając ramionami.

- Ale boks jest chyba jeszcze bardziej niebezpieczny od krykieta? - wyraziła wątpliwość Lill.

- Owszem, lecz w boksie można przeciwnikowi oddać - odparła Margerita i nawet powieka jej przy tym nie drgnęła.

Z każdą chwilą podobała się Lilith coraz bardziej. Była ładna niebanalną, silną urodą, a do tego najwyraźniej umiała mówić bez chichotania, w przeciwieństwie do większości tutejszych dziewczynek. Teraz, kiedy całej uwagi agentki nie zajmował Rinaldo, mogła się bliżej przyjrzeć jego siostrze. Czyżby od początku należało się na niej koncentrować? Ale ktoś mógł wiedzieć...? Mała (och, to chyba złe słowo) sprawiała wrażenie inteligentnej. Jasnoniebieskie oczy w chłodnym odcieniu lodowca patrzyły bystro, usta znamionowały stanowczość i charakter, i nawet chłopięca fryzura, która tak zmyliła Lilith pierwszego dnia pobytu, nie szpeciła Margerity. Wręcz przeciwnie, idealnie komponowała się z prostymi brwiami o zdecydowanej linii i sprawiała, że dziewczyna wyglądała oryginalnie.

Lill i Marge rozmawiały przez kwadrans o szkole, nauczycielach i tutejszych sposobach na spędzanie wolnego czasu. Przy okazji agentka dowiedziała się o siłowni w suterenie oraz istnieniu enklaw na strychu, gdzie chłopcy wypalali swoje pierwsze w życiu papierosy, a dziewczynki z wypiekami na twarzy zaczytywały się „nieprzyzwoitą” literaturą. Lill Astaroth, która mieszkała w odległości stu metrów od kina porno, otworzyła szeroko oczy i zapytała cienkim głosikiem, czy mogłaby przyłączyć się do „klubu”. Naprawdę bawiła się coraz lepiej, zwłaszcza że zwichnięty ogon prawie już nie bolał. Konwersując tak z Margeritą von Selerberg, miała osobliwe wrażenie, jakby rozmawiała z siostrą - jednocześnie i starszą, i dużo młodszą od siebie. Kiedy Margeritą na pożegnanie poklepała ją lekko po dłoni, Lilith

przebiegł dreszcz od stóp do głów, jak gdyby pomiędzy nią a Marge przeskoczył elektryczny ładunek.

Kiedy dziewczyna wyszła z sypialni, Lilith aż się wzdrygnęła, gdyż odezwał się milczący dotąd Leonardo:

- Wspaniale, Lill. Jak złapiesz oboje, góra cię ozłoci.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów kompletnie zapomniała o istnieniu pilota. Ba, rozmawiając z Marge, zapomniała nawet o zadaniu - po prostu patrzyła w te niebieskie oczy i czuła się dobrze.

- Jestem zmęczona, Leo - szepnęła, drżąc. - Petydyna jeszcze działa. Muszę to odespać.

Tak, to pewnie to. Po prostu była naćpana. Przecież z innych powodów Stalowa Astaroth nie mogłaby się dopuścić tak rażącej niekompetencji, prawda?



Lekcja demonologii przyniosła Lill nowe wrażenia. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymywała się przed atakami histerycznego śmiechu, kiedy obejrzała sobie tablice pogładowe rozwieszane na ścianach. Dla mieszkańców wymiaru E-19/ZZ może to były straszliwe, niebezpieczne demony z samego dna piekieł, ale ona widziała tam po prostu kolegów i koleżanki z pracy. Sportretowanych tak, że niech się schowa najlepszy kabaret. Zwłaszcza Beliala, biedaczysko, ów wątpliwy artysta-demonolog musiał widzieć akurat na straszliwym kacu.

Profesor od demonów prowadził wykład, kładąc nacisk przede wszystkim na przepisy BHPD¹⁰. Zresztą widać było jak na dłoni, że nauczyciel nie tyle próbuje nauczyć przyzywania istot nadnaturalnych, ile przekonać uczniów, iż nie należy tego robić. Lilith miała ochotę dodać, że w podręczniku trzeba dopisać punkt: *Wywoływanie Beliala Behemotyczna w chwili, kiedy rwie panienkę w pubie, jest nie tylko grubym nietaktem, ale grozi też ciężkimi obrażeniami.* Bel był przeczulony na punkcie swojej prywatności.

Program w piątej klasie przewidywał już ćwiczenia w rysowaniu pentagramów. Na początku zwykłą kredą, a pod koniec roku kredą z krwią kurczaka, przy wywoływaniu prymitywnych duchów powietrza, które pojawiały się na moment w kredowym polu, syciły przez parę chwil słabą emanacją zwietrzałej krwi i znikwały - nieważkie, nieszkodliwe jak przejrzyste kijanki.

Lilith zerknęła na boki, dzieciaki wertowały podręczniki w poszukiwaniu odpowiedniej

¹⁰ Bezpieczeństwo i Higiena Pracy Demonologa.

stronicy; co niecierpliwi już bazgrali kredą po deseczkach, które leżały przed nimi na ławkach. Jakiejś dziewczynce udało się zwabić żywiołaka i kwiknęła ni to z radości, ni to z przestachu. Lill fachowo nakreśliła swój pentagramik, po czym ze złośliwym uśmieszkiem namacała w kieszeni mundurka szminkę i dopisała nią numer domowy Beliala. Nad pentagramem pojawiła się niks, fioletowa poświata, prawie niewidoczna w dziennym świetle. W samym centrum zgęstniała, zestaliła się jakby, a potem w jednej sekundzie zmieniła w okienko, w którym ukazała się twarz zaspanego demona. Wspaniały purpurowy jeź i bokobrody Beliala były potargane i przyklapnięte, wielkie, czerwone oczy łypały półprzytomnie. Bel ziewnął, ukazując parę lwich kłów, i chrząknął.

- Lill...? Czyś ty zwariowała? Wiesz, która jest godzina? Całą noc chałturzyłem, a ty mnie budzisz o świcie? - Nawet jego cudowny aksamitny bas, który u trzech czwartych demonie powodował samorzutną owulację, był matowy i jakby nieświeży.

- Strasznie mi przykro - wyszeptała Lilith bez krztyny skruchy. - Zobacz, jakie przepiękne dzieło sztuki znalazłam. Zrobić ci odbitkę?

I przechyliła na moment tabliczkę, by Belial mógł bez przeszkód podziwiać swój konterfekt na ścianie. Z wnętrza pentagramu buchnął kłęb pary, a chwilę później wyleciała z niego brudna skarpetka i spadła Lilith na głowę. Belial zbulgotał jak zepsuty bojler, zrywając połączenie.

- Lill, ty wiedzmo! - zarechotał po drugiej stronie przewodu Leonardo, który miał doskonały widok na wszystko z mikrokamery. - Odwróć się jeszcze raz w tamtą stronę, zrobię fotkę i powiększę. Powiesimy w socjalnym nad ekspresem do kawy.

- Co się stało? - Zaniepokojony profesor już szedł w stronę ławki Lill, więc czym prędzej starła pentagram i schowała skarpetkę.

- Nic, *señor*. Chyba mi coś nie wyszło. - Uśmiechnęła się słodko. - Spróbuję jeszcze raz.

Uspokojony nauczyciel oddalił się, by skontrolować pracę innego ucznia. Tak czy owak, nie było sensu oceniać i egzaminować uczennicy, która przybyła do szkoły sześć tygodni przed wakacjami. Ciotka tej Tenebrosy jest chyba zupełnie bez serca, żeby wyrzucać dziecko z domu jeszcze w żałobie...



Margerita odnosiła się do Lilith przyjaźnie, a agentka sama przed sobą musiała przyznać, że przebywanie z „celem” sprawia jej po prostu przyjemność. Marge była inteligentna i bezpretensjonalna, a do tego stanowiła bezcenne źródło informacji. Niestety, właśnie z owego najpewniejszego źródła Lilith dowiedziała się, że Ricky von Selerberg cierpi na lekką

depresję natury sercowej. W ciągu ostatniego półrocza przeżył dwa paskudne rozczarowania, więc nic dziwnego, że nie miał na razie ochoty angażować się w nowy związek, choćby i najbardziej niewinny. W tych warunkach wymuszenie na zakochanym młodzieńcu słów „kocham cię i chcę, żebyś była moją żoną/narzeczoną/konkubina et cetera" wydawało się raczej niemożliwe. Prośzenie Margerity, by zapoznała przyjaciółkę z bratem, stanowiłoby nietakt. Zresztą, czego innego można się było spodziewać po tej sprawie z wilkołakiem? Wrażliwy młodzieniec pokroju Rinalda mógłby się nawet nigdy nie otrząsnąć z szoku. Potrzebował terapii. I terapeutki.

Okazja do rozpoczęcia leczniczego działania nadarzyła się na lekcji tańca - jednego z tradycyjnych przedmiotów, wykładanych w L'Ecole experimentale dla ułagodzenia starszego pokolenia, ale za to obejmującego również tańce najnowsze i najmodniejsze. Madame F. miewała wiele dobrych pomysłów. Taniec był, jest i będzie ważną umiejętnością towarzyską nie tylko w tym świecie. Lilith czuła się dość pewnie na tym polu. Umiała tańczyć rock and rolla, tango i Pow Wow, więc powinna sobie poradzić i tym razem. Zresztą miała być to *lekcja*, a nie konkurs taneczny.

Zrozumiałe, że zarówno uczennice, jak i uczniowie do tych zajęć przygotowywali się znacznie bardziej pieczołowicie niż do jakiegś tam matematyki. Robiono zakłady i knuto intrygi, kto z kim dobierze się w parę. Wzajemna bliskość, jak najbardziej legalna możliwość dotykania się w tańcu mimo obserwacji nauczyciela - to wszystko powodowało, że lekcja zmieniała się w swoistą grę, jak wiele można sobie pozwolić, dopóki profesorka od muzyki nie wyrzuci ucznia za drzwi albo partnerka go nie spoliczkuje. Tego dowiedziała się Lilith od współlokatorek, natomiast żadna dziwnym trafem nie wspomniała o tym, że lekcje tańca odbywają się w grupach mieszanych - starsi uczniowie z młodszymi. W ten sposób przypadek znów zetknął Lill bezpośrednio z Leroyem Willoughby.

Znała ten typ facetów i strasznie ją irytował. Uwielbiają być uwielbiani, kobiety uległe to dla nich lusterka, za pomocą których pielęgnują własną próżność, z kolei te nieprzystępne to zdobycz, którą należy zaliczyć, a potem szybko zapomnieć. Wielce wygodna postawa życiowa.

Leroy Willoughby budził w Lilith odruchy wymiotne, zwłaszcza że nie znosiła lalusiów nadużywających żelu do włosów. Tymczasem jak na złość, od chwili gdy apetyczna Eszpanka pojawiła się w szkole, tubylczy król podrywaczy odznaczył ją sobie jako nowe potencjalne trofeum i kręcił się ciągle w pobliżu.

Wyrósł teraz przed Lill jak spod ziemi, z obleśnym uśmiechem przyklejonym do przystojnej twarzy.

- Można prosić? - spytał, jednocześnie kładąc agentce rękę na ramieniu gestem posiadacza.
- Nie można - warknęła, usiłując się odsunąć.
- Ależ nie bądź taka nieprzystępna, moja śliczna. - Willoughby próbował ustawić ją sobie w pozycji do walca.

W innych okolicznościach już oberwałby prewencyjnie kłutwą lub kolaniem w krocze. Lill opanowała chęć, by zastosować na nim sztuczkę, której nauczyła się na zajęciach WSDP¹¹. Podobno żeby napastnikowi złamać mostek, wystarczy uderzenie z siłą dwóch kilogramów. Zwyczajna kobieta przy odpowiedniej motywacji potrafi zrobić to z siłą pięciu kilo, więc pięść Lill prawdopodobnie przez tego nieznośnego gnojka przeszłaby na wylot, gdyby tylko się nieco postarała. Aż szkoda, że powinna tutaj zgrywać się na słodką, bezbronną panienkę.

- Przepraszam, ale NIE będę z tobą tańczyć. - Lilith wyrwała się, truchcikiem podbiegła do Ricky'ego i schowała za nim.

- On mi dokucza - szepnęła.

Ricky był niższy od siódmoklasisty prawie o głowę, niemniej wyprostował się przed nim mężnie.

- Spadaj, Willoughby! - syknął. - Dama nie jest zainteresowana.

- A ty chcesz w nos, krasnoludku?

Lill zerknęła na aurę Rinalda - zbłękitniała i zaczęła przypominać miecz Jedi, aż się oczekiwało, że zacznie brzęczeć.

- Krasnoludku? Chyba powtórzę to Handrockowi, ucieszy się.

Willoughby odruchowo popatrzył w drugi koniec sali, gdzie Emmet Handrock - niski, za to zbudowany jak kufer, z czołem zdolnym przebijać ściany - właśnie grzecznie kłaniał się przed jedną z dziewcząt.

- Jeszcze się spotkamy, szcurku - warknął Willoughby i wycofał się, nie dość jednak szybko.

Madame Stirlitz, do tej pory układająca sobie nuty na fortepianie, dostrzegła sokolim okiem sprzeczkę i przyszła na odsiecz.

- Willoughby, Selerberg, co się tu dzieje?

- Pan Willoughby był dla mnie nieuprzejmy - odezwała się Lill, zanim Ricky zdążył otworzyć usta. - Czynił mi nieprzystojne propozycje.

Madame Stirlitz zaczerwieniła się z gniewu.

¹¹ *Women's SelfDefence Program* - kurs samoobrony dla kobiet; demonicom potrzebny znacznie mniej niż kobietom ziemskim, ale uznały go za wspaniały projekt, ponieważ można zabronić tam wstępu mężczyznom i od nich odpocząć.

- Willoughby, wyjdź stąd natychmiast! Już nieraz odbywały się rozmowy na temat twojego zachowania. Co za szczęście, że niedługo będę już musiała cię oglądać, ty bezwstydney... Precz stąd, już!

Willoughby położył uszy po sobie i poszedł jak zmyty, a nauczycielka wróciła do fortepianu i zaczęła bębnić walca, jednocześnie dając uczniom wskazówki. Jakaś blondynka, zorientowawszy się, że z powodu rejterady Leroya została bez pary, czym prędzej podeszła do Rinalda, robiąc afektowany „dziobek”.

- Riciu, postanowiłam ci przebaczyć. Zatańczymy?

„Ricio” pobladł jak gieźło, za to jego aura zyskała ładne efekty specjalne w postaci czerwonych wyładowań. Lill wzięła go pod ramię i uśmiechnęła się paskudnie do blond dziewczęcia.

- Ricio jest zajęty. Mianowicie tańczy ze mną.

Ricky odżył.

- Tak, Lawinio, tańczę z... ee... Jak ci na imię?

- Liliane.

- Tańczę z Liliane. Pa, kotku.

Okazało się, że Ricky tańczy dużo lepiej od Lill i to nie tylko dlatego, że agentka słabo radziła sobie z walcem. Miał doskonale wyczucie rytmu, świetnie prowadził. Lill pomyślała, że byłoby cudownie zabrać go na dyskotekę i zapoznać z salsa, nie szkodzi, że był od niej o tyle młodszy...

- Dziękuję - szepnęła chłopcu do ucha.

- Ja też dziękuję - odpowiedział. - Uwaga, teraz w drugą stronę... Lawinia mnie strasznie wkurza. Nie dość że głupia, to jeszcze beczelna.

- I puszczalska - dodała Lill.

Ricky zarumienił się leciutko. Oho...!

- Skąd wiesz?

- Wygląda na taką - stwierdziła Lilith bezlitośnie. Przedmiot ich rozmowy podpierał ścianę, patrząc na walczącą parę z mordem w oczach.

- Chodziliśmy ze sobą, ale zerwaliśmy jeszcze w lutym - zwierzył się chłopak. - Nie lubię, jak się dziewczyna ze mną prowadzi tylko dlatego, że mam „von” przy nazwisku i trochę większe kieszonkowe. A teraz popatrz no, przychodzi mi „przebaczyć”, bo ją Willoughby puścił kantem.

- Głupia gęś - mruknęła Lilith.

- Lubisz muzykę? - zapytał Ricky nagle.

Agentka zaśmiała się w duchu. Rybka jeszcze nie połknęła przynęty, ale już ją obwąchiwała.

- Walce mi się podobają, ale to starocie. Wolę holzfallera. Jest taki mało znany zespół Eisenschnitzel, mam ich wszystkie płyty.

Sądząc z miny Rinalda, uznał, że trafił na dziewczynę swego życia, ale jeszcze nie chce się do tego przyznać. Zanim madame Stirlitz dojrzała do końca lekcji, Lill i Ricky von Selerberg zaprzyjaźnili się już na tyle, że umówili się, iż będą partnerami również na zabawie z okazji czerwcowego święta letniego przesilenia.

- Świetnie się bawiłam - powiedziała zarumieniona od tańca Lilith i, o dziwo, uświadomiła sobie, że była to czysta prawda.



W Schweingehólz, jak to w małym mieście, życie nocne nie istniało, a w każdym razie nie istniało w sposób oficjalny. Światła gaszono o jedenastej wieczorem, przy czym malców naturalnie zapędzano spać jeszcze wcześniej. Lilith, w domu przyzwyczajona oglądać wschody słońca niejako od tyłu, nie mogła do tego przywyknąć, ale rozwiązała problem w ten sposób, że kładła się do łóżka tak samo jak inne uczennice, po czym do późnej nocy słuchała ploteczek z HELL-u od Leonarda lub jego zmiennika. Jej zwyczaj sypiania w biżuterii uznano za dziwactwo, ale jakże niewinne.

Tego wieczoru jednak nikomu w dziewczęcej sypialni numer sześć nie był dany spokojny sen. Ledwo Lill przyłożyła głowę do poduszki, wyczuła pod nią małe wybrzuszenie, a w ucho ukłuła ją ledwo wyczuwalna iskierka obcej energii. Zerwała się natychmiast z lekkim okrzykiem, jakby położyła się na skorpionie, i zapaliła świecę.

- Co jest? Co się dzieje? - Z sąsiednich łóżek podnosiły się zaciekawione głowy.

- Znalazłaś mysz pod prześcieradłem czy co? - odezwała się Persefona.

- Lepiej. Sama zobacz - odparła Lill, unosząc poduszkę. Pod spodem leżało zawiniątko z chusteczki do nosa.

- Co to jest? - Persefona pochyliła się nad szmatką.

- Nie dotykaj, to klątwa - ostrzegła Lill.

Teraz już wszystkie dziewczyny otoczyły jej posłanie wianuszkami.

- O la la... Czyja?

- Mogę się założyć, że to ta larwa Boyd mi podłożyła. - Lill wzięła ołówek i za jego pomocą ostrożnie przeniosła zawiniątko na stolik.

- I co teraz? Może wyrzucić przez okno? - zaproponowała któraś z dziewczynek.

- O, nie! - Lilith dumnie potrząsnęła włosami. - Niech sobie nie myśli, że może mnie bezkarnie przeklinać, ta mała kretynka. Zobaczcie, czego użyła.

- No... chustki do nosa.

- A więc? - Lilith rozejrzała się po sąsiadkach. - Kurczę, czy was tu niczego nie uczą? Ta chustka jest używana. Boyd w nią smarkała i choćby nie wiem ile razy ją prać, zawsze zostanie na niej odrobina samej Lawinii. Na dodatek dopiero co ją zawiązywała własnymi rękami, zostawiając na tkaninie cząsteczki potu i skóry.

Dziewczynki wytrzeszczały oczy i z fascynacją wpatrywały się w Lill, która opowiadała rzeczy tak mądre.

- Która z was ma lusterko? - spytała agentka.

Okazało się, że wszystkie. Lilith na największym z nich narysowała szpiegowską szminką idealny krąg, a z brzegu wypisała zakłęcie inwersyjne, potem znów za pomocą ołówka przeniosła do jego wnętrza pakuneczek z kłutwą.

- Patrzcie i uczcie się. Boyd myśli, że jest sprytna, ale tak naprawdę rozumu jej starczyło tylko na najprostszy czar.

- Ona zbiera wycinki z „Bravo Witch”, tam na pewno nie ma nic niebezpiecznego, same głupoty - wtrąciła Persefona pogardliwie.

- Otóż to. Z której strony jest jej sypialnia?

Pięć palców zgodnie pokazało ścianę po lewej, więc Lill przeniosła tam stolik, następnie nad kłutwą ostrożnie zbudowała z reszty lusterek coś w rodzaju domku, z jednym bokiem otwartym na ścianę.

- *Hasta la vista, baby!* - Lill pstryknęła palcami. - Gotowe. Najsilniejszy odczyt będzie z Lawinii, czyli teraz to świństwo wróci prościutko do nadawcy. Pamiętajcie, żeby nigdy nie dotykać takich rzeczy gołą ręką. Jeśli chcecie kogoś przekląć, róbcie to w rękawiczkach.

- Ciekawe, co się stanie z Boyd. Może wyłysieje? - zachichotała Persefona.



Lawinia Boyd nie wyłysiała, ale za to jadła śniadanie w mitenkach - wściekła i z oczami zapuchniętymi od płaczu. Według współlokatorek z sypialni, prawie całe ręce pokryła jej wyjątkowo paskudna, swędząca wysypka.

Akcje Liliane Tenebrosy windowały się w górę z prędkością naddźwiękową.



Pilot przebywał z agentem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, piastując stanowisko

jego osobistego strażnika, instruktora, źródła informacji, a nawet był wsparciem psychicznym w ciężkim czasie na obczyźnie.

Leonardo widział to, co widziała Lilith, słyszał to, co słyszała ona, ale nie orientował się, co jego podopieczna czuje. Wiedział o niej wszystko, łącznie z metodą pielęgnacji paznokci u nóg i przebiegiem miesiączki. Nie mógł jednak zajrzeć do jej głowy, więc nie miał pojęcia, w jaki sposób na Lilith wpływają nietypowe warunki pracy. A były nietypowe. Po raz pierwszy Stalowa Astaroth nie tylko pracowała z dziećmi - istotami z samego założenia niewinnymi (w miarę) i bezpośrednimi - ale sama również udawała dziecko. Czy też może *prawie* dziecko, bo młodą panienkę. Gdyby pilotem Lill została demonica, pewnie odgadłaby, że coś jest nie w porządku, lecz Leo był mężczyzną, mniej wyczulonym na subtelne, niemal niezauważalne sygnały.

Kiedy Lilith po raz pierwszy odwiedziła salkę gimnastyczną, z czystym sumieniem mogłaby powiedzieć, że poszła po prostu na trening. Popodciągać się na drążku, zrobić kilka „brzuszków” i pomachać trochę hantlami. Ale zastała tam Margeritę.

Margeritę z odsłoniętymi ramionami i w mokrym podkoszulku. Margeritę, na której skórze drobne kropelki potu w świetle gazowych lamp lśniły jak magiczne kryształki. W pomieszczeniu unosił się zapach rozgrzanego ćwiczeniami kobiecego ciała i wody kolońskiej, przyprawiający Lill niemal o zawrót głowy. Margerita kopała z półobrotu w worek do ćwiczeń, w najlepszym stylu Chucka Norrisa, z twarzą skupioną i surową, lecz jednocześnie piękną jak u wikińskiej Frei. Lilith złapała się na tym, że ma wielką ochotę otrzeć dziewczynie pot z twarzy i oblizać palce, sprawdzając, czy jest słony, czy może gorzki jak zioła.

Byłoby fantastycznie móc objąć Marge i cieszyć się bliskością tego wspaniale zbudowanego ciała. Ale na to za wcześnie, wiele za wcześnie... Może później, kiedyś, kiedy będą razem pracowały w HELL-u, Lill pokaże młodszej koleżance, ile radości można czerpać z takich dziewczęcych zabaw. Teraz jednak jest zbyt młoda, zbyt dzika... ale i zbyt piękna, by ją ignorować.

Lill ćwiczyła w swoim kącie, zawsze w przyzwoitym dystansie, ze ściśniętym gardłem, udając, że nie patrzy na biust Margerity i na jej mięśnie, pracujące pod skórą niczym perfekcyjny mechanizm. Fama głosiła, że Emmelina von Selerberg zabiła górskiego trolła szarlotką. Patrząc na jej prawnuczkę, można było w to uwierzyć. Margerita von Selerberg też mogłaby zabić trolła, i to nawet bez półmiska z ciastem, wyłącznie kopiąc go z półobrotu w szczękę.

Lilith dziesiątki razy powtarzała w duchu, że powinna dać sobie spokój z odwiedzaniem

siłowni w suterenie, gdzie męczyła się niczym potępieniec z propagandówek Gołębiarzy, ale wciąż tam wracała jak ćma tłukąca o szybkę lampy naftowej. Jak na ironię, Leo chwalił jej pilność w ćwiczeniach fizycznych i powtarzał, że Lill dba o formę.

Co się ze mną dzieje? - pytała w myślach samą siebie, tuląc pod kołdrą znoszoną koszulkę Marge, podstępnie skradzioną z pralni. Pociąg fizyczny do tej samej płci (lub obu naraz) stanowił rzecz tak powszechną w jej świecie, że nikt nie traktował tego poważniej niż choćby preferencje jedzeniowe, bo w końcu co kogo obchodzi, że ktoś woli hamburgera od bigosu? Nawet Belial, jak mawiał, „dla higieny psychicznej” miewał naprzemiennie kochanków i kochanki. Ale to, co się działo z Lilith, nie było normalne! Dlaczego kiedy zamykała oczy, natychmiast widziała Margeritę? Cały korowód Margerit defilował jej pod powiekami: Marge w rękawicach bokserskich, Marge śmiejąca się, Marge spocona, wycierająca kark ręcznikiem, Marge z kanapką w ręku... Marge, Marge, Marge... Może zbyt dawno nie uprawiała seksu? Ale seks to tylko seks. Fajna rzecz, ale niewiele lepsza od porcji lodów w upalny dzień, a czasem nawet takie lody wydawały się atrakcyjniejsze, zwłaszcza gdy temperatury windowały się w okolice pięćdziesięciu stopni. Skąd ta obsesja?

I gdy tak przeglądała w myślach to swoiste archiwum niemych filmów, Lill niespodzianie uświadomiła sobie *coś* z wielką ostrością, a wiedza ta spadła na nią nagle jak uderzenie prądem i prawie tak samo boleśnie. Zerwała się z posłania, szeroko otwierając oczy w nocną ciemność.

A niech to anioł! ZAKOCHAŁAM SIĘ!



Następnego dnia jeszcze przed dziewiątą wieczorem Lill pomaszzerowała do suterenu z mocnym postanowieniem, że poważnie porozmawia z Margeritą. Nie mogła się tak dłużej męczyć! W przeciwnym razie zwariuje. Leo jej gładzi brednie o napięciu przedmiesiączkowym - frajer, co jedynym prawdziwym uczuciem darzy chyba tylko swoją świnkę morską. Powie Margericie wszystko, a potem niech to wszystko dia... tfu, niech to się skończy! Tak czy siak!

Lill skręciła za róg korytarza i stanęła jak wryta, nawet nie czując, że upuściła torbę z dressem. Pod drzwiami siłowni stała Marge z jakimś byczkiem i całowali się z takim zapalem, że szkoła mogłaby się dokoła nich zawalić z hukiem, a oni by tego nie zauważyli.

Stuczteroletnia Lilith Lukrecja Astaroth, rasy demon, pracownik terenowy agencji HELL, odwróciła się w milczeniu i podreptała na piętro. Po drodze zdjęła nieodłączny dotąd naszyjnik i klipsy, potem wrzuciła cały zestaw do szuflady nocnego stolika. Wlazła w ubranie

pod kołdrę i nakryła się z głową, a potem zaczęła cicho płakać.



Jak wiadomo, raz w roku dzień tryumfuje nad nocą. Światłość rozpościera swe potężne ramiona, starając się objąć świat tak, by dla ciemności i jej mrocznych spraw zostało jak najmniej miejsca. Wtedy odbywa się święto, w różnych światach i czasach noszące rozmaite nazwy. Noc Kupały, Noc Świętojańska, Święto Litha lub Noc Ognia albo Mazunmin, czy zwane też po prostu trywialnie Świętem Lata, miały jedną cechę wspólną. Główną rolę zawsze odgrywał w nich ogień, jako symbol tryumfu nad ciemnością. Teoretycznie Lilith powinna być o to obrażona, wszak pito do jej szefów i pośrednio do niej, praktycznie zaś pochodziła z miejsca *słonecznego* i ciepłego jak Afryka, a w nocy 21 na 22 czerwca tradycyjnie w HELL-u (i nie tylko tam) urządzano wielki piknik z pieczeniem kiełbasek i konkursem na Miss Mokrego Podkoszulka. Polityczne podłoże Nocy Świętojańskiej obchodziło ją tyle co kurz pod lodówką.

W Schweingehólz było podobnie: już od początku czerwca czyszczono okolicę z wszelakich materiałów palnych, nadających się na świąteczne ogniska, rozniecane na podmiejskich błoniach nad rzeką. Ku zadowoleniu Rady Miejskiej przy okazji znikwały nieestetyczne graty z podwórek i nawet najmniejsze opadłe gałęzie. Na ulicy nikt nie znalazłby choćby patyczka po lizaku. Kwaciarnie rejestrowały wzmożone obroty i niemal nie nadażały z zamówieniami, a ich pracownice ledwo trzymały się na nogach ze zmęczenia, od rana do nocy układając bukiety, wijąc wianki i rzucając na tę powódź kwiecica zaklęcia konserwujące. Wianków było najwięcej. Każda osoba mająca choć jeden żeński hormon nie wyobrażała sobie, że mogłaby tej nocy nie rzucić swojego wianuszka na fale, i oczekiwała, że wyłowi go jakiś atrakcyjny obiekt w spodniach. Nawet staruszki na wózkach nie zostawały w domu, tylko jechały na zabawę, obłóczone w najlepsze „kościelne” suknie, wymachując dziarsko laskami i podśpiewując. Orkiestra mieszana drwalsko-strażacka trenowała zapamiętałe utwory taneczne, żeby nie zbłąźnić się brakiem kondycji, kiedy nadejdzie chwila próby.

Uczniom L'Ecole privee de la metodę experimentale gorączka czerwcowej nocy udzielała się tym bardziej. Dziewczęta tuż przed zabawą w krótkich spódniczkach i kaloszach wyprawiwały się na łąki, wracając z całymi koszami polnego kwiecica. Chłopcy w zagajnikach wycinali brzoźowe gałęzie i szykowali paliki, które, przystrojone kwiatami, miały stanąć na placu zabawy. Pokolenie nieco starsze szykowało poczęstunek, bo tańce na głodno to żadna przyjemność.

A Lilith cierpiała.

Choć bardzo dobrze udawała, że nie cierpi. Spotykała się z Rickym Selerbergiem, uczestniczyła w lekcjach. Za to mało jadła, co tłumaczyła dietą, zyskując pełne zrozumienie damskiej części otoczenia; mało spała, co z kolei nie dziwiło jej „stróża”, bo w razie potrzeby Agent Dołu mógł wytrzymać bez snu trzy doby, niewspomagany farmaceutykami. Czyli pozornie wszystko było w porządku. Pozornie.



Słońce zaszło już jakiś czas temu. Ściemniało się powoli. Orkiestra rznąła skocznie od ucha, a wokół ukwieconych słupów wirowały kręgi tancerzy. Kobiety, dziewczęta, a nawet kilkuletnie smarkule wrzucały do ognisk pachnące zioła, wypowiadając tajemnicze inkantacje, przekazywane przez matki córkom, a babki wnuczkom, nie mając pojęcia, że w dawno zapomnianym języku Atlantydy intonują zaklęcia życia i płodności.

Buńczuczni młodzieńcy przeskakiwali płomienie, popisując się przed swoimi wybrankami i ucierając nosa mniej odważnym konkurentom.

A Lilith miała złamane serce, bo Margerita von Selerberg całkiem jawnie prowadziła się pod ramię z Renaudem Loussierem i zupełnie nie zwracała uwagi na przyjaciółkę. Przemile w gruncie rzeczy towarzystwo męskiej części teamu Selerbergów nie mogło załagodzić tej rany.

Lill wzięła swój wianek, upleciony z róż czerwonych jak krwawiące serce, i poszła go wrzucić do wody, wyrażając życzenie, by Renauda Apollona Loussiera trafił szlag. A Ricky von Selerberg, jak nakazuje tradycja, udał się kawałek w dół nurtu, aby z długim kijem w rękę czatować na ów wianuszek. Lill nie miała wątpliwości, że powoduje nim po prostu dobre wychowanie. Skoro jej towarzyszył na zabawie, uważał za swój obowiązek bawić się również w wędkarza. Szlag, szlag...

Agentka szła przez zagajnik w stronę rzeki, czując, że z każdą chwilą wzbiera w niej wściekłość. Wyobraźnia masochistycznie podsuwała jej wizje, co też Marge i ten cały Ren mogą ze sobą robić w zapadającym mroku, z dala od ludzkich oczu. Idiotka! Ślepa kretyńka! Słup światła nad głową Margerity - to jasne, że się z tym chłopakiem przespała! Może nawet teraz gdzieś się migdała! Lilith zgrzytała zębami, aż szły iskry, grożąc pożarem leśnej ściółki.

Do prześwitu i małego pomostu między trzcinami nie dotarła. Ścieżkę zastąpiła jej wysoka, męska postać.

- Co my tu mamy...? Nieprzystępna Lily. - Lill poznałaby śliski głos Leroya Willoughby w najbardziej smolistych ciemnościach. - Może teraz dasz mi to, czego odmawiałaś tak długo?

W oparach wściekłości, kotłujących się w głowie Lilith, pojawiło się nikłe uczucie

zdumienia. Czyżby ten smętny dureń planował gwałt?

- Żadna nie odmawia Leroyowi Willoughby - dodał chłopak i to zabrzmiało już całkiem groźnie.

- Chcesz mi zabrać wianek? - spytała Lill pogardliwie, wkładając różane kółko na głowę. - To sobie go weź, ty ciężki frajerze.

- Skoro nalegasz... - Willoughby zaśmiał się paskudnie i zrobił krok w jej stronę, wyciągając łapę.

W następnej chwili zgiął się wpół, uderzony pięścią w splot słoneczny, a jego twarz znalazła się w odpowiednim położeniu, by Lill mogła poprawić efekt kolaniem, łamiąc mu nos. Agentka bez wysiłku obaliła go na ziemię i już jedynie dla osobistej satysfakcji wymierzyła mu kopniaka w nerkę.

- To tyle, jeśli chodzi o wianuszki, panie *botanik* - rzekła do jęczącego chłopaka i poszła sobie.

Właśnie zyskała nieprzejednanego wroga, ale miała to w nosie. W razie potrzeby po prostu go zabije! I tyle!

Pijany adrenaliną mózg spychał wszelkie racjonalne myśli na dno świadomości, nie przyjmował instrukcji od pilota, któryż rosnącym niepokojem dopytywał się, co właściwie Lilith ma zamiar robić, i zalecał powrót do ognisk. Lill nie odpowiadała, przedzierając się z furią przez krzaki.

- Alarm, alarm transferowy! - usłyszała, ale nie dotarło do niej w pełni, co oznacza ten termin. - Obiekt poza kontrolą! Pośpieszcie się, w mordę serafina, tracę ją! Lill! Lill! Odezwij się!

Tracę ją! Tracę Marge! - pomyślała i zawyła ku niebu, na którym właśnie pojawiały się pierwsze blade gwiazdy.

Na pomoście siedziały dwie aż nazbyt znajome postacie. Całując się, oczywiście!

W uszach Lilith ktoś coś krzyczał, ale nie rozumiała co. Szum, nieważne... Widocznie ktoś nie wyłączył radia.

Renaud rozpina Marge bluzkę... Marge rozwiązuje mu krawat...

Biel odsłoniętych ramion dziewczyny, całowanych przez chciwe wargi chłopca...

Lill powolnym ruchem wyciągnęła z wianka wstążkę i jak w somnabulicznym śnie owinęła jej końce wokół obu dłoni. Podeszła równie powoli do tulącej się pary.

- Nie będziesz jej miał - powiedziała do Renauda, który obrócił ku niej głowę, zaskoczony.

Marge wydała zdławiony okrzyk. Lilith błyskawicznym ruchem zacisnęła garotę na szyi chłopaka. Kilkanaście sekund chwiali się na krawędzi mola, walcząc, a potem oboje zwalili

się do wody.



Lill wypadła z fioletowego wiru wprost do komory transferowej. Wstrząsał nią szloch, z nosa sączyła się krew. Była przemoczona i unurzana w mule. Leonardo zerwał się ze swego stanowiska, wciąż jeszcze oplatany kablami, powyrywał je z gniazd, zupełnie nie zwracając na to uwagi. Za przeszkloną ścianą widać było biegnących na stanowisko techników. Nad drzwiami pulsowało czerwone światelko alarmowe. Pilot dźwignął oszołomioną demonicę i wyniósł na rękach z działu operacyjnego.

- Jesteś w domu, Lill. Jesteś w domu, wszystko w porządku.

Objęła jego twarz brudnymi dłońmi i odezwała się, jakby ze zdumieniem:

- Leo... - i zaczęła płakać.

Nic więcej nie dało się z niej wydobyć. De Vill położył ją na kanapie w najbliższym gabinecie, oddał własną, nie całkiem czystą chustkę, a potem troskliwie zorganizował pudełko następnych. O nic nie pytał, w przeciwieństwie do idiotów, którzy przewijali się przez pomieszczenie jak cholerna inwazja stonki. W końcu zamknął drzwi na klucz, nakreślił na nich runy ochronne i dla pewności podparł klamkę krzesłem. Lill nadal płakała, rozładowując napięcie nerwowe ostatnich tygodni. Leo wpuścił jedynie Asmodeusza juniora, który dawał mu znaki przez okienko, pokazując na przyniesioną butelkę. Okazało się, że zawiera bimber z kaktusa wymieszany z benzyną, czyli dokładnie to, czego było trzeba w tej sytuacji. Połowę butelki wmusili w Lill, a drugą rozpili sami. Zmordowana i lekko wstawiona agentka wreszcie zasnęła, a jej pilot siedział obok w dyrektorskim skórzanym fotelu, trzymając koleżankę za rękę, póki i jego nie zmorzył sen.



Kiedy się obudził, spostrzegł, że Asmodeusza już nie ma, choć poczciwy chłopak zostawił im dwie puszki piwa na kaca, a on nadal trzyma dłoń Lill, mimo że całe ramię mu zeszytniało. Lilith nie spała, ale wyglądała bardzo mizernie i smutno.

- Przepraszam, Lill, powinienem cię odwołać wcześniej, zanim... - odezwał się ze skrucą.

Przerwała mu:

- To moja wina, Leo. Tylko moja. Prowadziłeś mnie po prostu świetnie, to ja nawaliłam. Spieprzyłam akcję. - Siąknęła żałośnie nosem. - Wywalą mnie z roboty.

- Nie, no coś ty! - wystraszył się. - Mo-może dadzą tylko naganę...

- A ty po czymś takim dałbyś tylko naganę? Bliźniaki z takim potencjałem, a ja je

wypuściłam z rąk. I to dlaczego? Bo się zadurzyłam w „celu”, jak ostatnia kretyńska.

Leonardo nie wiedział, co powiedzieć. Z mak zakłopotania wybawiło go miarowe pukanie w futrynę. W otwartych na oścież drzwiach stał sam Asasello Berith - szef wydziału. No tak, nie można było oczekiwać, że kilka kredowych znaków na desce powstrzyma demona takiej rangi przed wejściem do środka. Berith wyglądał jak król dyskotek z Los Angeles - przystojna latynoska fizjonomia, złoty łańcuch na szyi, czerwona jak krew, lśniąca skórzana kurtka i czarne spodnie tak wąskie, że wydawały się namalowane na skórze. Pozory jednak mylą. Berith, wywodzący się z długiej linii demonów o tym nazwisku, miał wszystkie cechy swojego wielkiego przodka, czyli był geniuszem organizacyjnym, twardym graczem i potrafił tak cudownie kłamać, że zawstydziłby nawet nowojorskiego adwokata.

- Mogę już zacząć korzystać z własnego gabinetu, czy potrzebujecie jeszcze trochę czasu?

Zawstydzeni agenci zerwali się z miejsc, ale szef osadził ich z powrotem machnięciem ręki.

- Siadać, mam z wami do pogadania. De Vill, zamknij drzwi. Astaroth, złóż raport.

Berith z gracją usadowił się na blacie biurka. Lilith przyglądała włosy i odetchnęła głęboko. Raptem uświadomiła sobie, jak wygląda. Koszmar.

- Akcja przeprowadzana w wymiarze typu ZZ, faza E-19. Obiekty: Rinaldo von Selerberg, płeć męska; Margerita von Selerberg, płeć żeńska. Rodzeństwo bliźniacze, wytypowane jako poten...

- Dobrze, dobrze, to już wiem... przejdź od razu do tego, co się posypało - wtrącił zwierzchnik.

- Akcja została przerwana z powodu rażącego błędu agenta operacyjnego - powiedziała Lilith drewnianym głosem. - Agent, czyli ja, pozwolił sobie na nawiązanie więzi emocjonalnej z celem.

Zapadła minuta ciszy.

- Zakochałam się w celu - dodała żałośnie. - Nie potrafiłam tego zneutralizować i nie zawiadomiłam o zaistniałej sytuacji. Agent de Vill, pilot prowadzący, jest całkowicie niewinny.

Berith pokiwał głową. Mimo że wyglądał jak dwudziestoletni młodzieniec, jego oczy kryły głębie mądrości i doświadczenia.

- Zakochałaś się w celu. Dobrze. Bardzo dobrze.

- Nie rozumiem - bąknęła Lill nieśmiało.

- Och, oczywiście nie mam na myśli rozpirzonej akcji. - Berith machnął ręką. - Choć sytuacja nie jest aż tak katastrofalna, jak się wydawało na początku. Bo i cóż widział pierwszy

poszkodowany? Nic. Dostał fangę w dołek, rozwaliłaś mu buzię kolaniem i legł w paprociach. Co widział drugi poszkodowany? Nieszczególnie wiele da się zobaczyć spod wody, najwyżej fioletowy rozbłysk. Gorzej sprawa przedstawia się z „celem” - ową Margeritą, miała całkiem ładny widok na przejście fazowe. W tej chwili jest pod obserwacją. Powiedziała o wszystkim bratu, zastanawiają się nad całym zajściem, ale nie padło ani jedno słowo o tym, że podziela się swoją wiedzą z kimś jeszcze. Biorąc pod uwagę to i zebrane przez ciebie w trakcie misji materiały, chyba jednak nie zostaniesz usunięta dyscyplinarnie. Chłopcy już tam sprzątajają bajzel po tobie i przygotowują twojego trupa do wyłowienia z rzeki. W Schweingehölz jesteś spalona.

- A czego dotyczy „dobrze”? - odważył się spytać Leonardo, dotąd milczący jak własny nagrobek.

- Nazywają cię, czy może raczej nazywali, Stalowa Astaroth - rzekł Berith, jakby nie słysząc słów pilota. - Prawdę powiedziawszy... w moim wykonaniu to prawie oksymoron, ale prawdę powiedziawszy, to mnie od dawna niepokoiło. Lilith Astaroth: inteligentna, kompetentna, zimna jak tyłek Eskimosa, zupełnie bez wad. Bo przecież za wadę nie można uznać twojego zamiłowania do niegustownych makatek. I bez życia uczuciowego. A tacy pracownicy są niebezpieczni! - Berith uniósł palec gestem nauczającego proroka. - Do suchych wyliczeń mamy komputery, a pracujemy z ludźmi. Ludzie mają uczucia i roznoszą je jak zarazę. Zazdrość, gniew, współczucie, miłość... zwłaszcza miłość. Jeśli nie umiesz sobie z tym poradzić, dochodzi do takich sytuacji jak ta z E-19.1 dupa błada.

- Staralam się nie dopuścić do tego, ale... - Lilith rozłożyła bezradnie ręce.

- Widzę, że nie rozumiesz. - Demon przechylił się ku niej ze swego miejsca na biurku i zajrzał jej w oczy, mówiąc niecierpliwie: - Nie chodzi o to, że się zakochałaś. Ani nawet o to, że w dziewczynie. Fatalnie, że się zakochałaś TAM, a nie TU. Gdybyś miała kogoś w domu czy w pracy, kochanka, dziewczynę, kota... - w mordę serafina - *kogokolwiek*, z kim byłabyś związana uczuciowo *tutaj*, nie doszłoby do tego incydentu. Poradziłabyś sobie, zduśiła instynkty. Myślisz, że tobie jednej przydarzył się romansik po drugiej stronie? Każdy go zaliczył, nawet ja. To wręcz tradycja.

Berith wyciągnął zza ucha papierosa, pstryknął paznokciami i przypalił go od iskry.

- Astaroth, jesteś zawieszona. Traktuj to jak przymusowy urlop. De Vill, tobie się należy urlop legalny, jak zawsze po akcji. Zabierz ją do kina, do knajpy, możecie uprawiać windsurfing albo pielic truskawki, nie interesuje mnie to. Za sześć tygodni macie być na stanowiskach i w szczytowej formie. A teraz kysz stąd, muszę obmyślić jakiś spektakularny grzech. Jestem w pracy.

Czuąc się jak skarcone dzieci, agenci wyszli z gabinetu szefa, trzymając się za ręce, ale jakby tego nie zauważali. Mijani po drodze do wyjścia z gmachu pracownicy HELL-u oglądali się za nimi, lecz jakoś nikt ich nie zagadywał.

- A propos życia uczuciowego - odezwał się Leonardo. - Damien się żeni. Z tą swoją Marilyn. Ślub za tydzień.

Lill poderwała zwieszoną głowę.

- Żartujesz?

W środowisku, gdzie synonim „małżeństwa” stanowiło „wspólne łóżko”, słowo „ślub” brzmiało niesłychanie egzotycznie.

- Nie żartuję. Pobierają się. Legalnie i ze wszystkimi szykanami. Marilyn ma dość tradycyjne poglądy.

- Do licha, a kto eee... udzieli ślubu?

- Tammuz. A Beritha poprosili na świadka.

- Faktycznie, będzie bardzo tradycyjnie. Berith przeleci pannę młodą jeszcze przed ceremonią.

- Przesadzasz. Berith umie się zachować, raczej po.

Lilith zaśmiała się z przymusem.

- Leo, myślałam o tym, co mówił Berith. Oczywiście swoim zwyczajem okazał subtelność młotka, ale... miał rację. Cholera, miał rację. Leo, wiesz... ja chyba dam ci się zaprosić na tę randkę. Nie mogę dużo obiecać, lecz będę się starała. Lubię cię.

Leo uniósł jej nie najczystsza dłoń do ust i pocałował z żartobliwą galanterią.

- *Carissima*, to i tak więcej, niż oczekiwałem. A czekałem długo.



**TRICK
OR FLAGEOLET**

**CZYLI
HALLOWEEN EKSPERYMENTALNE**



Madame Flageolet na ogół lubiła dzieci. Co więcej, czasami je nawet rozumiała, co w tych straszliwie nowoczesnych czasach stanowiło nie lada wyczyn. Marguerite Gautier-Flageolet doskonale pamiętała okres, kiedy sama miała odpowiednio: dziesięć, trzynaście, piętnaście lat i wiedziała, jak trudne jest bycie dzieckiem. Radosne, szczęśliwe, śliczne dziewczynki w różowych sukieneczkach z szarfami, białych skarpetkach i pantofelkach czasami na dnie młodych duszyczek kryły mroczne tajemnice. Choćby ta biedna Liliane. Pozornie tak świetnie radziła sobie z tragiczną śmiercią całej najbliższej rodziny, a wreszcie - najwidoczniej czuła się samotna, nikomu niepotrzebna - oszalała i utopiła się w rzece. To makabryczne wydarzenie wstrząsnęło dyrektorką, obudziło w niej wyrzuty sumienia i chęć zadośćuczynienia; kto wie, może gdyby poświęciła więcej uwagi temu biednemu dziecku, nadał byłoby tutaj, a nie wśród aniołów.

I dlatego pewnie madame Flageolet zgodziła się na coś, czego teraz żałowała. Owo coś stało właśnie przed jej biurkiem z buntowniczą miną.

Dyrektorka popatrzyła na dziecko ze starannie ukrywanym obrzydzeniem. Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić jego płeć. Indywiduum miało półdługie włosy we wszystkich odcieniach koloru blond, opadające kosmykami na szkła okularów. Szkolny mundurek, widać kupiony na wyrost, wisiał na nim jak worek, a spod owego wora wyglądały jakieś okropne półwojskowe spodnie i wielkie krasnoludzkie buciorzy, ostatnimi laty bardzo modne wśród młodzieży.

Madame Flageolet na wszelki wypadek jeszcze rzuciła okiem na wierzch teczek z dokumentami.

- Joanne Amelie Boule? - upewniła się.

- Taaa... - mruknięto stworzenie niechętnie.

Na miłosierdzie boże, więc to jednak dziewczynka?

- Odpowiada się „tak, madame” - upomniała ją dyrektorka ostro.

- Tak, madame. - Joanne Amelie Boule dygnęła w swych wielgachnych krasnoludkach i nauczycielka przysięgłaby, że uśmiechnęła się szyderczo.

- Proszę mi wyjaśnić, panno Boule, dlaczego zaatakowałaś starszą koleżankę, nazywając ją, cytując... - madame Flageolet zerknęła do notatki - ...„wredną świnią”, i czemu ją popchnęłaś i ugryzłaś? Coś pominęłam?

Dziewczynka wzruszyła ramionami i z krnąbrną miną skierowała wzrok w okno.

- Nie omieszkałam powiadomić twoich rodziców o tym skandalicznym zachowaniu.

- Tata jest w więzieniu, a mama się powiesiła. Madame - oświadczyło to upiorne dziecko z lodowatym spokojem.

Dyrektorę przeszedł dreszcz. Ukradkiem popatrzyła w papiery. Faktycznie: Joanne Amelie Boule, na stałe zamieszkała w Nebelhornie, protegowana tamtejszego Towarzystwa Dobroczyńnego imienia Ksymeny von Vogelstrauss i jakiegoś anonimowego dobroczyńcy, który uznał, że uczennica, która ukończyła tamtejszą podstawówkę z najwyższymi notami ze wszystkich przedmiotów, zasługuje na umieszczenie w L'Ecole privee w Schweingehölz.

- Czy wiesz, że grozi ci usunięcie ze szkoły?

- Tak - odparła dziewczynka. - Wszystko jedno, i tak zawsze wywalacie tych biedniejszych. Wszędzie liczy się forsa.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości. Nie wiem, gdzie leży Nebelhorn, ale z pewnością nie jest to żadna metropolia. Sądzę, że jest to raczej paskudne miejsce. Znacznie lepiej stamtąd pochodzić, niż tam mieszkać, więc jeżeli usłyszałaś róg mgielny¹², to powinnaś iść za głosem szczęścia, a nie marnować je w tak idiotyczny sposób! - Wbrew temu, co obiecała sobie jeszcze minutę temu, ostatnie słowa madame Flageolet niemal wykrzyczała. - Czy myślisz, że te panusie z opieki społecznej będą zachwycone, kiedy otrzymają ode mnie list ze skargami? Dałaś się sprowokować jakiejś głupiej gęsi, ryzykując, że przekreślisz swoją życiową szansę wyrwania się z biedy. Pięknie, nie ma co. O co wam poszło?

Dziewczynka zrobiła wielkie oczy.

- Powiedziała... że jestem żebraczką - wymamrotała, pąsowiejąc ze wstydu. - Wyśmiewała, że mam brzydkie ubrania. I mówiła, że powinnam jeść resztki w kuchni, a nie z innymi przy stole...

Dyrektorka westchnęła.

- Od tej chwili jesteś zawieszona na trzy dni. Za karę nie wolno ci opuszczać terenu szkoły. A z panną Boyd porozmawiam sobie jeszcze. To będzie długa rozmowa.

Zadzwoiła srebrnym dzwonkiem, stojącym na biurku obok kałamarza. Drzwi gabinetu otwarły się i weszła Persefona Woodgate z szóstej klasy. Uczesana w wytworny kok, w czyściutkim, odprasowanym zakiecie z haftowanymi szarotkami na klapach i przepisowej plisowanej spódnicy oraz... obuta w mordercze buciory straszliwego fasonu, niemal identyczne z tymi, jakie miała na sobie krnąbrna panna Boule. Z tym że oczywiście w dużo lepszym stanie.

- Woodgate, właśnie o tym chciałam z tobą pomówić - rzekła dyrektorka, z trudem odrywając wzrok od obuwia Persefony. - Te buty...

Są fascynujące, pomyślała, a głośno dokończyła:

- Są nie do przyjęcia. Proszę nosić regulaminowe pantofle, Woodgate. Przynajmniej

podczas lekcji.

Persefona dygnęła i dyrektorka zrozumiała, dlaczego nagle dziewczęta z upodobaniem zaczęły ubierać się w krasnoludany. Po prostu dyganie w takich butach wyglądało wyjątkowo *ironicznie*. Madame wskazała na mniejszą dziewczynkę.

- W ramach upomnienia, Persefona, zajmiesz się młodszą koleżanką. Przyjechała niedawno, jest w pierwszej klasie i nie zna jeszcze tutejszych zwyczajów. Zaopiekuj się nią. Możecie odejść.

Na korytarzu obie uczennice zmierzyły się wzrokiem od stóp do głów. Boulle łypała nieufnie spode łba, wysoka Persefona natomiast patrzyła na nią z góry, z niejakim rozbawieniem.

- Niezłe buty, mała - odezwała się wreszcie. - Wszystko słyszałam przez dziurkę od klucza. Fasola jest równa babka, nie skrzywdzi cię. A Boyd to głupia mała.

- Nie mów na mnie „mała”, ty drabino - odparło zaczepnie dziecko z Nebelhornu.

- A jak mam mówić?

- Jo.

- Może być Jo. Mów mi Perry.

- Masz mnie teraz pilnować? - powiedziała Jo trochę miłszym tonem.

Persefona wzruszyła ramionami.

- Sama się pilnuj. Fasola miała rację, wylecieć stąd przez Boyd to czyste frajerstwo. Nie zamieniłabym tej szkoły na górę złota.

Jo Boulle pomyślała, że może nie będzie w tej budzie najgorzej, skoro jest tu ktoś taki jak Persefona Woodgate. W Nebelhornie też знаła jednego półdrowa. Kiedyś robił za fliegera¹³, ale od kiedy się połamał, robił paserkę i dawał dobre ceny. Drowy były w porządku, kumały, w czym rzecz. Panie z Towarzystwa były też miłe i w porządku, ale jakieś takie zupełnie niezyciowe. Pewnych rzeczy po prostu nie łąpały. Nie rozumiały, że jak się jest dzieciakiem z Nebelhornu, to nie wolno sobie pozwalać na sentymenty, nawet jak się jest małą blondyneczką w okularach. A właściwie zwłaszcza wtedy. Trzeba mieć imidż. Jak się nie ma imidża, to cię więksi spychają na koniec kolejki. Ale może teraz, kiedy już zna tę Woodgate, będzie lepiej. Perry miała całkiem sporego imidża.

A z zadzierającą nosa Lawinią Boyd jeszcze się policzy!



¹² *Nebel* - mgła; *horn* - róg; dosłownie: róg mgielny, używany do naprowadzania podróżnych na właściwy szlak

¹³ *Flieger* - dosł. lotnik, tutaj w znaczeniu złodzieja wchodzącego przez okna i balkony.

Profesor Arwena Bulhakova, wykładająca w L'Ecole privee de la metode experimentale język elficki, krasnoludzki i wyjątki z literatury współczesnej, natychmiast spostrzegła, że pierwszoklasiści są dziwnie podnieceni. W klasie dało się słyszeć stłumione chichoty i szepty. Nie było to normalne, gdyż zbliżał się zaledwie koniec września. O tej porze roku nowi uczniowie przypominali niezdarne szczeniaczki, które przed chwilą wylazły z kosza i przekonały się, że świat jest dużo większy oraz bardziej niebezpieczny, niż sądziły dotąd. Jak nauczyło profesor Bulhakovą kilkuletnie doświadczenie, wstępne oznaki rozluźnienia dyscypliny powinny pojawić się dopiero z końcem października, kiedy malcy nabiorą pewności siebie.

Choć oczywiście były wyjątki od reguły, jak na przykład to niewiarygodnie rozczochrane dziecko w pierwszej ławce. O tak, zapadało w pamięć niewątpliwie. Nie wyglądało na nieśmiałe czy wystraszone, jego szare oczy zza szkieł patrzyły chłodno i z rezerwą, ale w kącikach ust czaił się kpiący uśmieszek. Za długie rękawy mundurka dziewczynka miała podwinięte prawie do łokcia, a pod spodem jakiś powyciągany sweter, na którym... Profesor Bulhakova ze zdziwienia i oburzenia uniosła wysoko brwi. Na swetrze, pracowicie ponaszywane, widniały duże litery, układające się w napis BOYD JEST - reszta niknęła za krawędzią ławki, choć łatwo było ją odgadnąć.

- Niewiarygodne! - wybuchnęła nauczycielka. - Własnym oczom nie wierzę. Boulle, nazywanie koleżanki „głupią” nie należy do dobrego tonu i w tej szkole nie jest tolerowane!

Nie wiadomo czemu klasa wydała dziki chóralny kwik radości.

- CISZA! Bo zadam wam dodatkowe ćwiczenia za karę! - zawołała profesorka, więc cisza zaległa wręcz grobowa.

- Boulle, wstań!

Ta niemożliwa dziewczucha podniosła się nawet chętnie, z ironicznym uśmieszkiem przyklejonym do twarzy. Nauczycielka odczytała resztę wyzywającego napisu na swetrze uczennicy i mina się jej wydłużyła.

**BOYD
JEST
RYBKĄ**

No, doprawdy... nie tego się spodziewała. Najwyraźniej sławetna historia Lawinii i jej katastrofy magiczno-kosmetycznej zdążyła dotrzeć także do „nowych”.

- Zapnij się! - poleciła z irytacją. - To nie knajpa, tylko szkoła, więc masz wyglądać porządnie, a nie jak u... - w ostatniej chwili zdołała ugryźć się w język. Słowo „ulicznica” nie było odpowiednie dla jedenastoletnich uszu, choć mogłaby przysiąc, że panna Boulle знаła wszystkie jego synonimy. - Masz wyglądać schludnie - dokończyła z przymusem.

Boulle posłusznie wykonała polecenie i lekcja dalej potoczyła się normalnym torem.



Lawinia Boyd najwyraźniej niejednemu już załazła za skórę, gdyż aż do późnego popołudnia rozmaici uczniowie i uczennice podchodzili do Joanne, by jej pogratulować pomysłu, a niektórzy starsi nawet częstowali ją cukierkami. Jo pławała się w chwale rzadko będącej udziałem pierwszaka. Oczywiście, co życzliwsze osoby ostrzegały ją przed „Fladrą” Boyd, która była tak wściekła, że krew prawie jej tryskała z twarzy, ale Jo mało się tym przejmowała. Cóż mogłaby jej zrobić? Najwyżej wymalować sobie na pryszczatym czółku: *Boulle jest...* czymś tam. Gdyby spróbowała podnieść na nią rękę, Jo miała jeszcze w zanadrzu opracowany perfekcyjnie numer „biedna sierotka”, który działał na wszystkie panie z opieki. Dziewczyna z szóstego roku, bijąca małą pierwszoklasistkę, pograżałaby się ostatecznie w oczach całej szkoły.

Okazało się jednak, że nie doceniła „Fladry”.

Zacząło się niewinnie, od upuszczonej podczas kolacji łyżeczki, rozlanej herbaty, rozwiązujących się wciąż sznurowadeł - rzeczy irytujących, ale niezbyt podejrzanych. Można je tłumaczyć na dziesiątki sposobów: zmęczeniem, początkami przeziębienia, zwyczajną niezdarnością wreszcie. Potem Jo doszła do wniosku, że powinno jej dać do myślenia to, że ugryzła się aż do krwi w wargę, jedząc po prostu kawałek chleba. W sierocińcu kompletnie widocznie straciła ten, no... instynkt zachowaniowy.

Kiedy potknęła się u szczytu schodów, było już za późno na zastanawianie się i na cokolwiek innego. Poczula, że jej stopa, zamiast znaleźć pewne oparcie na stopniu, osuwa się niżej, a jednocześnie miała wrażenie, jakby czyjaś ręka uderzyła ją między łopatki. Zdażyła się tylko odruchowo obrócić w powietrzu, jak spadający kot, chroniąc twarz i głowę; za nią nie było nikogo, co dostrzegła w ciągu sekundy - a potem poleciała w dół. Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie zdażyła się bardzo przestraszyć.

Uderzyła o coś tyłem czaszki i na chwilę zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Jo...? Jo! Mała, ocknij się, do Ucha!

Rozpoznała głos Persefony, więc podniosła powieki.

- Ala... - Spróbowała wstać i wtedy stwierdziła, że leży na kimś.

- Spadłaś na mnie - powiedział chłopak ze starszej klasy. Wyglądał na co najmniej piątoklasistę.

- Nic sobie nie połamaliście? - spytała Persefona. Oboje natychmiast zaprzeczyli, wstając. Ponieważ dokoła już zaczęli gromadzić się ciekawscy uczniowie, tylko pomachali im uspokajająco i skierowali się w stronę bawialni.

- Perry, to jakieś dziwne, mogę się założyć, że ktoś mnie popchnął - wyszeptała Jo, wspinając się na palce do wyższej dziewczyny. - Ale nikogo koło mnie nie było.

- Uhm - potwierdził chłopak. - Widziałem. Schodziła normalnie schodami i raptem poleciała. Prosto na mnie. Pewnie tylko dlatego jeszcze żyje, bo ją próbowałem złapać. Uff... dobrze, że jest taka mała. Spod Marge by mnie podnieśli wprost do trumny.

- Dzięki - mruknęła Jo ponuro. Nie była do końca przekonana, czy facet żartuje, czy jest zły.

W minutę później wpadła na drzwi, które ktoś niespodzianie otworzył na jej drodze. Po następnych trzech wielki portret sir Domenica Leara, przez piętnaście lat aż do tej pory wiszący spokojnie na ścianie, pochylił się po przodu przy akompaniamencie jęku wysuwającego się z tynku haka i runął. Gdyby Perry nie szarpnęła Jo do tyłu, fizjonomia wynalazcy bicykla wylądowałaby pierwszoklasistce na głowie. Tym boleśniej, że sir Domenica wymalowano na desce. Trójka uczniów przez moment ze zgrozą patrzyła na mordercze malowidło.

- Wiecie co? Lepiej się zmywajmy, bo będzie na nas - odezwała się Jo. Jej głos dziwnie przypominał ochrypły pisk.

- Ricky, bierz ją pod łokieć i prowadź - zakomenderowała Persefona, łapiąc dziewczynkę pod ramię ze swojej strony. - Jo, zamknij oczy, nic nie mów i tylko stawiaj nogi.

W głosie starszej dziewczyny było coś takiego, że Jo posłuchała natychmiast.

- Myślisz, że to jest to, co ja myślę? - odezwał się chłopak nazwany Rickym.

- Ja tam nie wiem, co myślisz, ale chyba czas, żebyśmy poważnie porozmawiali o twojej byleży. A to... to mi wygląda na śliczną klątwę Splątania, możliwe, że z jakimś dodatkiem - odparła Persefona. -Zgadnij, kto w tej budzie zbiera zaklęcia, tak jak inni marki pocztowe.

Ricky tylko westchnął.

Wreszcie posadzili Jo na czymś miękkim (co okazało się fotelem) i pozwolili jej otworzyć oczy.

- Opróżniaj kieszenie - rozkazała Perry. - Wszystkie, wewnętrzne też. I kieszenie bojówek.

Kilkoro uczniów, którzy zdążyli przyjść tu z kolacji, ciekawie obserwowało machinacje Persefony, grzebiącej w stosiku cukierków, kasztanów, koralików, ułomków ołówków i

innych różnorodnych drobiazgów, jakie gromadzą się zawsze w kieszeniach każdego dziecka.

- Ha! A nie mówiłam? - wyłowiła złożony w kilkoro papierek, ale po rozwinięciu okazało się, że zabazgrany jest tylko fragmentem elfickiej gramatyki.

- Czego ty właściwie szukasz? - zdenerwowała się Jo. Perry z zawziętą miną zdarła z niej mundurek.

- Przekleństwo Splątania powinno być blisko ofiary, inaczej nie działa. Gdzieś ci musiała je podrzucić - wyjaśniła, przewracając szkolną marynarkę na lewą stronę i oglądając szwy. - Zdejmuj buty.

- Jak mogła mi coś wsadzić w buty?! No coś ty?

- Nie margaj, znajdę to świństwo, choćbym cię miała rozebrać do naga. Ricky, zdejmij jej buty, jak sama nie zechce.

Ricky wzruszył ramionami, ale złapał Jo za stopę. Już chciała kopnąć go tak, że popamiętałby to długo, kiedy zawołał ostrzegawczo:

- Perry, jest!

- Au, co ty wyprawiasz...?! - wrzasnęła dziewczynka ze złością.

Bezceremonialne ciągnięcie do góry za nogę, tak że przyjmuje się w fotelu dość głupią pozycję, nie należy do przyjemności. Ricky rozplatał sznurowadło i ściągnął jej but, pokazując podeszwę.

- Do licha...

W zagłębieniu koło obcasa, przyklejony kawałkiem gumy do zucia, tkwił mały, płaski pakiecik. Ricky rozwinął go ostrożnie pod czujną obserwacją Perry i Jo. Na karteczce od wewnątrz wyrysowany był pentagram, na nim leżała maleńka kurza kostka przelamana na pół i pojedynczy jasny włos.

- To mój? - spytała Jo ze zgrozą. - Skąd ta małpa miała mój włos?

- Zdjęła ci z ubrania albo z poduszki. Nic trudnego - odpowiedziała Perry, krzywiąc się z dezaprobatą.

- A to z dzisiejszego obiadu. - Ricky podniósł kosteczkę. - Cholerna idiotka, chciała ci coś złamać.

- Ale jakoś nie przyszło jej do głowy, że do tej klątwy nie używa się kości, tylko zwykłej nitki. Wiąże się na niej parę supełków, a przeklęty będzie się potykał i robił głupstwa. W sumie nic niebezpiecznego, nawet nie działa zbyt długo - uzupełniła Perry i dodała, podając włos dziewczynce: - Spal go albo zakop w ziemi. A te śmieci zabiorę i pokażę Fasoli. Boyd przegięła.

- Ciekawe, jak udało jej się to podrzucić. Pod podeszwę? Trudna sprawa - zastanawiał się

Ricky, obracając krasnoludana w rękach. - Mała, zdejmowałaś dziś te buty? Zostawiałaś je gdzieś?

Jo pokręciła głową przecząco. Zmarszczyła jasne brwi w wysiłku umysłowym.

- Nie mieliśmy dzisiaj gimnastyki. Chyba że przykleiła mi to wtedy, jak wyglądałam przez mur, ten na tyłach. Włazłam kawałek na podmurówkę, patrzyłam na drugą stronę, tylko wtedy mogła podejść i mi to przyczepić. Kiedy indziej bym ją przyfilowała.

- Wiesz co, ty całkiem niegłupia jesteś - rzekł z uznaniem Ricky, oddając jej but.

- Słyszeliście? - Persefona odwróciła się do świadków, którzy już zaczęli między sobą wymieniać opinie. - Boyd rzuciła klątwę na pierwszoroczną, żeby jej zrobić poważną krzywdę. Miejcie to na uwadze.



Jo obudziło klepanie w ramię. Jak dzikie zwierzątko, natychmiast z głębokiego snu przeszła do stanu czuwania.

- Szszsz... - usłyszała w ciemności. - Nie drzyj się. To ja, Peny.

Tuż obok zapaliło się maleńkie jak robaczek świętojański światełko i w jego blasku Jo zobaczyła twarz Persefony, która trzymała w dłoni świecącą szklaną kulkę.

- Mała, jesteś potrzebna. Pójdiesz ze mną?

- Gdzie i co za to dostanę? - spytała Jo chłodno.

- Do oranżerii. Co powiesz na cztery lizaki?

- Może być - mruknęła dziewczynka. Serce mocno jej zabiło. Coś się kroilo.

- Ubieraj się. Zaczekam w salonie.

Jo włożyła ubranie po ciemku, z wprawą świadczącą o niezłej praktyce. O spory szok natomiast przyprawił ją w bawialni widok dwóch postaci, splecionych w czułym uścisku. Peny najspokojniej w świetle całowała się z jakimś chłopakiem! Żołądek Jo wykonał niespokojny podryg. Fuuuu...! Na szczęście po chwili amant Persefony ukazał twarz całkiem przystojną i inteligentną.

- To jest ta nasza tajna broń? - spytał ktoś z kąta półgłosem.

W pomieszczeniu paliła się tylko jedna świeca, więc Jo w pierwszej chwili nie spostrzegła kolejnych dwóch osób.

Był to Ricky i duża, tęga dziewczyna, którą Jo widywała już w towarzystwie Persefony.

- Nie inaczej - wyszczerzyła zęby Perry. - Jo, Ricky'ego von Selerberga już znasz, to jest jego siostra Marge. A to mój chłopak, Janus Moon. A teraz ważne pytanie, cukiereczku. Od odpowiedzi zależy, czy zaraz wrócisz do łóżka, czy może tę noc spędzisz bardziej pracowicie.

- Dobra, nie chrzań, już się zgodziłam, nie? - odrzekła Jo z godnością.
- Na razie jeden raz, a ja pytam, czy chcesz należeć do KWL? Można ci zaufać?
- Co to jest kawuel?
- Klub Wrogów Lawinii.
- Nie ma sprawy. Kiedy ją zabijemy?

Janus Moon parsknął stłumionym śmiechem.

- Formalności z głowy. Jazda, cukiereczki, bo nam zamkną sklepik.

Jo zauważyła, że wszyscy włożyli czarne swetry i spodnie. Idealne na nocną robotę. Widać nie miała przed sobą nowicjuszy. Na szczęście jej ubranie również było ciemne.

Szkolne korytarze tonęły w półmroku. Szli na palcach, zmierzając do bocznego wyjścia, prowadzącego w okolice roślinnego królestwa profesora Kaufmanna, nauczyciela demonologii i alchemii. Moon prowadził, za nim sunęła Perry i rodzeństwo Selerbergów, a miniaturowy pochód zamykała Jo, usiłując nadażyć za długonogimi nastolatkami. W pewnej chwili chłopak zatrzymał się jak wryty, zagradzając im drogę łokciem. Jo zobaczyła, jak robi gest, który mógł znaczyć tylko jedno: Kryć się!

Persefona błyskawicznie wcisnęła się do niszy, za stojącą tam zbroję. Ricky wskoczył na parapet, i skulił się w głębokim wykuszu okiennym, a Margerita stanęła nieruchomo za rozłożystą palmą w wielkiej donicy. Jo schowała się pod niską ławeczką przy oknie. Ze swej kryjówki mogła dojrzeć fragment korytarza. Posłyszała lekkie stukanie obcasów i w polu jej widzenia pojawiła się para damskich pantofli, należąca do jakiejś nauczycielki. A niech to! Co robi Moon?

Przekręciła ostrożnie głowę, próbując zobaczyć chłopaka Perry. Dlaczego ten głupek się nie chowa?

- Dobry wieczór, madame Bulhakova. Przepiękna noc, prawda?
- Raczej „dobranoc”. Moon, co robisz o tej porze poza sypialnią?
- Cierpię, madame. Koledzy strasznie chrapią, a ja jestem wrażliwy na chrapanie, więc postanowiłem skorzystać z bezchmurnej pogody i poobserwować księżyc.

- Moon...

- Wiem, że to lekkie naginanie regulaminu, ale gdyby pani ze mną poszła na spacer, spędzilibyśmy miłą godzinę na lekcji astronomii. O, widzi pani, mam nawet lunetę.

No proszę, proszę... Dobry bajer. Nawet lunetę ma. Jo pokiwała głową z uznaniem. Janus musiał odholowywać profesorkę z niebezpiecznego rejonu, gdyż jego głos oddalał się, aż w końcu dobiegał echem z jakiegoś bocznego korytarza.

Ricky odetchnął bezgłośnie, łapiąc się dramatycznym gestem za serce. Perry wyszła z za

zbroi, w milczeniu unosząc kciuk w górę. Margerita już ponaglała ich gestami, stojąc w uchylonych drzwiach dziewczęcej toalety.

- Dlaczego nie drzwiami? - odważyła się szepnąć Jo, kiedy już byli w środku, a Marge otwierała okno.

- Sprawdza je woźny w trakcie nocnego obchodu - odszepnęła Marge. - A tutaj nie wchodzi nigdy, więc możemy zostawić okno niedomknięte. Przełóż.



Szkolna oranżeria była dumą i ukochaniem profesora Kaufmanna, a chwilami owa duma ocierała się o obsesję. Pilnie strzegł swoich skarbów, czyli całej armii doniczek i skrzynek, gdzie hodował rzadkie, cenne rośliny, których w różnych formach używał podczas lekcji alchemii. Tylko nieliczni szczęściarze mieli wstęp za szklane drzwi, obłożone klątwami zabezpieczającymi, a nawet wtedy nauczyciel nie zostawiał podopiecznych samych, stosując, skądinąd słusznie, zasadę ograniczonego zaufania. Chodziły słuchy, że ktoś kiedyś próbował naruszyć „święte włości” Kaufmanna, i ze złodzieja został tylko kapelusz. Resztę pożarł głodny demon, siedzący w zastawionej pułapce.

To wszystko Persefona opowiedziała Jo w skrócie, kiedy dotarli na miejsce.

- No ale chyba to nieprawda, z tym demonem? - zaoponowała Jo nieufnie.

Kaufmann był rąbnięty, ale przecież nie aż tak.

- Jasne. Fasola by mu na to nie pozwoliła, ale czyraki na tyłku to się ma jak w banku - odparł Ricky.

Ominęli główne wejście szklarni. W świetle księżycy Perry pokazała młodszej dziewczynce mały lufcik w szczycie przeszklonej budowli.

- Nie ma co próbować otwierać drzwi, ale tutaj nie ma zabezpieczeń. Możesz spróbować wejść przez to okienko?

Jo oceniła wielkość lufcika. Pozornie zmieściłby się w nim najwyżej duży kot. Jednak doświadczenie mówiło jej, że da radę, jeśli tylko zdoła przecisnąć tamtędy głowę.

- Spoko - orzekła. - Powinam przejść, ale bez kurtki, swetra... i bez spodni - dodała mniej pewnie. - Jest zimno...

Był początek października i na dworze panował chłód, mimo że noc była dość pogodna.

- Dołożę ci czekoladę - powiedziała szybko Persefona.

- Dobra, nie musisz. Jestem w klubie, nie? - odparła Jo, ściągając kurtkę, i natychmiast warknęła na Ricky'ego: - Nie gap się!

- Nie mam na co - odburknął.

- Jo, słuchaj. Kaufmann trzyma zapasowy klucz w skrytce pod doniczką z żądłowcem. Uważaj na ręce. Nie dotykaj ani doniczki, ani klucza gołymi rękami. Włóż rękawice ogrodnicze. Otworzysz nam drzwi od środka.

- A klątwa?

- Klątwa nie zadziała, jeśli masz klucz. Co innego, jakby grzebać w zamku wytrychem. Żądłowiec, rękawice, klucz. Zapamiętasz?

- J-jasne. N-nie jest-em głup-pia - odpowiedziała Jo, trzęsąc się z zimna w koszulce i majtkach.

- Marge, podsadźmy ją, zanim zamarznie.

Dwie szóstoklasistki podniosły dziewczynkę bez wysiłku, jak piórko. Jo uchwyciła krawędź okienka i wśliznęła się do środka niczym wąż. Z niejakim trudem przekreśliła się, by opaść na nogi. Wisząc, uczepiona okienka, wymacała stopami krawędź ogrodniczego stołu.

Szczęśliwie nie trafiła na żadne doniczki. Wnętrze oranżerii przywitało ją miłym ciepłem.

- Hej, trzymaj! - Przez okienko wpadła świecąca kuleczka na tasiemce, Jo odruchowo schwytała ją w locie.

„Świetlik” dawał słabą poświatę, ale wystarczającą, by bez trudu odnaleźć parę rękawic. Doniczka z paskudnym, kolczastym żądłowcem, klucz, drzwi... bułka z masłem.

Zamek był tak marny, że gdyby nie klątwa (zakopana pewnie pod progiem), Jo mogłaby otworzyć go zwykłym kawałkiem drutu.

- Dobra robota - mruknęła Perty, wchodząc. Spiskowcy rozproszyli się po oranżerii i przy blasku „światlików” sprawnie rabowali skarbiec Kaufmanna. Jo zauważyła, że wszyscy włożyli ogrodnicze rękawice, więc przezornie nie zdejmowała swoich.

- Ricky, nie więcej niż jeden liść z doniczki. Nie obsmyczaj tak bardzo.

- Gdzie Kaufmann trzyma sadzonki?

- Na tej półce po prawej.

- Mam butelkę. *Alo hortus?*

- Mhm...

Cała akcja trwała zaledwie dziesięć minut. Włamywacze doskonale wiedzieli, po co przyszli i gdzie tego szukać.

- Jo, teraz zamkniesz za nami, włożysz klucz na miejsce i przeleżysz przez okienko z powrotem.

- Perry, ty mnie nie musisz uczyć - odpowiedziała dziewczynka zarozumiale, a w myśli dodała: Robiłam za „kunę”, jak jeszcze wchodziłam na prosto pod stół.

Trudniej było dostać się do lufcika z tej strony bez pomocy, ale Jo mogła wejść na brzeg

stołu. Zanim spadła na głowę, Margerita złapała ją po drugiej stronie.

- Wielka Morgano... - stęknęła. - Czy ty masz w ogóle jakieś kości? Ta dziura jest wielkości talerza.

- Mmmmmmmmm mięękkkkkkkie kkkkośścccci - wymamrotała, trzęsąc się, Jo, podczas gdy Perry i Margerita pośpiesznie naciągały na nią kolejne części garderoby.

- Po co... wam to? Brrr... - otrząsnęła się, zawijając ramiona wokół tułowia.

- Zobaczysz. - Marge wyszczerzyła zęby w mroku. - A teraz jazda na boisko!



Następnego ranka wszystkie okna wychodzące na boisko do krykieta były okupowane przez nieposiadającą się z radości młodzież. Jako że okna dyrektorskiego gabinetu również były z tej strony, nawet madame Flageolet, w sposób bardzo niepedagogiczny, cieszyła się osobliwym widokiem, co rusz wybuchając stłumionym chichotem. Do chwili gdy jej progę przekroczyła wzburzona delegacja kadry pedagogicznej, w postaci profesora Kaufmanna oraz profesora Petersena od matematyki i innych przedmiotów ścisłych. Za nimi drobna niespokojna madame Bulhakova. -To skandal! Po prostu skandal!!! - zagrzmiął Kaufmann.

- Dzień dobry panom. Dzień dobry, Arweno - odpowiedziała dyrektorka spokojnie, nadal patrząc przez okno.

Kaufmann chrząknął z zażenowaniem, ponieważ przypominał sobie o normach dobrego wychowania.

- Dzień dobry, madame. Widziała to pani? - wskazał oskarżycielskim gestem w dół, na boisko.

Trawa na boisku była jasna, krótko przycięta, więc tym bardziej odcinało się od niej jaskrawozielone hasło, wypisane za pomocą sporej wielkości roślin, przypominających potargane anemony, z których wyrastały grube, poskręcane pędy, wyginające się w litery.

LAWINIA BOYD TO DZIFKA

- Ma pan rację - rzekła madame Flageolet. - Prawdziwy skandal, koniecznie musimy w tym roku położyć większy nacisk na ortografię.

Twarz profesora poczerwieniała, upodabniając się do podwiedłego jabłka.

- Wie pani, co to jest?!

Dyrektorka w geście zastanowienia przyłożyła szczupły palec do arystokratycznego nosa.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, to *Herba scriptoris*, zwana także popularnie „literową sałatą”.

- To jest MOJE *Herba scriptoris*, pragnę nadmienić - indyczył się Kaufmann.

- Ależ proszę pana, o ile wiem, literową sałatę można kupić w sklepach ogrodniczych i nawet nie jest szczególnie kosztowna - odpowiedziała dyrektorka. - Skąd wiadomo, że te rośliny należą do pana?

Kaufmann wyprostował się godnie.

- Sprawdziłem oranżerię. Zginął mi pojemnik z sadzonkami oraz butelka mikstury przyspieszonego wzrostu. To chyba jednoznaczny dowód? A wartość nie ma tu nic do rzeczy, madame! Liczy się fakt. KRADZIEŻ. W dzieciach budzą się zbrodnicze instynkty, a pani to lekceważy!

Dyrektorka zeszywniała.

- Profesorze Kaufmann, pan się zapomina. Nie uważam, by drobną kradzież należało umieszczać na tej samej półce co na przykład zabójstwo. Istnieje takie słowo jak „wykroczenie”. Zapewniam, że postaram się odszukać autorów tego „występku” i odpowiednio ukarać.

- Na pani miejscu, madame, spytałbym Woodgate i Moona - odezwał się zgryźliwie Petersen, do tej pory milczący. - Cokolwiek niestandardowego dzieje się w tej szkole, stoją za tym oni, to już po prostu aksjomat.

Madame Bulhakova zarumieniła się.

- Tym razem chyba możemy wykluczyć Moona. Ma alibi.

Dyrektorka rzuciła jej jastrzębie spojrzenie, lecz nie pytała o nic więcej. Pewnych spraw nie należało poruszać w obecności mężczyzn. Zresztą nasuwał się logiczny wniosek, że gdyby chodziło o cokolwiek niemoralnego, Arwena nie puściłaby pary z ust.

- No cóż, jeśli ma to panów uspokoić, zapytam Persefonę, czy wie coś o tym incydencie.

- Oboje czekają za drzwiami - powiadomił Kaufmann z satysfakcją.

Para liderów szkolnej przestępczości nie wyglądała na zaniepokojoną w najmniejszym stopniu.

- Panno Woodgate... - odezwała się dyrektorka, starannie ważąc słowa. - Czy wiesz, kto ma tak osobiwą ortografię? - wskazała palcem za okno.

- Niestety, nie, pani dyrektor - odpowiedziała Persefona bez mrugnięcia okiem.

Mogłaby nawet przysiąc, że mówi szczerą prawdę, gdyż faktycznie nie miała pojęcia, kto w nocnych ciemnościach pomylił W z F.

- Moon, czy włamałeś się w nocy do mojej szklarni? - rzucił Kaufmann obcesowo, aż

dyrektorka zmarszczyła brwi, urażona takim brakiem manier.

- Nie, proszę pana. Miałem lepsze zajęcia niż okradanie pańskiego ogródka - odparł Janus z jawną pogardą.

- Profesorze, oskarżanie ucznia o przestępstwo bez żadnych dowodów jest co najmniej nietaktem - skarciła Kaufmanna przełożona. - A podobno mamy te dzieci uczyć dobrego zachowania.

- Pan Moon spędził ze mną zeszłej nocy dwie godziny od północy do drugiej nad ranem na obserwacjach astronomicznych. Nie przypuszczam, żeby znalazł jeszcze czas i ochotę na włamania! - wypaliła madame Bulhakova, czerwieniąc się jak piwonia.

Nie miała zamiaru wspominać, że rozmawiali również o tenisie, serach do fondue i powieściach detektywistycznych Donii Darcowej.

- To chyba wyczerpuje temat? - Dyrektorka spojrzała na przypięty do bluzki zegarek. - Jest godzina dziewiąta piętnaście. Od kwadransa państwo powinni prowadzić lekcje. Panie Petersen, proszę po obiedzie skierować paru uczniów do wykarczowania tej... ozdoby. Woodgate, z tobą chcę jeszcze chwilę pomówić.

Profesorom nie pozostało nic innego jak się pożegnać.

- Persefono, skonfiskowałam Lawinii Boyd ten *pamiętniczek* - powiedziała madame Flageolet, kiedy zostały z uczennicą same.

- Boyd ma skłonności do prowadzenia pamiętniczek, madame. Chyba tylko obcięcie rączek mogłoby ją powstrzymać - wyraziła opinię Persefona.

- Woodgate, nie jesteś chirurgiem. Pamiętaj o tym.

- Będę pamiętać, madame.

- Jak się sprawuje twoja podopieczna?

- Jo? Jest bardzo inteligentna. Na pewno zostanie kimś niezwykłym. Może jakąś straszliwą zbrodniarką, a może kobietą ministrem, w każdym razie nie sposób jej nie zauważyć.

Madame Flageolet uśmiechnęła się.

- Więc twoim zdaniem może się zdarzyć, że za sześć lat Boulle będzie prefektem?

- Zdziwiłabym się, gdyby to się nie stało. Tak zastraszy konkurencję, że będą się bali jej nie wybrać.



Sprawa wykorzystania literowej sałaty do niecnych celów rozeszła się po kościach. Październikowe dni mijały jeden za drugim, nasycone ostatkami słonecznego ciepła i spokojem. Margerita i Ricky von Selerberg mogli powiedzieć, że w końcu całkowicie doszli

do równowagi po obłąkanym maju, straszliwym czerwcu, kiedy musieli brać udział w pogrzebie przyjaciółki, i nieszczęśliwie wesołych wakacjach, kiedy oboje miewali złe sny. Zwłaszcza Marge ciągle śniła się Liliane w różnych wariantach. Lily płacząca, Lily oszalała, Lily leżąca, w trumnie - blada, spokojna, w białej sukni i wianku z czerwonych róż na czarnych włosach. Czasami we śnie otwierała oczy, patrzyła na Margeritę i mówiła z lękiem: „Dlaczego mnie zakopujecie? Przecież nie umarłam”. Czy fioletowe światło, jakie Marge widziała nad rzeką, było efektem potężnej klątwy, która w rezultacie zabiła Lily? Czy rzuciła ją Lawinia - niezbyt bystra, ale wystarczająco sprytna i złośliwa, by przypadkowo rozpętać siły przerastające jej możliwości kontroli?

Renaud, który szczęśliwie zdał egzaminy na Królewski Uniwersytet Magii i Nauk Przyrodniczych, pisał często, ale jego listy niosły tylko przelotne pocieszenie. Marge, myśląc o swoim chłopcu, chcąc nie chcąc, przypominała sobie tamtą fatalną noc.

Całe lato Marge i Ricky czytali książki z zakresu magii i demonologii, korespondowali też z Persefona i wymieniali się informacjami. W rezultacie powstał KWL. Nie tyle dla pognębienia Lawinii, ile dla ochrony przed jej podstępą manią. We czwórce łatwiej było pilnować wzajemnie siebie i swoich rzeczy. Do rzucania prostych czarów szkodzących wystarczyło cokolwiek: włos, chusteczka do nosa albo wieczne pióro. Małą Boule przygarnęli trochę dla zgrywy, a trochę z litości. Jako outsiderka nie miała dużych szans w starciu ze starszą uczennicą, która ją sobie upatrzyła na łatwą ofiarę. Jo została maskotką KWL, a Marge po namyśle uznała, że chyba właśnie to mądre i zabawnie ironiczne dziecko ostatecznie wyciągnęło z depresji ją i brata.



Zbliżała się data 31 października i w Schweingehólz już czuło się atmosferę nadchodzącego święta. W sklepie z artykułami piśmiennymi sprzedawano więcej kolorowej bibuły i złożonego papieru. Okoliczni rolnicy zwozili na targ dynie. Dzieciarnia molestowała matki, babki i ciotki o stare łąchy oraz pomoc w przemienieniu owych łąchów w stroje na Święto Duchów. Ostatniego dnia października całe tabuny dzieci będą biegać o zmroku z dyniowymi lampionami od drzwi do drzwi, wyprasząc cukierki okrzykami *Trick or treat!*¹⁴, sypiąc mąką w twarze nielubianych dorosłych i śpiewając kuplety pod oknami statecznych mieszczuchów.

Starsi obywatele Schweingehólz jak co roku zamierzali zebrać się na rynku na festynie

¹⁴ *Trick or treat* - dosł. psota lub poczęstunek (ang.); słowa, jakimi dzieci domagają się wykupu podczas Halloween

tanecznym, gdyby zaś padało, impreza miała się odbyć w pobliskiej remizie.

Halloween dla rodzeństwa von Selerbergów było też niejako świętem rodzinnym, gdyż tego dnia ich młodszy braciszek kończył pierwszy rok życia, o czym pani Wincenta nie omieszkła przypomnieć, przesyłając Margericie fotografię najmłodszego dziedzica nazwiska. Winicjusz von Selerberg śmiał się na niej pełną buzią, pokazując cztery nowiutkie zęby. Od sierpnia przybyło mu włosów i ogólnie bardzo przypominał choinkowego aniołka. Marge zwrotnie przesłała gumową niebieską kaczkę w prezencie i pocztówkę z króliczkiem, przedtem zmusiwszy Rinalda do podpisania się pod wspólnymi powinszowaniami.

- Przecież wyjec i tak nie zrozumie tej głupiej kartki, w najlepszym razie ją zje - protestował Ricky.

- Ale mama zrozumie. To nie dla Winka, tylko dla niej. Przynajmniej udawaj, że go lubisz, bo zranisz jej uczucia - wyjaśniła Margerita.

Doprawdy, określenie „wrażliwy jak sztacheta” używane przez Perry pasowało czasem do Rinalda jak ulał.



Halloween w L'Ecole privee obchodzono nieco inaczej niż w samym mieście. Grono pedagogiczne już przed laty uznało, że uczniom nie wypada włóczyć się z koszyczkami i żebrać o łakocie. Koronnym argumentem były wybuchające od czasu do czasu bójki między przebierańcami. W zamian za to corocznie organizowano bal kostiumowy i wielkie łowy na słodycze, poukrywane na całym terenie szkoły w sprytnych schowkach i zakamarkach.

Od połowy miesiąca zaczynała się intensywna działalność na niwie przebierankowej. Uczniowie bogatsi zamawiali stroje w katalogach wysyłkowych - lecz takich było niewiele; inni kompletowali kostiumy po kawałku, kupując elementy na wyprzedazach lub robiąc je samodzielnie. Malcy skrzętnie ścibolili swoje na lekcjach prac ręcznych. Zostawała jeszcze w odwodzie szkolna rupieciarnia, gdzie siódmoklasiści czasem pozostawiali swoje kostiumy, kończąc szkołę, ale nie uznawano takich pożyczek za honorowe i decydowali się na nie tylko desperaci.

Natomiast KWL gros czasu i wysiłku poza lekcjami poświęcał projektowi odmiennej natury, w którym kluczową rolę odgrywały łupy zdobyte na profesorze Kaufmannie.



Popołudniem ostatniego dnia października Rinaldo von Selerberg stanął przed swą szafą, usiłując skombinować jakiś kostium. Z powodu projektu, oznaczonego kryptonimem

„Fasolka po bretońsku”, który zajmował mu masę czasu, w tym roku straszliwie zaniedbał przygotowania do balu. Z zeszłorocznego kostiumu natomiast wyrósł, więc nie mógł go wykorzystać, nawet gdyby odważył się włożyć go ponownie.

Dysponował zdecydowanie ograniczonymi możliwościami - białe koszule, szkolne swetry, sportowe pumpy albo pizamy. Wyjście w pizamie nie wchodziło w grę, zdecydował się zatem na obszerną pelerynę przeciwdeszczową, która miała tę zaletę, że była czarna. Parę dodatkowych szczegółów i uznał, że jest gotów do wyjścia, obciążony koszykiem ze słodyczami.

W drodze do Sali balowej spotkał szkolną pielęgniarkę, panią Rosenkranc.

- Jesteś okropnie blady, Rinaldo! - Jej zawodowy instynkt natychmiast dał o sobie znać, tłumiąc świąteczne podekscytowanie. - Źle się czujesz?

Po takiej ilości kremu przeciw piegom to cud, że nie jestem przezroczysty! - pomyślał Ricky, natomiast w odpowiedzi zawarczał, prezentując długie kły.

- Och, cudownie, kochany! Wampir! Jak oryginalnie! - Pani Rosenkranc wybuchnęła entuzjazmem jak fajerwerk, a Ricky omal nie wypluł zębów w spóźnionym szoku.

Pani Rosenkranc przebrała się za Cukrową Wróżkę - oglądanie jej z elfami skrzydełkami, w powodzi różowych koronek, wymagał silnych nerwów i przyciemnianych okularów. Ricky podążył za szkolną pielęgniarką do Sali tanecznej, odczuwając przewrotną ulgę na myśl, że z pewnością nie czeka go już nic gorszego niż przeterminowana wiekowo wróżka. Istotnie, miał rację, gdyż ani madame Flageolet, przebrana za bakłazana, ani madame Bulhakova w stroju seksownej wilkołaczycy nie zrobiły na nim aż tak wielkiego wrażenia. Wśród rojących się już w Sali młodszych uczniów dominowały stroje duchów i czarownic wszelkiej maści, zielone maski trolli, zombi, nietoperze i wampiry - dzieciarnia jak zwykle preferowała makabrę.

Wśród starszej młodzieży widać było sporą liczbę piratów, hiszpańskich *caballeros*¹⁵ i czarnych kacyków murzyńskich, a także malowniczo rozwiane szafy nimf i kolorowe suknie pseudokrólewien. Wzrosła nieco popularność wilkołaków i niebieskowłosych syren. W zasadzie nic nowego i nic ponad coroczny standard.

Salę pięknie udekorowano sztucznymi pajęczynami w dwóch rodzajach: cienkimi i delikatnymi niczym babie lato lub grubymi, ciężkimi, jakby porośniętymi stuletnim kurzem. Wśród pajęczynowych girland wisiały włochate tarantule z piórek i pluszowe nietoperze. Wyciągnięte z lamusa za gabinetem przyrodniczym połamane szkielety przeżywały krótkotrwałą godzinę chwały, podobnie jak trzy repliki średniowiecznych zbroi turniejowych,

przydzwigane ofiarnie z sali historycznej. Nie mogło też zabraknąć tradycyjnych lampionów dyniowych.

Bakłażan wszedł na krzesło, nie dbając wyjątkowo o godność dyrektorską, i wygłosił mowę:

- Witam na corocznym zjeździe duchów, zjaw, upiórów, dentystów i innych potworów! (Śmiech na Sali). Wampiry uprasza się o niewysysanie ponętnych koleżanek, a piękne panie proszę o nieodkładanie wampirów dyniami. W całej szkole poukrywaliśmy słodycze w rozmaitych zakamarkach (entuzjastyczne AAAAAAA!!!), więc idźcie i napełniajcie swe koszyczki, jedzcie, ile się zmieści, bo kolacji i tak nie będzie!

Madame Flageolot-Bakłażan klasnęła w dłoń.

- *Divertimento!*

Na owo hasło blask świec zgasł, za to dyniowe lampiony zaczęły wydzielać upiorne, fosforyzujące światło. Porozstawiane tu i ówdzie czaszki zakłapały zębami w skocznym rytmie kastanietów, a z patefonu zaczęły dobiegać głośne dźwięki „Nocy na Łysej Górze”. Dzieci rozbiegły się z piskiem po sali, włączając pod stoły i zaglądając za wiekowe portrety w poszukiwaniu łakoci. Jakiś szczęśliwiec wypatrzył za przyłbicą zbroi coś różowego i już po minucie część uczestników zabawy opleciona została długą dżdżownicą, wydzielającą intensywny zapach ananasa. Glizdowaty frykas wydawał się nie mieć końca. Nikt nie odważył się go ugryźć, ale świetnie nadawał się do straszenia dziewczyn. Dwójka pierwszaków usiłowała zawładnąć wielkim cukierkiem, ciągnąc go do siebie za końce, aż eksplodował, zasypując wszystkich w promieniu dwóch metrów srebrnym proszkiem i landrynkami malinowymi.

- *Trick or treat!* Figlowanie lub częstowanie! - zawołał znajomy głos i Ricky zobaczył tuż obok dyrektorkę w fiolecie. - Co tam masz, panie wampirze?

Bakłażan zajął z zainteresowaniem do kosza.

- Cufiełka...? - zaproponował Rinaldo uprzejmie.

Do diabła! Cholerne wampirze zęby!!! Ricky przysiągł w duchu, że nie będzie się odzywał aż do końca balu. Madame poczęstowała się ciagutką. Chłopiec z ukrywanym napięciem odprowadził wzrokiem cukierek znikający w ustach dyrektorki. Smakowała przez chwilę krówkę z miną konesera, po czym na jej twarz wypłynął wyraz zastanowienia, a potem spojrzała ze zdziwieniem na swoje ręce. Wyglądające z fioletowych rękawów dłonie kobiety pokryły się delikatnymi listeczkami, trochę przypominającymi rzeżuchę. Podbiegła do wiszącego nieopodal lustra i przejrzawszy się, wybuchnęła szczerym śmiechem.

¹⁵ *Caballero* - rycerz (eszp.)

Ze zwierciadła patrzył na nią zielony maskaron, gruntownie zarośnięty gąszczem zielonych liści. Kształtny nos madame Flageolet przemienił się w strączek fasoli, a włosy wyglądały zupełnie jak kukurydziane nitki.

- Rewelacja! Zieleń, kolor szkoły. Cha, cha, cha, cha...! Kochany, dawno się tak nie ubawiłam. - Dyrektorka wzięła garść cukierków i poszła na drugi koniec sali, gdzie madame Bulhakova rozmawiała z dorodną mandragorą, w której przy pewnym wysiłku dawało się rozpoznać profesora Kaufmanna. - Arweno! Moja droga, musisz tego skosztować!

Rinaldo rozejrzał się po sali, wypatrując Margerity, Persefony i Janusa. Oni także chodzili między uczestnikami balu z koszyczkami. Marge zdecydowała się na prostą togę z pozszywanych prześcieradeł i wieniec z winorośli. Perry włożyła długi sweter ze srebrnej włóczki, który z powodzeniem mógł udawać kolczugę, przypasała drewniany mieczyk, splotła platynowe włosy w bojowe warkocze drowów i pomalowała twarz w barwy wojenne. Z koszyczkiem ciągutek w dłoni wyglądała nieco surrealistycznie. Janus Moon jako jedyny z czwórki spiskowców zdażył sporządzić sobie bardziej skomplikowany kostium, więc paradował przebrany za kawałek księżycowego sera.

W krótkim czasie rozeszła się wieść o magicznych smakołykach i coraz większa liczba uczniów ośmielała się podejść do nich, by odebrać tradycyjny halloweenowy haracz. Rinaldo przechadzał się po sali balowej i okolicznych korytarzach, czując się jak skrzyżowanie Draculi ze Świętym Mikołajem. Dokoła robiło się coraz bardziej zielono. Rozchichotanym dzieciakom wyrastały zielone grzywy; gładkie twarze porastały listkami lub trawą. Niektórych w całości pokrywało igliwie. Nosy wyciągały się w strączki fasoli, grochu lub bobu.

- Czyżby Selerbergowie bankrutowali? - odezwała się Lawinia, przystając obok Margerity i mierząc krytycznym wzrokiem jej skromne przebranie.

- W tym roku postanowiliśmy kieszonkowe przeznaczyć na wspomnienie ubogich - odparła Marge zimno, patrząc z kolei na elegancką suknię Lawinii ze srebrnej lamy. - Wybacz, Lawinio - usunęła koszyk z zasięgu rąk panny Boyd - na pewno nie będą ci smakować moje plebejskie słodycze. Emmet, cukierka? - Podsunęła z kolei koszyk dalekiemu krewnemu krasnoludzkich książąt.

Przysadzisty Emmet Handrock wziął ciągutkę i podziękował uprzejmie.

- Och, myślę, że Law docenia zupełnie inne rzeczy niż ty. *Mud ohak mud hakata*¹⁶,

¹⁶ *Mud ohak mud hakata* - „Krótki oskard nisko bije”, w znaczeniu „Mały rozum, małe poczucie humoru” (krasn.).

Margerito.

Lawinia nerwowo oblizła usta, nie wiedząc, czy się obrazić, czy wprost przeciwnie.

- Mam coś stosowniejszego. - Emmet wyjął z kieszeni czekoladowe serduszko w złotym papierku i podsunął Lawinii, po czym odholował ją w okolice parkietu, gdzie tańczyło już kilkanaście par.

Kiedy po kwadransie znów przeszedł obok Marge, mrugnął do niej porozumiewawczo i uniósł ukradkiem kciuk.



Profesor Kaufmann może był marudnym obsesjonatem, i oczywiście zauważył też pewne braki w swej szklarni, ale potrafił docenić dobry kawał pracy alchemicznej, dlatego całkiem łaskawie zwrócił się do Rinalda:

- Doskonała robota, Selerberg. Jak udało się wam zrównoważyć wpływ wilczej jagody i kwiatu paproci?

Ricky miałby może i ochotę podyskutować o cukierkowym przedsięwzięciu, lecz pamiętał o wampirzych sztucznych zębach, które fatalnie psuły mu wymowę, więc tylko uśmiechnął się enigmatycznie tudzież drapieźnie. Profesor uznał to za odmowę wyjawienia sekretu i oddalił się w inne rejony.

Zielono-różowa pani Rosenkranc organizowała konkursy dla młodszych uczniów, a zielony profesor Petersen rzetelnie obtańcowywał uczennice, które nie cieszyły się powodzeniem u kolegów. Ostatecznie, biedule, nie powinny tego wieczora podierać ścian.

Na galerii Ricky spotkał wreszcie małą Boule. Jako jedna z nielicznych nie nosiła śladów „cukierkowej magii”. Siedziała na balustradzie schodów jak na koniu, majtała nogami i ssała wielkiego, czerwonego lizaka, obserwując z zadowoleniem otoczenie. Miała na sobie jakieś białe gieselko, u ramion tekturowe skrzydła, a nad głową unoszącą się świetlistą aureolkę - najwidoczniej efekt jakiegoś małego zaklęcia, dodawanego do czasopism. Wyglądałyby jak rasowy aniołek, gdyby nie jej wielkie, złowieszcze buty, ochraniacze do krykieta na gołeniach i napis na przodzie koszulki, głoszący: „Masz jakiś problem?”.

Rinaldo aktualnie nie miał żadnego problemu. Wszystko szło wręcz śpiewająco, nawet głupia Boyd już zdążyła pożreć trefną czekoladkę i na rezultaty nie trzeba było długo czekać: cała porosła gęstą, skołtunioną zieloną sierścią, upodabniając się do goryla w sukience. Najpierw z wrzaskiem miotła się po sali, a w chwili obecnej histeryzowała w damskiej łazience, jak doniosła z satysfakcją Persefona.

- Cool - powiedziała Jo z podziwem na widok kłów kolegi. - Wyglądasz śmiesznie.

Wampir blondyn.

Skierowała wzrok w dół, na hol, gdzie kolorowa gromada ze śmiechem bawiła się bez troski w „budujemy mosty”, nie dbając o swój wiek i reputację.

- Super - dodała. - Perry miała rację, chcę tu zostać na zawsze. Nawet jeśli musiałabym być grzeczna.

- Mhm - mruknął Ricky.

- Długo im tak zostanie? - zapytała Jo, oglądając się na zieloną gromadkę drugoklasistów, bawiących się obok w rzucanie cukierkiem przez kółko.

Gra wydawała się nie mieć zasad, ale była wesoła.

- Y-y - zaprzeczył.

- A długo potrwa? Bo te próbne trwały tylko parę minut - zauważył bystrze niegrzeczny aniołek.

- Mhm - potwierdził Ricky, opierając łokcie na poręczy i patrząc w dół, gdzie właśnie formował się ludzki wąż, wijący się tanecznie i z chóralnym śpiewem wpełzający do bocznego korytarza, by po paru chwilach wyłonić się z innego, po stronie przeciwnej.

Węża prowadziły pierzasty bakłażan i trawiastozielony wilk w wydekoltowanej sukni.

- Suchaj... - Ricky zdecydował się otworzyć usta. - Mufimy tech sjefc fo jednym.

Jo parsknęła stłumionym śmiechem, słysząc jego osobliwą wymowę.

- Po co? Dla niepoznaki?

- Mhm... Zewy fię nie cefiali fotem.

- Dobra. - Jo sięgnęła do koszyczka, gdzie na dnie uchowało się jeszcze kilka ciagutek.

Ricky zrobił to samo.

Po chwili dziewczynka w ataku śmiechu mało nie spadła z balustrady.

- Riiick... żebyś ty siebie mógł zobaaczyyyć...

- A ty fiebie - odparł Ricky.



Następnego dnia przy śniadaniu nastrój był zdecydowanie mniej szampański. Kiedy spóźniony profesor Kaufmann zszedł na śniadanie, uderzyła go nienormalna cisza. Zwykle gwar konwersujących uczniów zmuszał do podnoszenia głosu, tymczasem poziom hałasu zredukował się do smętnawego szumu. Nauczyciel alchemii rozejrzał się, zdziwiony. Jadalnia przypominała wielogatunkową grzędę sałaty. Uczniów, którzy zachowali normalny wygląd, można było policzyć na palcach. Halloweenowa mikstura zadziałała z rozmachem. Moon przypominał do złudzenia skołtunioną, zieloną wycieraczkę. Margerita von Selerberg miała

szansę zostać gwiazdą przedstawienia „Mordercze brokuły atakują Paryż”. Rinaldo nadal wyglądał jak wiązka szparagów zwieńczona kępą trawy. O wyglądzie Lawinii Boyd trudno było cokolwiek powiedzieć, bo miała na głowie czapkę narciarską, w której znajdowały się tylko otwory na oczy i usta.

- Witaj, Erich. To przestało być zabawne - tymi słowy przywitała alchemika madame Flageolet. Piła herbatę przez słomkę, gdyż długi nos uniemożliwiał jej normalne korzystanie z filiżanki. - Jest na to jakieś antidotum?

- Któż to wie... - odparł Kaufmann, biorąc bułeczkę. - Powinienem porozmawiać z autorami i dowiedzieć się dokładnie, czego użyli.

- Dlaczego to tak długo trwa!?

- Zapewne pomylili dawkę. Tak to jest, kiedy do alchemii biorą się amatorzy.

- To straszne! - chlipnęła pani Rosenkranc. Jej aparycja nieodparcie kojarzyła się z bukietem rozczochranego jarmuzu.

- Nie płacz, Wilhelmino. Zawsze do twarzy było ci w zielonym - pocieszyła ją Arwena Bulhakova.

- Niemniej to się musi skończyć - podsumowała madame Flageolet, z irytacją zezując na swój fasolowy nos.



Trójka zielonych winowajców przyjęła reprimendę z filozoficznym spokojem.

- Oczywiście, że nie przewidywaliśmy stałej przemiany - powiedział grzecznie Moon, przeczesując trawiastą czuprynę palcami.

- Niektórzy powinni wrócić do normalnego wyglądu jeszcze dziś - dodała Persefona.

- Po pierwszej wizycie w świątyni dumania - uzupełnił Rinaldo zniżonym głosem.

- Po czym?! - Dyrektorka oczami wyobraźni ujrzała jakiś dziwaczny i krwawy rytuał, który mieliby wszyscy wypełnić w celu odzielenienia.

- Pan Selerberg ma chyba na myśli toaletę - odgadła madame Stirlitz, która wykladała w szkole nauki przyrodnicze i muzykę. - W znaczeniu, iż substancja powinna opuścić system trawienny?

- Właśnie. - Ricky rzucił jej spojrzenie pełne wdzięczności.

- Czyli trzeba po prostu czekać?



Rzeczywiście, do wieczora, z nielicznymi wyjątkami, jedyną zielenią w szkole pozostał

kolor mundurków i roślin doniczkowych. Następnego dnia „wyjątek” był już tylko jeden.

Sprawa zaczęła się zaogniać, gdy po upływie tygodnia wciąż zielona i kudłata Lawinia Boyd nie opuszczała infirmerii. Mimo wysiłków profesora Kaufmanna jej stan nie ulegał poprawie.

Wezwana znów „na dywanik” czwórka szóstoklasistów jak jeden mąż zaprzeczała, że częstowali Lawinie czymkolwiek na balu.

- Nie lubię jej, nie proponowałam jej cukierków. Emmet Handrock jest świadkiem - mówiła Margerita.

- Dlaczego miałbym dawać cukierki Lawinii? Pokłóciliśmy się i nawet gdybym ją częstował, niczego by ode mnie nie wzięła - twierdził Rinaldo.

- Kto wie, co ona zjadła lub wypła. Może to efekt jakiegoś jej własnego eksperymentu. Lubi zabawy czarną magią, więc się doigrała - dowodziła Persefona.

Madame Flageolet czuła przez skórę, że nie mówią całej prawdy, ale przepytывanie innych uczniów dowiodło tylko jednego: Wielka Czwórka podczas balu omijała Lawinie tak starannie, jakby była chora na dżumę albo co najmniej elfią świnkę. Winnego należało szukać gdzie indziej. Być może w polu, razem z wiatrem.

W końcu po Lawinie przyjechał pomstujący na czym świat stoi ojciec i zabrał swoją latorośl ze Schweingeholz, zapowiadając, że noga jego córki nie przestąpi już progu L'Ecole privee de la metode experimentale. A on, Maksymilian „Pani-nie-wie-kto-ja-jestem” Boyd, jeszcze się policzy z tutejszą bandą idiotów.

- Daj ci Boże zdrowie i rozum - mruknęła madame Flageolet, patrząc przez okno gabinetu, jak wściekły ojciec zmierza do bramy szkolnej. Za nim dreptała Lawinia, w płaszczu z podniesionym kołnierzem, zakutana w szalik i z kapeluszem wciśniętym głęboko na oczy.

Uczniowie bywali różni, mądrzejsi, głupszy, bogatsi i biedniejsi, a dyrektorka starała się ich traktować wyrozumiale i sprawiedliwie, lecz akurat tego zestawu cech, jaki prezentowała Lawinia Boyd - czyli mieszaniny próżności, głupoty i małpiej złośliwości - serdecznie nie znosiła.



Margerita pisała list do domu.

Kochani Mamo i Tato!

Mam nadzieję, że list zastanie Was w dobrym zdrowiu. Czasami tęsknię do domu, ale tylko czasami, gdyż mamy tu wiele nauki. Dostaję dobre noty ze wszystkich przedmiotów, a profesor Kaufmann bardzo mnie chwali na alchemii i demonologii. Riccio również poprawił swoje

oceny, co niewątpliwie Was ucieszy. Droga Mamo, poznałam tu dziewczynkę jedenastoletnią. Z pewnych smutnych powodów jej obecny adres to sierociniec w Nebelhornie, na Gwiazdkę więc będzie miała do wyboru zostać sama w szkole lub pojechać do tego okropnego miejsca, gdzie placek ze śliwkami jest szczytem luksusu, a przełożona zamyka dzieciaki za karę w piwnicy z myszami. Jo mówi, że myszy są miłe, ale przecież nie powinna spędzać świąt z nimi, tylko z ludźmi. Kochani rodzice, czy mogłabym w tym roku zamiast dużego prezentu pod choinkę dostać mniejszy i zaprosić to dziecko do nas na święta?

Kochająca Was Marge



Dziewczyna nie mogła przypuszczać, że dziwnym trafem w tym samym czasie jej ojciec pisze list do niej i Rinalda, mając zamiar wysłać go szybkim kurierem. Co chwila przerywał, starając się opanować drżenie rąk.

Kochane dzieci!

Do wczoraj mieliśmy jeszcze nadzieję, że to tylko chwilowe nieszczęście, ale nic nie zapowiada zmian na lepsze. Wasza Matka zachorowała ze zmartwienia i chce mieć Was przy sobie, więc nie zwlekając, wracajcie do domu. Kilka dni temu, dokładnie 1 listopada, Wasz brat Winicjusz zniknął ze swojego pokoju. Policja na razie nie wpadła na trop porywaczy. Listu z żądaniem okupu także nie otrzymałem, choć z chęcią zapłaciłbym nawet wygórowaną kwotę, Bóg mi świadkiem. Przyjeżdżajcie do domu, musimy być razem, kiedy na rodzinę spadło takie nieszczęście.

Wasz kochający ojciec, Rufus von

Landgraf westchnął, potarł zmęczone oczy i przekreślił ostatnie trzy wyrazy, zamiast nich dopisując:

Tata

KLĄTWY I PODKŁADANIE RÓŻNOŚCI

Zakład usługowy

TANI DRAŃ

Masz wroga? Nie lubisz sąsiada? „Tani Drań” zawsze do usług.

Rozsypywanie soli pod drzwiami	3 zł
	(sól klienta - 2 zł)
Otwieranie parasola w domu	10 zł
+ amortyzacja zużycia parasola	(50 gr)
Podrzucanie czarnego kota	15 zł
Podrzucanie czarnego kota w worku	15 zł
+ koszt worka	(3 zł)
Związywanie sznurowadeł	10 zł
Podkładanie drabiny przed drzwi	20 zł
+ transport	(5 zł)
Klątwa zwykła całodobowa	50 zł
Klątwa specjalna tygodniowa	70 zł
Dwie klątwy	50 zł
	+ jedna mysz w kawie gratis

Mysz w kawie	5 zł
+ koszt myszy zależnie od wielkości	
Tłuczenie lustra zwykłe	3 zł
+ amortyzacja zużycia procy	(50 gr)
Przesuwanie łóżka z prawej strony na lewą:	
a) z budzeniem	10 zł + koszt lekarza
b) bez budzenia	30 zł
Duszenie pończoszką zwykłą	10 zł
Duszenie pończoszką lycrową	15 zł
Żaba* w wannie, wyjmowalna zwykła	5 zł
+ koszt żaby zależnie od gatunku	
Żaba* w wannie, niewyjmowalna	70 zł
Żaba* stepująca w wannie, niewyjmowalna	100 zł
(gwarancja pięciodniowa aż do wyczerpania zakłęcia, żabę można ponownie podładować)	
Uwiedzenie córki w poście	cena do negocjacji w zależności od urody córki

Usługi specjalne:

Kocia muzyka pod oknem	30 zł za godzinę
Kocia muzyka pod oknem z blokadą antywyciszeniową	35 zł za godzinę

Wystawiamy faktury VAT.

* Uwaga, nie prowadzimy rzekotki drzewnej, gdyż jest pod ochroną.

Część II

Przyczajony
ryceiz,
ukryty smok



Smok

Słyszysz się rozmaite bajędy, że niby siódmy syn w rodzinie przeznaczony jest do rzeczy wielkich i niezwykłych. A to sobie jaką poczwarę ubije, a to zbójców rozgromi, czarnoksiężnika okpi, albo przeciwnie - na jego wdzięczność dozgonną zasłuży. A już rozmaici królowie, książęta i lordowie na wypródki wpychają takiemu bohaterowi ręce swoich córek, oczywiście tych najmłodszych i najpiękniejszych. Nigdy żaden z owych synów siódmką szczęśliwą naznaczonych nie musiał nadstawiać głowy za garść srebra; deliberować, czym zapłacić za obrok dla swego cudownego rumaka; nie odkrywał dziur w podeszwach butów ani nie opuszczał świtkiem gospody przez okienko, zostawiając za sobą deskę kredą poznaczoną na podobieństwo drabiny do nieba. Tak jednak w życiu bywa, że i siódmym synom owe nieszczęścia się przydarzają, jak całkiem zwykłym śmiertelnikom. Wiem o tym dobrze, bo przede mną mateczka na świat wydała sześciu chłopaków. Ja jestem ten siódmy... i do tego idiota.

Bo też idiotą poszkodowanym na rozumie trzeba być, aby się założyć, że zabije się w pojedynkę smoka.

No pewno, że byłem pijany! Na trzeźwo nigdy coś takiego w głowie by mi nie powstało. Tego rodzaju interesy należy zostawiać smokobójcom albo magom, a zwyczajny najemnik powinien znać swe miejsce we świecie. Przez całe dziewiętnaście lat żywota sprawowałem się przykładowo (w miarę możliwości). Rozsądny byłem, psiakrew! Obyczajny! Bystry ponoć! Tak mi się zdawało do chwili, kiedy w gospodzie Pod Wesołym Zajęcem wytrzeźwiałem na tyle, by sprawdzać po kieszeniach, ile zostało mi osobistego majątku. Okazało się wtedy, że mój stan posiadania powiększył się o dokument, w którym czarno na białym napisano, że niejaki Berilan Stabort - to byłem ja - własnym słowem honoru ręczy, iż smoka pustoszącego okolice uśmierci albo sam zginie (rzecz bardziej prawdopodobna). Jeżeli natomiast dane słowo złamie i w terminie dni czterdziestu martwego łba smoczego panu... tu był nagryzmołony jakiś gzygzoł, po czym ciągnęło się „z Raveln” ...nie dostarczy, to wyrówna dług sumą... Zawyłem jak upiór, bo takich pieniędzy nie uskładałbym nawet przez rok, a co dopiero w dni czterdzieści. Oczom własnym nie wierzyłem, ale podpis pod dokumentem był bez wątpienia mój. Szynek potwierdził, że istotnie założyłem się z panem na Raveln i faktycznie o smoka szła sprawa, ale wyglądałem na trzeźwego, nie mieszał się więc i tylko potem pilnował, żeby mi kto kieszeni nie wywrócił. O mało nie zacząłem walić głową w stół. Szkoda, że poczciwy oberżysta nie znał mnie lepiej. Kiedy wyglądałem przy kuflu na zupełnie świeżego, to znaczy, że przeszedłem już wszystkie najgorsze stadia pijaństwa i brakuje mi ledwie pół kwaterki do całkowitego zamarynowania. Gdybym wtedy zszedł ze świata, to w moim grobie robale nie trzeźwiałyby przez dobre dwa miesiące.

Nie od rzeczy byłoby uciec. Porzucić własne imię, rodzinę i dawne życie. Zakopać się gdzieś w puszczy, nie dawać znaku życia. Ale wtedy poszedłbym o nowy zakład, że jasnie pan Gryzmoł z Raveln zjawiłby się na progu zameczku mego ojca z kopią tego parszywego papieru i zażądałby spłaty długu od niego. Nie wiem, doprawdy, co mógłby nam zabrać. Stabort obfituje jedynie w szcurze dziury. Gdybym przyznał się do popełnionej głupoty braciom, obdarliby mnie pewno ze skóry i zrobili z niej bęben. Najwyraźniej rzeczywiście miałem tylko jedno wyjście - zginąć głupio, ale za to z honorem.



Powody mojej ucieczki z domu były trzy: moja głupia siostra Uwrah, moja druga jeszcze głupsza i bardziej nieznośna siostra Parnaget oraz moja ograniczona, beznadziejnie materialistyczna matka. Jakim cudem dziadek - uroczy staruszek ze skłonnością do filozofowania i wyższej matematyki - spłodził mą tępą mamusię, chyba na zawsze pozostanie tajemnicą genetyczną. Na szczęście coś z dziadka cichcem przeszło na mnie. Mówię to bez fałszywej skromności. Absolutnie nie zadowalały mnie plany rodzicielki, polegające na tym, żeby jak najszybciej znaleźć kogoś, kto nie zraziłby się moimi dziwactwami... (już to widzę!), ożenił się ze mną... (uchacha!) ...i żeby jak najszybciej miała dziecko (ratunku!), bo wtedy może wywietrzą mi z głowy głupstwa. Owe głupstwa, między innymi, przejawiały się w tym, że nie lizałam się bez przerwy jak Uwrah, która od tej elegancji wciąż miała kołtuny w żołądku, i nie wdzięczyłam się do każdego samca na wyspie jak Parnaget - piskliwa rodzinna poetka, kłęcząca rymy typu „góry - chmury”. Za to lazałam po ruinach, gdzie odgrzebywałam resztki pozostałe po dawnych mieszkańcach; próbowałam policzyć wszystkie gwiazdy, zastanawiałam się, dlaczego księżyc się wyszczerbia; a przede wszystkim... przede wszystkim nauczyłam się pływać, co doprowadzało matkę do szału. „Żaden normalny smok NIE wchodzi do WODY!!!” No dobra, byłam nienormalna.

Nic dziwnego, że pewnego pięknego dnia rzekłam „żegnajcie” rodzinnym brzegom i wyruszyłam w stronę kontynentu, na spotkanie przygody. Nie chciałam siedzieć w jednym miejscu przez całe życie, więc fruwałam to tu, to tam. Podglądałam ludzi, którzy byli zdecydowanie bardziej interesujący od moich dotychczasowych sąsiadów. Dwunogi mają tyle zajęć i tak się ciągle śpieszą, że obłędu można dostać. Ile nowych rzeczy zobaczyłam! A ile usłyszałam! Czasem zamieniałam się w jakieś drobne zwierzę, żeby podejść jak najbliżej, nie zwracając niczyjej uwagi. Obserwowałam, co ludzie robią, i uczyłam się ich języka. Z jedzeniem nie było najmniejszych problemów, gdyż biegało sobie całymi stadami - wypasione, smakowite

- tylko wybierać. Z jakichś powodów dwunożnym nie podobało się, że żywię się na ich terytoriach (a przecież jadłam naprawdę mało!), i dawali to delikatnie do zrozumienia. Rzucali we mnie patykami. Najczęściej zaostrzonymi i jak któryś trafiał, to było trochę nieprzyjemnie. Wolalam nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu, gdyż dwunożni robili się przez to bardzo nerwowi. Nie podobało im się, że jestem od nich większa. Zwiedzałam ludzkie terytoria, robiąc przedziwne pętle i zygzaki. Leciłam tam, gdzie akurat wiatr mnie zaniósł, ale z grubsza trzymałam jeden kierunek - na północ. Po jakimś czasie dotarłam do gór. Nigdy przedtem nie widziałam gór, ale w każdym razie wyglądały jak z definicji - wielkie, szarozielone „cosie”, masywne, nieco postrzępione z wierzchu i przysypane czymś białym. Białe było nieprzyjemnie zimne. Dwunożni z gór okazali się jeszcze bardziej nietowarzyscy od tych nizinnych, więc bez żalu poleciałam dalej. I słusznie, bo niedługo potem znalazłam zakątek bardzo mi odpowiadający, gdzie postanowiłam zostać na dłużej i odpocząć po włóczędztwie. Znajdowały się na moim nowym terytorium całkiem przyjemne lasy, pełne zwierzyny. Pagórki porośnięte trawą, idealne do drzemek na słońcu. Było nawet jezioro, gdzie mogłam pływać, nurkować i łapać ryby.

Ludzie też tam byli, ale niewielu, dlatego nie spodziewałam się żadnych konfliktów. Niestety, ledwie się zaczęłam mościć w nowym miejscu, całą gromada przyszli ci z patykami i powtórzyła się stara historia. Ale tym razem nie miałam zamiaru rezygnować z tak znakomitego terenu. Jak wyglądali? No, cóż... ludzie jak ludzie. Trudno odróżnić jednego od drugiego, wiecie, co mam na myśli. Byli jakby ogólnie nieco jaśniejsi od tych na południu i trochę inaczej pachnieli. Za to patyki były zupełnie takie same jak wszędzie.

Udawałam, że śpię, podczas gdy oni „podkradali się”, tupiąc przy tym jak stado krów. Kiedy byli już całkiem blisko, jak się nie zerwę! Jak nie zaryczę na całe gardło! Kulalam się potem ze śmiechu po całym pagórku, bo wszyscy ci bohaterowie uciekali tak szybko, że własne cienie za nimi nie nadążały. Pogubili swoje kijki z pośpiechu. Dwa razy próbowali takich podchodów, a ja świetnie się bawiłam.

Następni zaczęli pojawiać się pojedynczo albo w małych grupkach. Wyraźnie innego gatunku, bo i pachnieli inaczej, i byli bardziej błyszczący. Całkiem jak żuki gnojne, siedzące okrakiem na końskim grzbiecie. Z tymi rozrywka była jeszcze lepsza, bo nie uciekali od razu i zabawa trwała dłużej; a jak się udało którego złapać, to bardzo przyjemnie grzechotał przy potrząsaniu. Jednego chciałam sobie zachować na później. Posadziłam go na czubku drzewa, ale czmychnął, łobuz. Następnego dnia znalazłam tylko pancerz. Przepoczwarzył się jak motyl czy co... ?

Niestety, któryś z potrząsanych się wywinął i dźgnął mnie jakimś kolcem prosto w oko! Uaaa... nawet nie przypuszczacie, jak to może boleć! Sama już nie wiem - z zaskoczenia czy ze złości - zacisnęłam mocniej zęby i on przestał się ruszać. Głupio się potem czułam. Po tym

nie chcący zagryzionym atrakcje się skończyły. Nikt już mnie nie odwiedzał. Znużona - zaczęłam rozmyślać, czy znów się gdzieś nie przeprowadzić, ale wtedy pokazał się ON.



Nie przyszło mi do głowy nic lepszego, jak obstalowanie u kołodzieja czegoś w rodzaju kopii i właśnie z tym kawałkiem drewna ruszyłem na swój ostatni w życiu bój. Bestia była wielka jak kamienica (tak mi się w każdym razie zdawało), miała paskudny pysk pełen zębisk jak noże i krwawoczerwone ślepia.

Boże, no... tego... wiesz, o co chodzi - jakoś w tamtej chwili nie umiałem ułożyć lepszej modlitwy.

Mój wierzchowiec nie był ćwiczony do walki ze smokami, dlatego już wcześniej zasłoniłem mu ślepia, żeby nie poniósł na widok potwora. Miał do mnie zaufanie (choć ja sam już sobie nie ufałem) i dawał sobą powodować, nawet nic nie widząc. Ruszyliśmy galopem wprost na to smoczysko. Byłem absolutnie pewien, że są to moje ostatnie minuty na pięknym świecie. Kasztan rwał z kopyta, zniżyłem kopię... a wtedy smok zrobił krok w bok. Jak matkę swoją kocham, ten bydlak się odsunął! Koń, sumiennie łomocąc kopytami, przewalił się tuż pod jego skrzydłem i z rozpędu poleciał jeszcze łaciny kawałek, zanim go zatrzymałem. Smok wykręcił do tyłu łeb na długiej szyi, patrzył za nami i wydawało się, że jest zdziwiony. Miałem kiedyś psa, który robił identyczną minę, kiedy mucha mu z pyska uciekała.

Jeszcze trzykrotnie próbowałem manewru z kopią i za każdym razem ten cholerny smok robił to samo - usuwał się. Przy czwartej próbie przeskoczył mi nad głową! Zanim zdążyłem się obejrzeć, capnął mnie, wyrwał z siodła i zaczął potrząsać, jak pies starą ścierką. Dzwoniłem niby skład złomu. Klekotały mi wszystkie sprzączki, kolczuga, zęby... Miałem uczucie, że za chwilę rozsypię się na tysiąc pojedynczych blaszek. Trwało to chyba całe godziny. Wreszcie wypluł mnie na trawę, poszturchał trochę łapą, poniuchał, sapiąc głośno jak miech w kuźni. Wymiętoszony, zaśliniony - ledwo dech mogłem złapać. We łbie mi się kotłowało. Nim do reszty oprzytomniałem, ze smoka widać było już tylko koniec ogona, kryjący się w krzakach. Zdezorientowany Kasztan nieopodal rzucał łbem, parskał i drobił niespokojnie nogami. Jemu też nic się nie stało. Czy smok zdążył się przedtem nazreć, czy może mu śmierdzieliśmy, czy też co innego mu się увидziało - w każdym razie przeżyliśmy. To był prawdziwy cud.

Jak już mówiłem, jestem żalonym cymbałem. Ktoś z odrobiną rozumu natychmiast by stamtąd uciekł, a potem dwa dni co najmniej leżał plackiem w najbliższej świątyni, dziękując

bogom za ocalenie. Ale przecież nie ja. Ja - smętny idiota - zostałem.

Zająłem opuszczony szałas pasterski, klusowałem w książęcym lesie i czekałem na kolejny cud.

Smok był po prostu bezczelny. Przylatywał na sąsiedni pagórek, rozsiadał się i gapił na mnie. A ja tak samo tkwiłem przed kolibą, gapiąc się ponuro na niego i mamrocąc pod nosem przekleństwa. Okazał się mniejszy, niż mi się wydawało w pierwszej chwili. Właściwie najbardziej przypominał wielgachnego, skrzydlatego psa. Gdyby wziąć charta, skrócić mu trochę łapy, a za to wyciągnąć szyję, to akurat wyglądałby jak ten zwierz. W dodatku smoczysko całe było porośnięte szarym futrem. Zabawne, myślałem, że smoki mają łuski i bardziej przypominają jaszczurki, a tu proszę - jakiś cholerny szczekun siedzi na sąsiedniej górze i wytrzeszcza na mnie czerwone oczęta. Gdyby nie ten nieszczęsny dług, ciężący mi niby kamień u szyi, pewnie uznałbym to nawet za śmieszne.

Pastuch, który zamieszkiwał przede mną szałas, musiał uciekać w ogromnym pośpiechu, bo zostało po nim mnóstwo rozmaitych gratów. Wśród nich garnczki z jakimiś mazidłami - pewnie do smarowania bydła. Cuchnęło toto pod niebiosa, ale nie wywalilem ich, bo smród odpędzał muchy i komary. A to podsunęło mi pewien pomysł...



Znalazłam na łące owcę. Od pierwszego spojrzenia wydała mi się podejrzana. Wyglądała na zdechłą, i to od dawna. Nikt mi nie wmówi, że owce po śmierci samotnie wędrują po łąkach. Śmierdziała trującymi zielskami, a po dokładniejszych oględzinach dojrzałam, że zamiast nóg ma cztery drewniane kołki. Prosty wniosek - miałam się na nią połakomić, a potem zapewne dostać rozstroju żołądka. Nietrudno też odgadnąć, kto był wytwórcą tej owczej imitacji. Jak zwykle kręcił się koło swego legowiska, a jego myśli wiały taką depresją, że nabierało się chęci do samobójstwa od samego kontaktu. Aż się żał robiło! Niemniej poczynił sobie mało inteligentnie. Czy on myślał, że ja to zjem? Czy ja wyglądam na idiotkę?!

Wszystko wskazuje na to, że dwunożny zawziął się i koniecznie chce mnie uśmiercić. Widzi kogoś po raz pierwszy w życiu i od razu zabiera się do zabijania. Ciekawy typ psychiki.



Nie zeżarł tej wypchanej owcy. Taki głupi to nie jest. Nie miałem zresztą nadziei, że się otruje, ale może by mu chociaż trochę zaszkodziło? Wyglądałem przez szparę w poszyciu szałasu, przypatrując się z daleka, jak smok medytuje nad podrzuconym smakołykiem. Kiwał nad nim łepetyną i kiwał... w końcu złapał trutkę w pysk i uniósł się w powietrze. Już się

ucieszyłem, że pożre ją gdzieś na osobności, kiedy coś nagle potwornie łomotnęło w dach, aż się posypało igliwie i kawałki kory. Wyjrzałem ostrożnie...

Jakieś dwadzieścia kroków dalej stał smok. Na mój widok kichnął wzgardliwie, zadreptał w miejscu i pogrzebał tylnymi łapami. Tak strasznie przypominał w tym momencie zwykłego kundla, że nie wytrzymałem i wrzasnąłem do niego:

- Do budy, Burek! Wynocha stąd! Niedobry pies!

Chyba się nieco zdziwił. Ale i tak nie czułem się ani trochę odegrany. Wypchana owca leżała na dachu szałas. Musiał ją zrzucić w locie. Niezłe miał oko. Bydlę się ze mnie naigrawało! A jakby tak naszpikować go strzałami?



W sumie byłam bardzo zadowolona, że On tu zamieszkał. Nie wydawał się zbyt rozgarnięty, ale przynajmniej czułam się mniej samotna. Siedzenie go stało się doskonałym sposobem na zabicie nudy. Rozumiecie, w momencie kiedy zdecydowałam się objąć terytorium, nastąpił w moim życiu okres stagnacji. Innymi słowy - nudziłam się. I jak tu nie wierzyć, że siedzenie w jednym miejscu szkodzi? Teraz miałam przynajmniej jakieś zajęcie. Natychmiast po przebudzeniu czesałam się (przyznam, że jednak jestem troszeczkę, odrobineczkę próżna); jeśli byłam głodna, to łapałam sobie jakieś skromne śniadanko, a potem zaczynałam obserwację ludzkiego samca. Jego nerwowość wzrastała odwrotnie proporcjonalnie do odległości nas dzielącej, więc starałam się trzymać na pewien dystans. Jeżeli zbliżałam się za bardzo, natychmiast łapał za to, co ludzie nazywają kuszą. Parę razy udało mu się mnie trafić i zanim zregenerowałam zranienia, dość mocno bolało. Może bym go i zjadła, gdyby nie był taki zajmujący. Odkryłam nawet niejaki podobieństwo między nami. On na przykład też umie pływać.

Pewnego ranka znalazłam ich nad jeziorem. Brązowy koń obgryzał krzaki na brzegu. Podchodziłam pod wiatr, żeby nie miał szans mnie wywęszyć, zresztą ja bardzo słabo pachnę. Człowiek siedział na pniu drzewa zwalonego w wodę, a w łapach trzymał kij. Z kija zwieszał się sznurek. Szalenie byłam ciekawa, co on kombinuje z tym patykiem i sznurkiem. Już prawie pysk otwierałam, żeby spytać (tak od niechcienia, na początek rozmowy): „Co robisz?“, kiedy on tym kijem machnął tak jakoś do góry, a na końcu sznurka trzepotała się ryba! O w mordę! Prawdziwa ryba! Skąd on ją wziął? To znaczy wiadomo - z jeziora. Ale czemu ją do sznurka uwiązywał, zamiast od razu zjeść? Tymczasem odczepił rybę, ogłuszył o pień i zatknął za skrzela na sterczącej gałązce, żeby mu nie uciekła. Wykonawszy te wszystkie machinacje, podłubał przy sznurku i znów chlup go do wody. Przycupnęłam sobie w krzakach, łapy owinęłam ogonem dla wygody, szyję wyciągnęłam i patrzyłam, co będzie dalej. Nie minęło wiele czasu, a ten znów

mach patykiem i znowu ryba na końcu! Trudno uwierzyć, ale on w ten sposób polował. Bez zbędnego wysiłku i wydatkowania energii. Jaki pomysłowy, pyszczunio! Poczulałam się taka dumna, jakby koncepcja kija i sznurka była moja własna.

Kiedy On wyciągnął trzecią rybę, podeszłam do niego cichutko od tyłu i pieśczośliwie potarłam go nosem. Roześmiał się w ten dziwaczny, ludzki sposób.

- Kasztan, nie wygłupiaj się! - powiedział.

Kiedy się obejrzał, oczywiście nie zobaczył konia, tylko mnie. Wrzasnął tak, że sama się przestraszyłam, a do tego walnął mnie tą rybą w oko. Zleciał z pnia do wody i dał nura. Nie wytrzymał zbyt długo pod powierzchnią. Wynurzył się między wpeł zatopionymi gałęziami. Wystawił nad wodę oczy i nos, i doskonale wyczuwałam, co o mnie myśli. Nie było to nic przyjemnego. Co za gbur! Zrezygnowałam z nawiązania znajomości. Nie z osobą, która używa takiego słownictwa i na dodatek rzuca w gościa rybami. Poza tym uświadomiłam sobie, jak wyglądam, niestety. Chwilę przedtem kapalałam się, byłam więc kompletnie przemoczona. Trudno wywrzeć na kims dobre wrażenie, kiedy się przypomina kłąb splątanych wodorostów na czterech łapach. W jednym moja mama miała rację: mokry smok to widok naprawdę fatalny. Nawet mokry kot ma prezencję daleko lepszą od mokrego smoka. Poszłam więc sobie, zawstydzona i zakłopotana. Zanosilo się, że nie będę tu miała zbyt ożywionego życia towarzyskiego.

Nie sposób było podejść do tego człowieka, by od razu nie zaczynał robić głupstw ze strachu. Należało zatem wyeliminować przyczynę strachu. Przyczyną strachu był smok. Zrobił się z tego bardzo dziwaczny węzeł logiczny, bo wyszło na to, że muszę zlikwidować siebie. Istniało tylko jedno rozwiązanie. Postanowiłam transformować się w coś, czego człowiek się nie bał. Rozważałam formę jakiegoś niegroźnego zwierzaka, ale w samą porę wyobraźnia podsunęła mi scenę, jak ten nieszczęśnik reaguje na gadającego szopa. Jak na złość jednak nie miałam ani jednego ludzkiego wzorca. Pozostawało odnaleźć innego dwunoga. Nie było to wcale łatwe, gdyż wszyscy omijali mój teren szerokim łukiem. Dopiero po dwóch dniach intensywnych poszukiwań natrafiłam na coś odpowiedniego. Samica na oko była młoda, nie miała widocznych okaleczeń i jak na ludzkie standardy mogła być atrakcyjna. (Dla mnie była po prostu mało obrzydliwa, ale to nieważny szczegół). Na mój widok zaczęła się trząść, a potem zemdlala. Nie zamierzałam jej uszkodzić. Potrzebowałam jedynie trochę włosów, by rozpracować wzór genetyczny. Chodzenie na dwóch łapach jest sztuką niełatwą, lecz możliwą do opanowania. Natomiast zdobycie ubrania jest łatwiejsze niż włożenie go na siebie. Zanim dopasowałam wszystkie te szmaty, ze złości miałam ochotę gryźć ziemię. W końcu jednak przebrnęłam przez wszystkie trudności i byłam gotowa.



Upał trwał, jakby zionął z wrót piekła. Nie dało się stanąć bosy na piasku, a na kamieniach można by smażyć słoninę. Najgorętsze lato w moim życiu. Zaszylem się w krzakach nad wodą i drzemałem, umęczony do ostateczności potwornym skwarem.

Ocknąłem się, czując, że ktoś na mnie patrzy. Trzy kroki ode mnie przycupnęła dziewczyna. Ręce i nogi podwinęła pod siebie, zgarbiona jak borsuk. Wlepiała we mnie oczy wielgachne jak młyńskie koła (a były tak wściekle niebieskie, że aż zdawały się nieprawdziwe), rybio nieruchome. Ciarki biegały po skórze od tego spojrzenia. Przez chwilę miałem uczucie, że śnię. Aż oczy przetarłem. Dziewucha nie zniknęła. Gapiłem się na nią, nie bardzo wiedząc, co robić. Skąd ona się tu wzięła? Zanim zdążyłem się odezwać, przemówiła pierwsza:

- Jak się nazywasz?

Ot, tak, całkiem po prostu, jakbyśmy oboje siedzieli sobie w karczmie przy stole, a nie na progu smoczego legowiska.

- Eril - bąknąłem.

Nie powiedziałem „Berilan”. Nie znoszę tego imienia, bo zawsze kojarzyło mi się z baranem. Może i słusznie.

- Co tu robisz? Czego chcesz?

Złość mnie wzięła, bo jakże: zjawia się niespodzianie, jakby z nieba spadła, o sobie to słowa nie powie, tylko od razu śledztwo wszczyna, jak jaki celnik na rogatkach.

- A co tobie, pannico, do tego?!

- A mnie wszystko do tego! - odpaliła natychmiast. - Siedzisz na mojej ziemi.

Obejrzałem ją sobie jeszcze raz. Na córkę tutejszego lorda nie wyglądała, sądząc choćby z tych łańców, które miała na sobie, ale na wieśniaczkę też nie. Wsiowe dziewczki nie pyskują rycerzom. Wiejskie dziewczuchy są krzepkie jak rzepy i rumiane jak jabłka. Nie wspominając o tym, że ich oczy nie odbijają światła na podobieństwo srebrnych blaszek. Całym sobą czułem, że z tą dziewczyną jest coś nie tak. Była blada jak duch, zupełnie jakby nigdy nie wychodziła na słońce. Wyglądała... trudno znaleźć dobre słowa... Rozumiecie, nawet dziecko może mieć jakąś skazę - pieprzyk, szramę po skaleczeniu, poobdzierane skórki przy paznokciach. A ta wyglądała jak przed chwilą wyciągnięta z pudełka. Gadałem właśnie z jakąś cholerną rusalką. Na razie nie zbliżała się za bardzo, może dlatego, że miałem przy sobie żelazo, ale co dalej?

- Przyszedłeś zabić smoka - powiedziała surowo.

- Nie da się ukryć - przyznałem, po kryjomu macając rękę w sztyletu.

Oho, panienka całkiem sporo już wie. Pewnie podglądała mnie od dłuższego czasu.

- Marnujesz tylko czas.

- To mój czas i moje sprawy - odparłem. - A tobie ten smok nie zawadza?

- Nie.

No pewnie, dlaczego miałby? Ludzie się wynieśli z powodu tego potwora, więc cały „mroczny ludek” wyroił się, niby robale spod kamienia. Nie zdziwię się, jak mnie jutro nawiedzi karzełek w spiczastej czapie albo żabionogi topich.

- Potrzebuję smoczego łba i bez niego się stąd nie ruszę - oświadczyłem stanowczo. - A jak ktoś spróbuje mi przeszkodzić, to go pierwszego nadzieję na kołek! Możesz to powiedzieć innym. Upoluję tę bestię i jest mi bez różnicy, czy to się komuś podoba, czy nie!

Popatrzyła na mnie tak, jakbym właśnie oznajmił, że zamierzam sobie dla rozrywki uciąć głowę. Po prawdzie różnica była chyba niewielka.

- A jakiej to genialnej metody użyjesz? Bo zaostrzony patyk i owca faszrowana trującymi grzybami jakoś nie zadziałały - zadrwiła, po czym zawinęła się i poszła.

W samą porę, bo już bardzo nieswojo się czułem. Cały czas mi się zdawało, że dokoła czają się jakieś stwory.

Na wszelki wypadek przed zachodem słońca wokół szalasu porozsypywałem łuski dzikiego chmielu, a u wejścia powtykałem w ziemię żelazne ćwieki. Rusalki ponoć nie piją ludzkiej krwi, ale kto wie, co tu się jeszcze w okolicy uległo? O Kasztana się nie martwiłem, bo miał stalowe podkowy. Rzeczywiście, noc upłynęła spokojnie, aż do świtu, kiedy chciałem się wysikać i - zaspany - wlałem boso na gwoździe, co mnie natychmiast i bardzo dokładnie otrzeźwiło. Tyle, jeśli idzie o pułapki na rusalki.



Był bystrzejszy, niż mi się zdawało. Nie rozpoznał we mnie smoczycy, ale błyskawicznie się polapał, że nie jestem człowiekiem. No cóż, nie można mieć wszystkiego.

Przyznaję, że zaintrygował mnie jeszcze bardziej. Więcej dowiedziałam się z jego myśli niż z tego, co powiedział. Oczywiście chciał mnie zabić, ale jakoś bez przekonania. Gdyby miał inne wyjście, to najchętniej wyniosłby się z mego terytorium natychmiast. Zamiast tego siedział tu jak wrośnięty i knuł nierealne mordercze plany.

Następnego dnia znalazłam go na ścieżce, którą osobiście wydeptałam sobie do jeziora. Mozolnie budował coś z drągów, siedząc pomiędzy gałęziami drzewa.

- Znów przylazłaś? - burknął nieuprzejmie, ale w myślach nawet się ucieszył, że może się do

kogoś odezwać. Jemu też doskwierała samotność.

- A mógłbyś być trochę grzeczniejszy? - spytałam, zadzierając głowę. Niech nie uważa, że może mną pomiatać.

- Mogę. Nazywasz się jakoś?

- Oura.

- Dość dziwaczne imię.

- Znaczy po prostu „Trzecia”. Mojej matce zabrakło wyobraźni przy kolejnej córce - wyjaśniłam.

- Nas jest siedmiu i mojej jakoś fantazji nie zabrakło - odpowiedział z góry, a potem już rozmowa sama się potoczyła. Bardzo dużo się o Erilu dowiedziałam. Miał aż sześciu braci - koszmarne trudno wykarmić taką zgraję młodych. Jego rodzice dali prawdziwy popis lekkomyślności. Cała rodzina gniotła się na ograniczonym terytorium, więc kiedy szczenięta... to znaczy chłopcy podrosli, zaczęli polować na cudzym. Oczywiście to kłopotliwe dla wszystkich, tak włóczyć się bez stałego miejsca. W dodatku Eril był zmuszony oddać haracz jakiemuś ważniejszemu samcowi (o ile dobrze to wszystko zrozumiałam), a ten zażyczył sobie ni mniej, ni więcej, tylko mojej głowy! Odciętej od reszty, oczywiście. Kawał łajdaka. Muszę przyznać, że ulżyło mi, skoro Eril nie poluje na mnie z własnej inicjatywy.

Oczywiście ciekawa byłam, do czego ma służyć to przedziwne „coś”, które zbudował. Chętnie mi wyjaśnił, najwyraźniej dumny ze swych umiejętności. To miała być pułapka na smoka. Zasada prosta - ktoś potyka się o napięty sznurek, u góry szarpnięcie wyciąga blokadę i na dół zlatują dwa drągi zaopatrzone w wielkie, dobrze zaostrzone kolce, na dodatek obciążone kamieniami dla lepszego rozpędu. Tak na oko, dźgnęłoby mnie prosto w płuca, a jakbym miała pecha, to jeszcze w serce. Z dziurą w płucu da się przeżyć. Z dziurą w sercu też. Pod warunkiem jednakże, że mój genialny pyszczunio nie czekałby w pobliżu z mieczem, aby odciąć mi głowę, zanim otrząsnę się z pierwszego szoku. Bardzo byłam ciekawa, czy pułapka zadziała, ale nie do tego stopnia, żeby wypróbować ją na sobie.



Czatowałem przy pułapce przez dwa kolejne dni i noce, odchodząc tylko po to, żeby się pośpiesznie pożywić i sprawdzić, czy Kasztana jeszcze wilki nie zjadły. Smok chyba się mną znudził. Przedtem ze trzy razy na dzień przelatywał mi nad głową, gapiąc się jak na jakieś dziwowisko, a teraz widywałem go rzadko i tylko z daleka. Postanowiłem być cierpliwy. Determinacja skamieniała we mnie jak mokra sól. Oura od czasu do czasu przychodziła, żeby dotrzymać mi towarzystwa. Okazała się całkiem milutka, choć plotła cuda niewidy, aż rozum

kwaśniał od samego słuchania. Dowiedziałem się mnóstwa rzeczy o smokach, elfach i południowych krainach. Przyznała się, że wcale nie jest tutejsza. Była lengorchiańskim elfem, a może nawet pozalengorchiańskim, sądząc z tego, co mi klarowała o syrenach, o morskim, włochatym narodzie i fruwających jaszczurkach. Ze swojej strony wypytywała mnie o ludzi. A już najbardziej ciekawiły ją pieniądze - w żaden sposób nie mogła pojąć, że można pożądać czegoś tak nieprzydatnego. Po raz pierwszy w głowie mi postało, że ona ma chyba rację. Samo w sobie złoto jest zupełnie do niczego. Za miękkie, żeby z niego zrobić narzędzia, za twarde, żeby na nim spać. Do żarcia się nie nadaje, im go więcej, tym cięższe i człowiek bardziej się boi, że mu ukradną. Właściwie to nie złota się pragnie, tylko tego wszystkiego, co za nie można dostać. Ale się mądry zrobiłem, że hej! Gdybyż jeszcze chciwy pan Gzygzoł z Raveln doszedł do takiego samego rozumu. Na to co prawda nie liczyłem.



Trzeba było coś zrobić, bo wyglądało, że Eril spędzi przy swojej pułapce resztę życia. Ale przecież z dobrego serca nie dam się zabić! Smok z okolicy musiał bezwzględnie zniknąć, żeby Eril wrócił do domu. Nie mogłam jednak odmówić sobie ostatniego żartu. Kiedy pewnego ranka przyszedł sprawdzić swa pułapkę, znalazł oba drągi na dole. Na jednym kolcu nabity był martwy zając, a na drugim ryba. Przez dłuższą chwilę Eril patrzył, nic nie mówiąc, tylko wciągał powietrze, a potem porwał tę nieszczęsną rybę, rzucił na ziemię i z wściekłością zaczął deptać. Przeklinał przy tym tak obrazowo, że poczułam mimowolny podziw. Ani razu się nie powtórzył.

Nie obyło się bez oskarżeń. Musiałam na własne życie, los i sumienie przysiąc, że nie ostrzegłam smoka przed zasadzką. (Mogłam przysięgać, bo przecież sam go ostrzegł, osobiście).

- Po prostu smoki są mądrzejsze, niż ci się wydawało - rzekłam niewinnie.

Eril porąbał pułapkę, a potem zjedliśmy tego zająca. Mięso poddane obróbce termicznej smakuje trochę dziwnie, ale jest jadalne, zapewniam.

Następnie Eril ni stąd ni zowąd, oświadczył ponuro, że teraz pojedzie szukać smoka i zażąda, żeby ten go zjadł, bo już całkowicie mu nie zależy na życiu. No nie, on chyba zwariował!

- Masz źle w głowie. Czemu akurat uparłeś się na smoka? - spytałam ze złością. - Czy to nie może być cokolwiek innego? Dzik, jeleń, zombak, lamia... ?!

- Nie ja się uparłem, tylko ten bałwan z Raveln! I owszem, może być coś innego! Może być worek złota! Z tych dwóch rzeczy smok jest jednak łatwiejszy do zdobycia! - odwrzasnął Eril. - Szkoda, że nie chciał jeszcze pyskatej elfki, bo wtedy oddałbym mu ciebie!

Niech mu będzie, że jestem elfem. Widocznie elfa łatwiej mu zaakceptować. Kiedy powiedział o

worku złota, raptem zrobiło mi się w głowie takie „pyk” i już wiedziałam, co robić.

- Złoto...? - rzekłam z namysłem. - Czemu nie? Wiem, skąd wziąć złoto.

- Nie będę rabował na drogach - zastrzegł szybko. - I nie próbuj mi wcisnąć elfiego złota, bo wiem, że znika.

- A co powiesz o pewnym niesympatycznym staruchu, który żyje samotnie na pustkowiu, kolekcjonuje złoto i klejnoty, i ma tego bardzo dużo?

- Co to za człowiek?

- Czy ja powiedziałam, że to jest człowiek? Chciałeś złota albo smoka. Możesz mieć jedno i drugie naraz. No i co ty na to?



Siedziała tam sobie, błyskając tymi wielgachnymi, błękitnymi ślepiami, i niewinnie proponowała ni mniej, ni więcej, tylko wyprawę łupieżczą na smoczy skarbiec. Z jednej strony zdrowy rozsądek stawiał słuszny opór. Z drugiej strony miałem raptem jakby więcej możliwości. Może tamten smok jest głupszy i dałby się zabić z zasadzki; jeśli rzeczywiście spał na klejnotach, to może dałoby się coś z tego ukraść. Do końca terminu pozostało mi dwadzieścia pięć dni. Akurat wystarczy czasu, by zdobyć sławę lub dać się honorowo zeżreć.



Kolekcjoner

No i znowu jechałem gdzieś na koniec świata, gdzie łatwiej o wilkołaka niż o człowieka i na dodatek, jak sądzę, nie dają tam piwa. Następnym smok! Za co mnie tak los doświadczał? Ours siedzi za mną w siodle, wciąż gędzi mi nad uchem o tamtym potworze i jego kolekcji. Kolacji chyba. Na pierwsze danie koń, a na drugie rycerz. Bądź też odwrotnie. Ours upiera się, że ten zbieracz klejnotów mieszka w jakiejś jamie w okolicach Miedzianki. Ale choć po drodze dopytywałem się o niego po wszystkich napotkanych wsiach, jakoś niewiele o nim słyszano. Chłopi rozkładali ręce i odsyłali nas od zagrody do zagrody. Niczego pewnego się nie dowiedziałem, bo i cóż to za mądrość, że wuj dziadka przyrodniej siostry słyszał od wędrownego przekupnia, jakoby „tamój na wychodzie potwora się ulęgła”. Miałem coraz więcej wątpliwości.

- Skąd możesz wiedzieć, że ten smok siedzi akurat na Miedziance? - spytałem Oursę.
- Rok temu jeszcze był - ona na to.
- Rok! Do tej pory mógł zdechnąć cztery razy!
- No to chyba tym lepiej, nie?

Może i lepiej, ale co mi po zdechłym smoku? Gryzmoł nie nabierze się na kość obdziobaną przez kruki. Najlepiej byłoby, gdyby bestia zdechła sobie spokojniutko ze starości tuż przed naszym przybyciem. Oszczędziłoby to fatygi obu stronom.



Erilowi smok z głowy nie wychodził. Wciąż niepokoił się, czy go znajdziemy, czy kolekcja kosztowności aby naprawdę istnieje i czy go przypadkiem nie nabieram. I skąd właściwie wiem o tym „potworze”. (Ciekawe, co on sam by powiedział, jakby ktoś nazwał potworem kogoś z jego rodziny). Oczywiście musiałam łąć. Cały dowcip polegał na tym, że staruch przez wiele lat był moim sąsiadem. Z wiekiem robił się coraz bardziej nietowarzyski. Ze starości rozum mu się mieszał, a może był z gruntu taki wredny. Zamiast zajmować się tak rozsądnymi rzeczami, jak spanie, jedzenie, matematyka i układanie kalamburów, wzorem ludzi zaczął zbierać rozmaite błyszczące śmieci. Uroił sobie, że każdy dybie na jego życie i to bezsensowne zbiorowisko lśniących skorup. Dawno temu wyniósł się z naszej wyspy, ku zadowoleniu wszystkich mieszkańców, bo nikt już z nim nie mógł wytrzymać. Zeszłej wiosny trafiłam na niego kompletnym przypadkiem. Śmieciowisko w jego legowisku rozrosło się do gigantycznych rozmiarów, a on sam był już kompletnie obłąkany. Miałam zamiar uszczuplić kolekcję tego starego wariata. Rzecz jasna, nie wchodziło w rachubę, aby Eril go uśmiercił. Problem leżał w tym, by rozwścieczony staruszek przypadkiem nie zabił Erila.



Całkiem już niedaleko od Miedzianki, w strasznie zapyziałej wiosce, wreszcie trafiliśmy na kogoś, kto tego smoka ponoć widział na własne oczy. Mateczka zawsze mi powtarzała, że dla starszych trzeba mieć szacunek, ale tego dziada miałem ochotę udusić. Zaczęło się całkiem niewinnie. Staruszek był mały, chudy, wokoło łysiny sterczały mu resztki szarego uwłosienia - wyglądał trochę jak gnom, którego piorun trzasnął w środek czaszki. Siedział przed chałupą na pieńku, między kolanami ścisnął kostur i miał baczenie na obejście. To znaczy na grzebiące w ziemi kury, chwasty pod obórką i leniwego psa, śpiącego na progu. Na nasz widok czujniej łypnął wyblakłymi oczami i wychrypiał niechętnie:

- Cegoj...?

- Wiesz coś o smoku? - zapytałem.

- Ni ma.

- Wiem, że nie ma - odparłem. - Ale był w tej wsi.

- Na wszi sok dobry. Ale ni ma - stwierdził stanowczo. Zrozumiałem, że jest trochę głuchy, więc powtórzyłem głośniejsze:

- Smok!

- Tozem zekł, co soka ni ma! U Waltów pytajta! - wrzasnął staruszek ze złością.

- O smoka chodzi!!! - ryknąłem.

- Ja ni mam wszi! Soka ze pokrzywy sami se zróbta!

- Był tu potwór!!!! - o mało mi gardło nie pękło. Oura zataczała się ze śmiechu, a ja czułem się coraz głupiej.

- To po co przysziłta, po sok cy po wór?! - zapytał dziadek, z irytacji stukając kosturem w ziemię.

No naprawdę... cierpliwość trzeba było mieć do niego żelazną. Pukał tą lagą coraz gęściej, jakby postawił sobie za punkt honoru wybić mrówki spod pieńka. Spoglądał na nas przy tym z rosnącą podejrzliwością. A tymczasem za chruścianym płotkiem gromadzili się rozbawieni widzowie.

- SMOOOK!!!! - zawyłem dziadowi prosto w ucho.

- W rzyć mie smoknijta! - zezłościł się ostatecznie. Podniósł się z miejsca i pokuśtykał do chałupy. - Przijdo takie i dupę zawracajo...!

Może bym go i udusił, gdyby nie ulitował się jakiś człowiek, możliwe, że wnuk tego głuchego. Zawrócił dziada od progu i zaryczał tuż przy uchu starca jak ranny buhaj:

- Drakun, dziedu!!! O drakuna pytajo!!!

Staruch łypnął znów ponuro. Podrapał się jedynym dolnym zębem w wargę, chrząknął i splunął na podwórze.

- Drakun? A ja myślę, co ich wszy obleźli. Młode to, gupie, i godoć nie umi... - wyrzekął. - Ty mosz wiency w głowi, Miru.

Zasiadł znów na pieńku jak na tronie i z powagą rozpoczął opowieść, tonem, jakby opowiadał sagę. Ale widziałem, iż jest bardzo zadowolony, że ma słuchaczy.

- Zim tamu nazad to było dziesiontków trzi i jesczy dwie. Natencaseśmy we Włoku żyli. Gurcasy, Bedłoki, Wołniasze, Lipnioki, Brusy... ale te Brusy ode rzeki, a nie tutejsze...

Musiałem wysłuchać, ile to też rodzin wieśniaczych we wsi Włok żyło przed laty, ale trzymałem język za zębami, bo jakbym protestował przeciw tej litanii, to dziad pewnie by się obraził i niczego więcej bym nie zyskał.

- W polum robił natencas. A tu ode rzeki leci mały Brus, co go Mulok nazywali. Leci a wrzyscy, jakoby go ze skóry obierali. Jazem go za czub łapsnoł, a en wrzyscy: „Drakun! Drakun!”. No to ja godam: „Mulok, tobie um ubrało?”. A ten nic, ino „drakun”. Tozem go puścił, a sam nad rzekę. A to podaleko było. Anim sie zasapał. No i drakuna swoimzem własnym okiem obaczył.

Zacząłem słuchać chciwiej, bo wreszcie zaczęło się coś ciekawszego.

- Wieweeelgi był jakoby stodoła...

- Ni... jako dwie stodoły! - odezwał się z podnieceniem jakiś inny dziad, na oko młodszy, bo mniej łysy, a za to z większą liczbą zębów.

- A co ty tam wis, gówniarzu! - zezłościł się ten pierwszy i pogroził mu kosturem. - Jako stodoła wielgi był! A kudły mu do ziem wisiały. Latadła rozcapirzył i ścierwo żarł, bo był owce zarznoł Gurcasowe.

- Gurcasa owce? A nie Brusowe? - znów przerwał dziad mniej szczerbaty.

- Gurcasa, bo sie Brusowe z Gurcasowymi paśli!

- Aaaaaali...! Toć się Gurcasy z Brusami ciepali ło te jabłonkie, to jakże by owce razem paśli...?! - zaoponował tamten.

Na to gawędziarz całkiem już wyszedł z siebie i rąbnął go lagą w ciemność. Tamten nie pozostał dłużny, jako że sam był wyposażony w podobną broń. W mgnieniu oka na podwórzu się zakotłowało. Kurz uniósł się ponad walczącymi, bo każdy z rywali miał swoich zwolenników, którzy radośnie dołączyli do rozróby. Wyglądało na to, że się tu nic więcej nie dowiem.

Wycofaliśmy się z Ourą pod płotek. Ku memu zaskoczeniu dołączył do nas Miru. Z upodobaniem przyglądał się bijatyce, założywszy ręce na piersi.

- Dziedyk jesczy sporo zdoli... - rzekł z familijną dumą. - Jak sztachetem przywali, to i ducha wypuści...

- To jak z tym smokiem dalej było? - zapytałem natychmiast, korzystając z tego, że wnuk gawędziarza jest w dobrym humorze.

Jego dziad wygrywał mimo podeszłego wieku, waląc lagą w istic berserkerskiej furii.

- Ano dzieda drakun upatrzył, jako tamój stał nad wodom... łeb mu chciał urwać, czy co... ale dzied w nogi. W wodę chlupnoł, do dna poszed. Drakun go nie ułapił. Ino latał nad rzekom, latał... w wodę się bał iść za dziedem. Nico mu nie zrobił. Ino jesce jedno owce ugardlił. A po tym to juzesmy z Włoka uszli, bo drakun chłopa u pługu ubił, i kunia, i lemiesz ukradł, taki syn...

To było coś nowego.

- Ukradł pług...?

Miru wzruszył ramionami.

- Ja ta nie wim, na co draku żelazo takie. Ale wzioł. A dobry był pono. Nowiuški, ostry, aze się świecił... krowę ponoć wart był. A drakun go urwał ode pługą, zasraniec...

Miru chętnie wskazał mi kierunek, w którym powinniśmy się udać na poszukiwanie owego latającego złodzieja lemieszy. Jego wzrok wyraźnie mówił, że raczej nie spodziewa się ujrzyć mnie jeszcze kiedy w życiu, ale jak kto ma życzenie być zjedzony, to już jego własna sprawa.

Kupiłem trochę żywności i wróciliśmy do Kasztana, którego zostawiłem u wiejskiej studni, żeby napił się porządnie z koryta. Dokoła niego zgromadził się już tłumek wyrostków. Jedni gapili się nabożnie, a drudzy ze smakiem rozprawiali o końskich wadach i zaletach.

- Jakie to ma kopyciska...! Mocny je, nie? Taki to by pługą ani poczuł.

- To je pański kuń, gupieloku! Rycyrski kuń! Łon ma na wojnę iść, a nie w pole. Nie nam takie kunie wodzić.

- Aj ta...! Kuń je kuń! Ten ino wienkszy! Jakbym kciał, to bym se kupieł na targu!

- Ot, pakuły we łbie mosz! A ty siem to wyznajesz, co taki kuń zre..? - wpadło mi do ucha.

- Taki wielgachny je, co chyba całom stodółkę by we dwa miesioncki zesar.

- A podkuć takiego? - wtrącił ktoś jeszcze. - Toć łon we dwa dzionki podkowę uchodzi! Juz ja wole śkapine mego tatunia.

No tak, miałem bardzo kosztownego w utrzymaniu wierzchowca. Żarł za trzech i ciągle gubił podkowy, a czyszczenie go przypominało uprawianie ogrodu - podobne obszary do przegrabienia. Jednak nie pozbyłbym się Kasztana za żadne pieniądze. Był rzeczywiście wielgachny, nawet jak na bojowego rumaka, ale przy tym zdumiewająco szybki. Potrafił aportować jak pies, nosił za mną rękawice w pysku, kładł się i wstawał na rozkaz, udawał zdechłego i potrafił dostać się do cudzego warzywnika, choćby parkan był na chłopa wysoki. Kilka razy zdarzyło się, że wyciągał mnie zębami za kołnierz z samego środka pijackiej burdy

na świeżym powietrzu. Chciałem go jeszcze nauczyć chodzić po schodach, lecz skończyło się to złamaniem dwóch żeber. Moich.

Oczywiście próbowano ukraść mi to чудо, ale Kasztan nie pozwalał się dosiąść nikomu oprócz mnie. Przedostatni ryzykant zbierał zęby przed wrotami stajni, a ostatni już od dość dawna leży cicho pod piaseczkiem, bo mój koń kopnął go w durną głowę. Od jakiegoś czasu był spokój. Chyba zabrakło idiotów.

Takiemu to skarbowi na czterech kopytach nie spodobała się Oura. Może nie pachniała odpowiednio - to znaczy nie człowiekiem, lecz rusalką, czy czym tam była... Za każdym razem robił to samo przedstawienie i musiałem stosować różne podstępny. Tańczył na zadnich nogach i szczyrzył zęby, gdy tylko Oura podeszła według niego za blisko. Prosiłem i groziłem, ale gdzie tam! Teraz też uparł się po prostu. Wyglądało na to, że zostaniemy na wieki na placyku przy wiejskiej studni. Kmiecie mieli niezłą zabawę, kiedy patrzyli, jak użeram się z Kasztanem. Krew mnie zaląła i przez chwilę widziałem leżące rzędem kielbasy, szynki i skórzany dywanik - wszystko z konia.

Dopiero widok suszących się na płocie dzbanów nasunął mi pewien pomysł. Kasztan lubił piwo. Mnóstwo razy zamawiałem „w kuflu i w misce”. Posłałem więc po piwo jednego z wyrostków. Jak się spodziewałem, nie było ono największym cudem tego świata, ale do przekupienia konia się nadawało. Oura tak długo wabiła Kasztana miską, że konisko w końcu nie oparło się pokusie i podeszło, by się napić. A kiedy jeszcze zamoczyłem włosy Oury w resztkę, uparciuch wreszcie dał się przekabacić.



Jazda na grzbiecie tego zwierzaka nie sprawia mi żadnej przyjemności. Wolalabym lecieć na własnych skrzydłach. Wygodniej, a nade wszystko szybciej! Jedyńą dobrą stroną tej sytuacji jest to, że mogę rozmawiać z Erilem. Muszę przyznać, że jak da mu się dość czasu do namysłu, to potrafi być nawet błyskotliwy. Na miarę ludzkich możliwości oczywiście.

I tak sobie wędrowaliśmy. Raz moczeni deszczem, raz prażeni słońcem. W dzień na końskim grzbiecie, w nocy pod gołym niebem albo w legowisku z gałęzi, jeżeli akurat padało. Ludzka umiejętność wyplatania okazała się bardzo pożyteczna.

Wreszcie natrafiliśmy na opuszczoną, zrujnowaną wioskę. Chałupy z pozapadanymi, zgniłymi strzechami, porozwalane parkany. Pokrzywy i łopiany do pasa. Wszędzie cisza, zielsko i zgnilizna. O ile miałam przedtem jakieś skrupuły co do niepokojenia tego starego smoka, o tyle teraz zniknęły całkowicie. Ludzie musieli uciekać stąd w wielkim popłochu, gdyż zostawili po sobie mnóstwo przedmiotów, a przecież wiadomo, jak oni kochają rzeczy. Nie podobalo mi się, że

staruch wypędził ich stąd. Było to nic innego, jak kradzież terytorium! A tego nie pochwałał nikt na mojej wyspie. Ani dziadek, ani matka, ani też moje ograniczone siostrzyczki, którym wiatr gwizdał przez uszy.

Nieźle tu sobie poczynął ten wstrętny typ. Zostawił ślady pazurów na niemal każdej ścianie. A w krzakach znalazłam nawet rozwleczone ludzkie kości. Nic nie powiedziałam o tym Eriłowi i miałam nadzieję, że sam ich nie wywęszy.



Napoilem Kasztana z hełmu przy prawie wyschniętej studni. Na dno musiałem spuścić bukłak, bo wiadro zbutwiało i zarosło grzybem na amen. Oura z ciekawością myszkowała dokoła. Postanowiłem też się rozejrzeć. Rozdzieliliśmy się. Mijając drugą studnię, zobaczyłem koryto do pojenia bydła, które było kompletnie pokryte mchem i wyglądało jak lordowska trumna wyłożona aksamitem. Pasowało jak ulał do okolicy. Czuję się bardzo nieswojo. Wszystko tam wyglądało jakoś trupio. Zajrzałem do starej kuźni, gdzie wciąż jeszcze leżała sterta węgla, walały się jakieś narzędzia zgubione lub porzucone w wielkim pośpiechu. Poruszyłem ogromnym miechem, a zapleśniałe skórzane pokrycie rozpadło się w kawałki. Potem trafiłem na okazalszy budynek, bo z pięterkiem. Najwyraźniej służył kiedyś za gospodę. Spod schodków wylał lis, patrzył na mnie dłuższą chwilę, po czym niespiesznie się oddalił. Wszystko wskazywało na to, że nikogo nie było tu od lat. Obecność smoka odstraszała nawet złodziei i włóczęgów. Przeszła mi ochota na oglądanie tej nieszczęsnej chałupy od środka (choć może gdzieś w piwniczce znalazłbym zapomnianą butelkę). Porozdzierane błony w oknach zwisały w wyschniętych kawałkach, a szeleściły jak szepczące duchy. Nad drzwiami wisiał jeszcze na jednym gwoździu kawał deski. Farba z niej zlazła, ale wryte głęboko litery dało się rozpoznać.

- Pod Zie-ło-nym Smo-kiem... - przeczytałem i mrówki przelazły mi po grzbiecie. Splunąłem z odrazą. Zły omen!



Czy ja już mówiłam, że Erił jest nieznośny? Jeśli nie, to mówię teraz. Po pierwsze: jabłka. Koło opuszczonej wsi rosło pełno jabłkowych drzew. Owoce akurat dojrzały, więc nazbierał ich pełne torby i żarł je w drodze niemal bez przerwy, a mnie się robiło niedobrze od tego kwaśnego zapachu. Po drugie: pierwszy raz w życiu spotkałam tak zarozumiałego samca. Ni mniej, ni więcej, tylko wyobraża sobie, że my - istoty innej płci - jesteśmy słabsze zarówno na ciele, jak i na umyśle. Szowinistyczny potwór! Nawet teraz, tymi krótkimi i tępymi zębami mogłabym mu

przegryźć dowolne ścięgno. A poza tym chciałabym zobaczyć tego mądralę, jak staje ze mną do zawodów w rachunkach albo do gry w sto pytań!



No, nie...! Ona jest nieznośna! Istny koszmar.

Nie cierpi jabłek. Nie każdy musi lubić jabłka, ale żeby żądać ode mnie jedzenia ich na osobności? Na osobności się sika, a nie je.

W dodatku gadała. Gadała bez ustanku. Ja naprawdę nie jestem ciekaw tego, że lewiatan daje mleko, a stonoga ma tak naprawdę tylko dwadzieścia nóg. Lewiatana nie będę doił, a z robalem się żenił. Co mnie to obchodzi?! Ours się obraziła, jak jej o tym w końcu powiedziałem. Właściwie wrzasnąłem, ale już nie mogłem tego znieść i kazałem się jej zamknąć. Powiedziała, że mam ograniczony umysł. No i dobrze, może i mam... Co za wstrętna baba...



Eril przyniósł mi kwiaty. Nazbierał cały pęk na popasie. Teraz zachodzę w głowę, o co mu chodzi. Najwyraźniej jest to jakiś ludzki rytuał. Co ja mam zrobić z tym zielskiem? Zjeść? Normalny samiec przyniósłby mi jakieś mięso. Ale Eril nie jest normalny... to znaczy - nie jest smokiem. Miałam pewne podejrzenia, spytałam więc wprost, czy on przypadkiem nie chce mieć ze mną dzieci. Ojo-joj... Strasznie się oburzył. O co mu właściwie chodzi? Musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć, że mu się podobam. To znaczy - podoba mu się moje aktualne ciało. Ludzie są skomplikowani.



Przysięgam, że prędeż sobie język odgryzę, zanim znów się do niej odezwę.

Chciałbym dorwać tego, co wymyślił, że rusałki są delikatne. Taran jest bardziej delikatny aniżeli Ours. Powiedziała, że nie będzie siedzieć za mną w siodle, skoro tak na nią wrzeszczę. Uparta dziewczucha szła pieszo obok konia po tych wszystkich wertepach, a co najciekawsze, nie widać było po niej zmęczenia. Zacząłem nieznacznie popędzać Kasztana obcasem, a Ours, jakby nigdy nic, nadażała. W końcu doszliśmy do kłusa, a Ours leciała obok, ścigając się z koniem i - niech mnie piorun strzeli! - brała go bez wysiłku jak chciała! Ściągnąłem wodze, bo uświadomiłem sobie, że ona może nas obu zostawić w tyle. Włosy mi się zjeżyły.



Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Góry, które ludzie nazywają Miedzianką, są dość niskie,

wyokrąglone, porośnięte płatami lasu szpilkowego. A tu i ówdzie otwierają się paszcze płytkich wąwozów. Gdybym miała sobie w okolicy znaleźć dom, z pewnością wybrałabym właśnie jeden z nich - miejsce ustronne, osłonięte od wiatru i deszczu. Tutejszemu rezydentowi zresztą starczyło rozsądku (mimo demencji), by właśnie tak zrobić. Co prawda poprzednim razem nadleciałam z zupełnie innego kierunku, a w dodatku oglądałam ten teren głównie z góry, lecz byłam pewna, że ma on legowisko po przeciwnej stronie pasma. Na razie byliśmy względnie bezpieczni. Spośród rozmaitych myśli zwierzęcych próbowałam wychwycić znajome już - chaotyczne i porwane - emanacje starego smoczyska, ale niczego nie znalazłam. Albo spał głęboko, bez żadnych snów, albo zakończył już żywot, co bez wątplenia niezmiernie by ucieszyło Erila. Mnie zresztą też.

Zdjęliśmy z konia całe to dziwne wyposażenie, żeby mógł sobie odpocząć i wytarzać się w trawie. Eril powiedział, że pójdzie naciąć gałęzi na legowisko. Wziął nóż, dwa jabłka (obsesję ma na punkcie tych jabłek) i zniknął między drzewami.

Czekałam, czekałam... i czekałam. Słońce grzało, świerszcze cykały jak oszalałe, Kasztan chrupał trawę. Położyłam się na rozgrzanej ziemi, która ładnie pachniała suchym zielskiem, piaskiem i mrówkami. W głowie mi się jakoś tak zakręciło... nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam. Gdy się wreszcie ocknęłam, słońce wisiało niżej, ale Eril jeszcze nie wrócił. Zaniepokoiło mnie to nieco, a nawet zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że go puściłam samego. Był przecież ode mnie młodszy - nie wyglądał na więcej niż siedemdziesiąt lat, o ile się znam na ludziach; był mniejszy i słabszy. Mógł zabłądzić... mogło go zaatakować jakieś zwierzę... dziki kot, lamia albo choćby wściekły jelen. Mógł spaść z jakiegoś osypiska, złamać sobie którąś z tych swoich delikatnych kości. Mój mały Eril mógł zrobić dziesiątki głupstw i stanąć w obliczu setek zagrożeń! Im więcej o tym rozmyślałam, tym większy ogarniał mnie niepokój. I rzeczywiście - kiedy odnalazłam wąty obłoczek jego świadomości, snuły się tam myśli pełne smutku i goryczy, a wszystko to na podkładzie zwyczajnego, atawistycznego strachu. Nic innego, tylko w coś się wpakował. Zdecydowałam się polecieć i poszukać go. Właśnie - polecieć. Miałam złe przeczucia. Jeśli stary kolekcjoner błyszczących śmieci dopadł mego podopiecznego, niech nie liczy na pobłażliwość!

Pamiętałam, że Eril czasem mówił „bóg wynagrodzi” albo „jak bóg da” czy „boże zlituj się...”. Wywnioskowałam, że takie „bogi” chodzą za ludźmi (w dyskretnej odległości, bo żadnego nigdy nie dostrzegłam) i są raczej przyjaźnie nastawione. Na wypadek, gdyby bóg Erila był w pobliżu, zawołałam:

- Eeeej, ty, bóg! Twój pan ma nieprzyjemności! Jakoś go zaniedbujesz ostatnio, leniu!

Transformacja z mniejszego w większe zawsze jest zadaniem trudnym, niewdzięcznym i

ogromnie energochłonnym. Przed przemiana bezwzględnie musiałam coś zjeść. Nie było czasu uganiać się za mięsem, a trawa (oprócz wstrętnego smaku) jest wyjątkowo mało pożywna. Wszystkie liściojady poświęcają tyle wysiłku i czasu na żarcie, że już im go nie starcza na porządne myślenie. Mój rycerz też chyba powinien jadać więcej mięsa, a mniej jabłek. Niestety, wyglądało na to, że mam do wyboru albo owe kwaskowate, jałowe paskudztwa, albo konia. Po krótkim namyśle zdecydowałam się na jabłka, które nie miały może dużych wartości odżywczych, ale też nie miały twardych kopyt i nie gapiły się na mnie podejrzliwie. Schowałam się w krzakach, żeby nie spłoszyć Kasztana. Z samozaparciem wpychałam w siebie to paskudztwo, aż mi się wszystko w środku przewracało. Pamiętałam o zdjęciu ubrania i nawet je porządnie ułożyłam. Skupiłam się i wybrałam swój wzorzec podstawowy, a potem zaczęło się to męczące rzeźbienie nowego ciała. Nie wyszłam jednak z wprawy. Gotowa byłam w niecałe ćwierć godziny. Oczywiście potwornie głodna i do tego strasznie, przeokropnie ZŁA!



Leżałem na brzuchu, wpasowany w skalną szczelinę. Gdy tylko próbowałem się poruszyć, natychmiast pojawiała się ogromna łapa i drapała pazurami kamień nie dalej niż łokieć ode mnie. Od czasu do czasu wpychał się nos. Z jednej strony wołałem mordę, bo z nozdrzy smoka buchało gorąco jak z paleniska, a kamienie były cholernie zimne, z drugiej zaś żołądek podchodził mi do gardła na myśl, że bestia może zionąć ogniem.

Ale zacznę od początku.

Łatwo było znaleźć odpowiednie drągi na szafas i naciąć miękkich gałązek na posłanie. Szybko mi poszło i jakoś nie miałem ochoty od razu wracać. Zrzuciłem wszystko na stos, związałem powrozem. Postanowiłem rozejrzeć się odrobinę i zabrać ten wiecheć w drodze powrotnej. Prawie od razu trafiłem na jakąś zakazaną ścieżynę, wydeptaną pewnie przez dzikie kozy, czy co tam żyło w tej okolicy. Doprowadziła mnie na skraj dość głębokiego jaru o stromych ścianach, które deszcze powymywały w pręgi i garbki, na podobieństwo olbrzymiej tary do prania. W czas ulew dnem musiała szorować całkiem spora rzeka, ale teraz panowała susza i sączył się tam jedynie jakiś zdechły strumyczek.

W poprzek wąwozu padła wielka sosna, więc dało się przejść na drugi brzeg jak po moście. Zły duch mnie chyba skusił, żeby to zrobić, bo jako żywo ten parszywy jar wyglądał tak samo z obu stron. Tam, gdzie sosnowe korzenie sterczały niby wyschnięte wiedźmowe paluchy, leżała jakaś kupa śmieci. Coś mi się w niej nie spodobało, chociaż nie wiedziałem co. Była jakaś taka... no, nie wyglądało to dokładnie tak, jak zawsze wygląda stos zbutwiałych liści i igliwia. Prawie już dotarłem na drugi brzeg, kiedy zupełnie niespodzianie

nad tymi korzeniami pokazał się łeb jak beczka - o ile beczka może mieć parę szkarłatnych ślepi, mechate uszyska i rząd zębisk jak piekielne grabie!

Nie wrzasnałem tylko dlatego, że rycerzowi nie wypada wrzeszczeć, a poza tym całkiem mi dech zaparło. Doprawdy, trzeba mieć mojego zasranego pecha, żeby trafić prościutko do smoczego legowiska. Mały włos, a wlaźłbym potworowi na kark!

Bestia zaryczała głucho. Natychmiast próbowałem się wycofać, ale obcasy omsknęły mi się na pniu. Machnąłem tylko głupio rękami i poooooleciaaaaa... Szczęście w nieszczęściu, że nie spadłem na swój dumny czerep. Udało mi się zeskoczyć na nogi, a mało sobie kolaniem zębów nie wybiłem. Za to znalazłem się w cudnej pułapce - smok mnie mógł stąd wybrać jak rybę z saka. Nawet nie zerknąłem, czy ten potwór złazi za mną, i tak było już słychać hurkotanie kamieni pod pazurami. Rzuciłem się do ucieczki. Miałem nadzieję, że wawóz zaraz się skończy. Ale jakoś się nie kończył, a tymczasem chrapliwe dyszenie i dzikie warkoty miałem tuż za plecami! Zobaczyłem ciasną szczelinę, którą wymyła woda u podnóża stromej ściany, i wśliznąłem się do niej rozpaczliwym szczupakiem.

W ten sposób po paru godzinach nadal dzwoniłem zębami w kamienistej dziurze, która była zdumiewająco zimna przy tym upale. Zdrętwiałem cały i cholernie zgłodniałem. W dodatku koszmarnie piliło mnie na stronę. Straszydło na górze pilnowało mnie niby kot szczura. Jak na starego smoka miał w sobie stanowczo za dużo życia. Był do tego niewiarygodnie uparty. Co jakiś czas usiłował mnie wygrzebać, jak skrzętna gospodyni igłę ze szpary w podłodze. Oczywiście wtedy wciskałem się jeszcze głębiej. Już zacząłem myśleć, że umrę tu z głodu, a ta lodowata dziura stanie się moim grobem, i ze smutkiem przyznałem, że mógłbym prowadzić znacznie cnotliwsze życie, kiedy rozległy się jakieś szurania, chrobotanie... Coś mrucało, bełkotało... Bardzo to przypominało gadanie w jakimś paskudnym, barbarzyńskim narzeczu. Zwariował? Gada sam do siebie? I odkąd to w ogóle smoki mówią?

Po chwili zacząłem rozróżniać jakby dwa warkliwe głosy. Nie wytrzymałem. Przesunąłem się ostrożnie, wyjrzałem - cały w strachu, czy smocza łapa nie zdejmie mi czaszki z rozumu. I zobaczyłem...

Dwa smoki! DWA!

Co to było, do cholery, czarnej zarazy i wszelakiego plugastwa?! Smoczy jarmark?! Spotkanie rodzinne?!

Oba potwory były bardzo sobą zajęte, ale i tak nie mogłem uciec, ponieważ zagradzały drogę. Miałem okazję dokładnie się im przyjrzeć. Słońce musiało mocno już się zniżyć, bo na dnie jaru kładł się cień, lecz i tak dobrze widziałem. Bestia z lewej była większa, ale za to

przypominała coś, czym długo czyszczono wychodki. Futro na tym smoku zwisało jak łachman z żebraka. Wyglądał strasznie staro, a zatem musiał to być mój strażnik. Drugi - mniejszy i tłusciejszy - miał popielate futro, a lśnił jak wypolerowany hełm.

Chyba się nie lubiły. Przestały do siebie mamrotać, a zaczęły warczeć, ryczeć i fukać. Wysuwały i wsuwały potężne pazury, rozgrzebując żwir. Rozpościerały skrzydła i kiwały masywnymi łbami. Zapowiadała się nielicha bijatyka. Raptem ten mniejszy, popielaty, rzucił się do przodu i zawisł staremu u gardła. Tylko na moment. Chwył musiał być za słaby, bo starzec trzepnął skrzydłami, szarpnął się i uwolnił. Mały z kolei natychmiast uczepił się jego przedniej łapy. Chyba trafił w czułe miejsce, bo stary wpadł w złość i zaczął tarmosić go za skrzydło. Szary przetoczył się na grzbiet, atakując wszystkimi czterema łapami naraz. Walka nabierała tempa. Obie bestie zwały się w jeden podrygujący szarobrazowy kłęb. Gryzły się, darły pazurami i tłukły skrzydłami. Łomot był taki, jakby sto praczek jednocześnie waliło kijankami w szmaty. Żaden ze smoków nie ział ogniem. Może nie chciały, a może ogniem zieją tylko te łuskowate? Gapiłem się z zapartym tchem na to widowisko, a było na co popatrzeć. Smoki gryzły się tak zajadle, że aż w powietrzu fruwały kłębki futra. Jakby miały zamiar porozdzierać się na kawałeczki. Wreszcie potwory zaczęły tracić zapał. Kurz opadł i ujrzałem, jak mój prześladowca - okropnie wymiętoszony - zwiewa z podkulonym ogonem, ciągnąc skrzydła po ziemi. Szary zwycięzca ryczał za nim tryumfalnie długą chwilę, po czym przysiadł na ogonie i kichnął gromko. Wtem czerwone ślepie skierowały się prosto ku mojej kryjówce. Czym prędzej schowałem się głębiej. U wylotu szczeliny pojawił się smoczy nos. Niuchał głośno, dmuchając na mnie ciepłem.

- Wylaż - usłyszałem zupełnie głośno i wyraźnie. - Wylaż, już sobie poszedł.

Nie wierzyłem własnym uszom. Leżałem cicho, nieruchomo jak zdechła mysz w norze - trochę ze zdumienia, a trochę dlatego, że nie widziałem powodu, żeby nagle się zaznajamiać z obcym smokiem, nawet gadającym i niby to przyjaźnie nastawionym. W końcu żadna różnica, jaki człowieka zeżre...

Kiedy wreszcie zdecydowałem się wyjrzeć, popielatego smoka już nie było nigdzie widać.



Kolekcjoner wyglądał jeszcze tragiczniej niż poprzednio. Nie jadł już chyba od dłuższego czasu, bo skóra wręcz na nim wisiała. Gdzeniedzie sierść mu wylazła, odsłaniając tyse obszary. Reszta natomiast była brudna, skudlona i tkwiło w niej co niemiara suchych liści, kawałków kory i różnych badyli. Z jego umysłem też było już całkiem fatalnie - słowa tak mu się myliły, że nie umiał sklecić z nich niczego sensownego. Z tego belkotu wynikało tylko tyle, że jestem „niedobra” i

on „nie chce”. „Nie chciał” zapewne mojego towarzystwa. Dałabym mu spokój, gdyby nie ten biedny chłopak, zapędzony do dziury. Postraszyłam trochę staruszka i parę razy go skubnęłam zębami. Nie spodziewałam się dużego oporu, ale mimo wycieńczenia nadal znalazł w sobie sporo energii. Oczywiście wygrałam, lecz kilka razy zdołał mnie dotkliwie ugryźć.

Eril był bezpieczny. A ja, skoro już miałam swoje dawne ciało, postanowiłam skorzystać z okazji i porządnie się najieść świeżego czerwonego mięsa. Najchętniej z tuczonego ziemnymi bulwami knura albo dwóch...



Rety! No, nie... Myślałem, że żywot najemnika jest urozmaicony, ale teraz widzę, że bytowałem sobie do tej pory nudno i niemrawo jak rzepa zakopana w ziemi.

Kiedy tylko szary smok odleciał, natychmiast postanowiłem się stąd wynosić. Niech demony porwą smoczy łeb, Gryzmoła z Raveln i cały ten zakład! Byłem za młody, żeby dać się zjeść w jakimś zapadłym kącie królestwa. Ulżyłem pęcherzowi, a potem ruszyłem z kopyta - szukać wyjścia z wąwozu. Po dwóch zakrętach jar kończył się w miarę łagodnym osypiskiem. Zatrzymałem się jak wryty. Kompletnym przypadkiem znalazłem się w samym środku smoczego skarbcza. Zwykle wyobrażamy sobie, że smoki śpią na stosach kosztowności. Tu można było mówić raczej o stosikach, i to wielu. Gdzieniedzie na płaskich kamieniach pieczołowicie poukładano małe kupki lśniących metalicznie przedmiotów. Między głazami na sztorc poutykane były całe uschnięte drzewka, pozbawione liści, a na ich gałązkach tkwiły nanizane jakieś pierścionki, blaszki, paciorki... Tu i ówdzie migotały kawałki potłuczonych luster, leżały zmatowiałe fragmenty zbroi, tarcze... W pewnej chwili spostrzegłem nawet ów słynny lemiesz i omal nie ryknąłem wariackim śmiechem.

Wokoło panowała śmiertelna cisza, ani ptak nie zapiszczał w lesie na górze. Właściciela chyba nie było w pobliżu. Pewnie lizał gdzieś rany.

Skróciłem pas o dwie dziurki i zacząłem ładować za kubrak wszystko, co mi wpadło w ręce. Przypuszczałem, że smoki niechętnie porzucają swoje skarbcze. Tamten mógł wrócić w każdej chwili. Leciałem potem świńskim truchtem, obładowany jak muł, i o mało nie ukłęciłem sobie szyi, rozglądając się na wszystkie strony, czy nie zobaczę gdzieś latającego „psa” wielkości stodoły. Miejsce naszego popasu wydało mi się krainą marzeń. Drzewa, pod którymi można się ukryć, przyjaźnie prychający Kasztan... Trawa, na którą można paść... Padłem więc i czekałem, aż serce zlezie mi z gardła do miejsca, gdzie powinno się normalnie znajdować. Leżałem jeszcze, gdy zjawiła się Oura. Była okropnie rozczochrana i ponura jak deszczowa noc.

- No i co?

- Nie zeżarł mnie, jak widać - wykrztusiłem. Oura spojrzała na mój wypchany kaftan.

- Przyniosłeś coś.

Wysypałem to „coś” na derkę. Pierwsze, co mi wpadło w oczy, to miedziana zapinka, nieco pozieleniała. Potem szły w kolejności: dwa kawałki łańcucha (jeden srebrny, drugi zardzewiały), duży szklany paciorek, kość (chyba nie ludzka?), spory okruch kwarcu, ostrze noża... Moje brzemię składało się, niestety, głównie z nic niewartej miedzi i szkiełek. Roześmiałem się gorzko. Zupełnie jakbym ryzykował życie dla obrabowania gniazda sroki! Rozgarnąłem niedbale te rupiecie, a wtedy błysnęło czyste światełko. Błogość zalała mi duszę. Wziąłem znaleziony klejnocik z uszanowaniem należnym chyba tylko relikwii. To był pierścień. Masywne złoto ze szmaragdem wielkości i kształtu ziarnka grochu. Ale to nie koniec niespodzianek. Chwilę później wyciągnąłem bliźniaczy pierścień, tyle że z perłą.

Grzebałem w tym złomie z rosnącym zapalem. Smoczysko nie znało rzeczywistej wartości przedmiotów i po prostu zbierało wszystko co błyszczące, ale w tym śmietniku znalazły się także prawdziwe klejnoty. Co chwila odkładałem na bok coś nowego. Uszkodzony złoty naszyjnik z diamentem. Trochę złotych zapinek do płaszczy. Srebrne bransolety, kolczyki i brosze. Maleńki pucharek - bardzo brudny, ale chyba złoty; kamień w surowym stanie - prawdopodobnie krwawnik, parę oszlifowanych brył bursztynu jak pięści, sporo opali i granatów. Niespodzianie znalazłem coś białego, spiczastego, długiego jak dłoń. Obróciłem to bezmyślnie w rękach. Głowę miałem zajętą świeżo zdobytym majątkiem.

- To jest ząb - odezwała się Oura.

- Ząb?

- No, ząb. Smoczy.

No, no... Schowałem go starannie do kieszeni. Zawsze to kawałek smoka. Coś na pamiątkę i do pokazania dzieciom, o ile będę je miał. Wyszukałem jeszcze sporą garść złotych monet - na oko sprzed stulecia, bo na rewersie widniał profil króla Olgaresa - a na końcu głowicę miecza. Nadano jej kształt kształt orlej łapy, a w jej pazurach tkwił wielki czerwony kamień. Nie ośmielałem się nawet marzyć, że mógłby to być rubin. Ta zgrabna kupka świecidełek była więcej warta niż wszystko, co posiadała moja rodzina. Wstyd powiedzieć, zwilgotniały mi oczy. Nie tylko spłacę dług, ale jeszcze sporo z tego zostanie. Już wyobrażałem sobie radość matki i ojca, kiedy zawiozę smoczy skarb do domu! Załata się dziury w dachach, opędzi najpilniejsze potrzeby, na stole częściej będzie mięso. Kupię matce nową suknię i płaszcz, a ojcu...

- Schowaj to - burknęła szorstko Oura, wrywając mnie z marzeń. - I chodź ze mną. Chcę

ci coś pokazać.

- Ale tu są dwa smoki! - zaprotestowałem, zawijając klejnoty w zapasową koszulę. -
Lepiej, żebyśmy się stąd szybko wynieśli.

- Rozmawiałam z nią, nic nam nie zrobi - odparła Oura i już szła między drzewa.

- Z jaką „nią”? Z tym szarym smokiem? - dopytywałem się, goniąc tę nieznośną elfkę. - Ja
go widziałem! To była „ona”?

- Oczywiście że „ona”! Ale ty jesteś tępy!

- Nie jestem tępy!

- Jesteś. I do tego grubiański. Dostałeś złoto i nawet mi nie podziękowałeś.

Miała rację. W końcu nikt inny, tylko ona mnie tu przywlokła. Wyraziłem więc swoją
wdzięczność w wytwornych słowach, co jednak wypadło mało szykownie, bo Oura nie
raczyła się zatrzymać. Gnała przed siebie, jakby ją wściekły pies gonił, i musiałem lecieć za
nią z wywieszonym językiem. Zatrzymaliśmy się dopiero na skraju znajomego wąwozu.

Dziewczyna w milczeniu wskazała palcem w dół. Na dnie parowu leżało nieruchome
cielsko kolekcjonera. Widziałem już w życiu tyle trupów, że umiałem je rozpoznać na
pierwszy rzut oka. Smok nie udawał ani też nie spał - był po prostu martwy. Martwy jak
kamień.

Przyszła mi do głowy głupia myśl, że mógłbym mu odciąć głowę i w ten sposób
zaoszczędzić na spłacaniu jaśnie pana Gryzmoła.

- Jeśli to zrobisz, złamię ci kark - warknęła Oura takim tonem, że ciarki mi przeszły po
krzyżu. Jak się domyśliła, co mi się uroiło?

- Wcale nie chcę... - mruknąłem. - Co mi przyjdzie z łba tego ścierwa? Tylko się
zaśmiardnie w drodze.

- On miał imię. Nazywał się... - powiedziała Oura surowo i wydała odgłos, jakby ryczący
byk zakrztusił się w połowie smętnego „myyyyyy”. - Po waszemu to znaczy „Ciepły-Miękki-
Piasek”. Za młodu pewnie był miłszy - dodała.

Muszę przyznać, że szczeka mi opadła. Nigdy mi w głowie nie postało, że smok może
mieć imię, jak człowiek. Od razu jakoś smutniej mi się zrobiło.

- Gdyby miał rodzinę, przyszliby tu, żeby go pożegnać - ciągnęła dziewczyna żalobnie. -
Opowiedzieliby sobie całe jego życie, żeby go dobrze pamiętać. A potem by go zjedli...

Zjedli..! Ona była po prostu niemożliwa, ta Oura!

- Okropne... - wymamrotałem.

- Okropne - przytaknęła, a głos jej dziwnie drżał. - Okradliśmy go i serce mu pękło z
rozpaczy. Zabiliśmy go!

Poczułem się niewypowiedzianie głupio. Smok z imieniem i rodziną... a raczej bez rodziny... jak sierota...

- E tam... Nie umiera się z takich powodów - bąknąłem. - On na pewno umarł ze starości.

- Tak my...ślisz na...prawdę?

Pomroczniało już tak, że wszystko zrobiło się szarobure.

Nie widziałem dobrze twarzy Oury (tylko oczy jej świeciły w mroku jak kotu, niby dwa złote pieniążki), ale zdawało mi się, że płacze. Nie wiedziałem, jak się pociesza smutne elfki, ale chyba tak jak zwykle dziewczyny. Objąłem ją niezdarnie, pogłaskałem po włosach.

- Nie płacz. On już po prostu był stary. Wyglądał, jakby żył tylko z przyzwyczajenia. Kiedyś musiał umrzeć i akurat teraz wypadło. Jutro możemy mu zrobić pogrzeb, jak ci na tym zależy. Przykryję go kamieniami albo co...

Robota zapowiadała się mordercza, ale byłem na to gotów. No cóż, w końcu coś się chyba staruszkowi ode mnie należało za ten skarb.

Oura westchnęła, pociągnęła nosem.

- Nie trzeba. Niech tak zostanie. Wystarczy, że go będziemy pamiętać.

- Nie zapomnę tego smoka do końca życia - zapewniłem, a mówiłem najszczerzą prawdę.



Pierścień
dla bestii

Karczma nazywała się Pod Wesołym Zającem, ale wszyscy mówili Pod Piszczącym Zającem, bo blaszana wywieszka nad dźwierzami dyndoliła się od byle powiewu i skrzypiała tak niemiłosiernie, że miało się do wyboru oszaleć albo przywyknąć. Może dlatego piło się tu więcej niż gdzie indziej - aby się znieczulić. Akurat ja piłem umiarkowanie, nauczony smutnym doświadczeniem z panem Gzygzołem z Raveln. W zgodzie ze świeżo nabytym rozsądkiem nie chciałem też pokazywać, że mam za dużo pieniędzy. Nie brak pocziwców, którzy z dobrego serca ulżyliby mym kieszeniom, bym się nie podźwigał.

Drugą moją zgryzotą, zaraz po piszczącym szyldzie, był kot. Owo rzadkie zwierzątko zafundował sobie onegdaj właściciel Zająca. Ponoć jakiś cudzoziemiec zapłacił część rachunku czarno-białym kociakiem. Skubaniec a to łąził po stołach i maczał wąsy w kuflach, a to znów czaił się na belce pod powalą i pacał łapą po głowach przechodzących pod spodem. Nic by mi to nie wadziło, ale kot z niepojętych powodów mnie sobie upodobał. Zasypiał mi na bucie i nie mogłem się ruszyć, bo drapał i wydobywał z siebie pełne urazy „mooooouuuuu...”, a karczmarz podejrzewał, że krzywdzę jego ulubieńca.

Trzecią zgryzotą była Oura.

Ukradkiem przeglądałem się w wypolerowanym kuflu cynowym, czy czasem nie zaczynam siwieć z tego wszystkiego, ale wyglądało na to, że włosy mam tak samo bure jak zawsze. Zaraz pierwszego dnia jakiś podpity żartowniś klepnął Ourę w tyłek. Obejrzała się, jakby trochę zdumiona... i zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, oddała. Czyja wspominałem, że rusałki są piekielnie silne? Lunęła go przez łeb, aż tamten pooo-le-ciał. Całe szczęście, że wyorał gębą niegorszą bruzdę w piachu, co to nim jest podłoga wysypana. To tak rozbawiło jego kompanionów, że zapomnieli o srogiej zemście. I bardzo dobrze, bo nie uśmiechała mi się bijatyka pod dachem. Nie dość, że ciasno do robienia żelastwem, to już bym się Pod Zającem pokazać nie mógł. Chyba że miałbym koniecznie życzenie dostawać szczyzny w piwie. Ubawieni najemnicy postawili Ourze kufel najmocniejszego elberskiego. Wypiła i nawet okiem nie mrugnęła. Anim się obejrzał, a zaczęły się pojedynki na gorzałkę. Rusałeczka moja brała wszystkich jak tylko chciała, a wygrane srebro przynosiła mnie. Niezła z tego korzyść, ale ciągle niepokoiłem się, czy się cierpliwość bywalcom Zająca nie skończy i czy nie zechcą nas splawić rzeczka w żelaznych kołnierzach.

A czwartym zmartwieniem był sam tajemniczy pan Gzygzoł z Raveln. Nie miałem zielonego, bladego ani w ogóle żadnego pojęcia, jak on wygląda. Tam, gdzie w mej głowie powinny tkwić sobie wydarzenia z poprzedniego miesiąca, ziała wielka dziura. Tylko spisany dokument, który palił mi kieszeń, świadczył o popełnionej głupocie. Pierwszy raz chyba się zdarzyło, aby dłużnik z utęsknieniem oczekiwał wierzyciela, ale może już tak gdzieś zostało

zapisane, że nic u mnie nie ma iść powszednią drogą. Tak więc siedziałem w karczmie i czekałem, licząc na to, że jaśnie pan Gryzmoł sam mnie znajdzie i rozpozna. Okazało się, że miałem rację.

Jakoś tak na trzeci dzień po upływie terminu zakładu w gospodzie pojawił się niepospolity gość. Akurat siadłem gębą do drzwi, dlatego zobaczyłem go od razu, jak tylko wszedł, i aż w oczach mi się zaćmiło.



To było wstrząsające przeżycie. Do tej pory takie umaszczenie widywałam wyłącznie na wielkich, śmierzdzących żukach. Przybysz miał wściekle zielony brzuch... to znaczy kaftan, a na ramionach okrycie w barwie oranżowej (równie jaskrawej) z czarnymi ozdobami. Od patrzenia na ten zestaw kolorów oczy uciekały w tył czaszki. Jego sposób poruszania natomiast sygnalizował coś takiego, co u nas zostałoby odczytane bezbłędnie jako „jestem największym i najważniejszym samcem, spróbuj tylko zrobić coś nie tak”. Zerknęłam na Erila... oj, nie... Eril nie był dominującym samcem. Powiedziałabym, że raczej stara się jak najmniej rzucać w oczy - w tym swoim wyszarzałym kubraku i z włosami w kolorze zajęczego futra. Mało mówił, mało się ruszał i zajmował mało miejsca. Gdyby był smokiem, to pewnie u nas jadłby jako jeden z ostatnich. Mimo to wzrok dominanta wyłuskał go z tłumu błyskawicznie.

- Aaaa...! Witam pana ze Stabort! Cały? Żywy? A gdzie mojasmocza skóra? Cha, cha, cha! Nie podobał mi się już w pierwszej chwili, ale kiedy się odezwał, to już go po prostu zniecierzyliłam. Wyobraźcie sobie, że był to nie kto inny jak ten obleśny robal, który zamówił u Erila smoczą głowę! A dokładniej: MOJĄ!!!

- Pan Raveln... - mruknął Eril bez entuzjazmu, lecz jakby z pewną ulgą.

Pomarańczowy rozsiadł się obok nas. Machnął na mnie ręką.

- Przynieś wina, a żywo! I to najlepszego!

Oczywiście nie ruszyłam się ani źdźbła. Co też on sobie wyobrażał?

- Głucha jesteś, dziewko?!

- Ona tu nie usługuje - odezwał się Eril. - To moja przyjaciółka i nie będzie przynosić niczego nikomu.

Rapetn prychnął z przekąsem.

- Przyjaciółka! Już my znamy takie damy!

- Oddaj mi ten parszywy papier, panie Raveln. Zalatwmy to szybko, bo nie chcę pana oglądać zbyt długo - w głosie Erila pojawiło się coś takiego, że musiałam zweryfikować swoją ocenę. Chyba jednak nie jadłby ostatni, byłby raczej gdzieś w środku hierarchii. Piąty, może nawet

czwarty?

- A masz pieniądze?

Wtedy Eril sięgnął za kubrak, do takiej małej kieszonki, którą sobie wszył od środka, i wyciągnął jedną z tych błyskotek, jakie znaleźliśmy u kolekcjonera. Podał ją tamtemu człowiekowi w zwiniętej dłoni, ale i tak dostrzegłam, że było to złote kółko z lśniąca kulka. Eril nazywał ją perłą. Kiedy w domu wylawiałam sobie z morza małże, to w niektórych muszlach znajdowałam właśnie takie paskudztwa. Nic przyjemnego, kiedy w miękkim ślimaku raptem natrafia się na coś twardego, co utyka między zębami. I pomyśleć, że ludzie uważali tego rodzaju śmieci za cenne. Zwariowana rasa.

- To powinno wystarczyć - powiedział Eril cicho.

- A jeśli uznam, że nie? - odparł tamten, ale już wiedziałam, że jest pod wrażeniem, bo jego myśli gonily jedna drugą jak oszalałe norniki.

- Lepiej, żeby starczyło - warknął Eril.

- Jaką mam gwarancję, że ktoś się nie upomni o ten drobiazg? Razem z moim palcem?

- Jaką masz gwarancję, że nie stracę zaraz cierpliwości i nie zrobię ci drugich ust pod brodą?

Raveln wskazał niedbale kciukiem w stronę drzwi, gdzie stało sobie dwóch drabów w skórzanych kaftanach, nabijanych gęsto ćwiekami. Patrzyli czujnie na „pomarańczowego”, gotowi podejść, gdyby ich tylko wezwał.

Tak to sobie panowie milutko gwarzyli. Okazało się, że właściciel oszalamiającego płaszcza i dwóch przybocznych „psów” nie ma przy sobie potrzebnego dokumentu. Eril zażądał więc spisania nowego, z wyraźnym zaznaczeniem, że już nic nikomu nie jest winien. Mówiłam, że on potrafi być inteligentny, jak tylko mu się chce myśleć. Jednak mimo wszystko to dość irytujące - takie sztuczne podtrzymywanie pamięci za pomocą znaczków mazanych na papierze. Ludzka pamięć jest żałośnie nietrwała. Nie zaciekały mnie te manewry, więc kiedy pokiwał na mnie znajomek, z przyjemnością włączyłam się do zabawy w siłowanie na rękę. Dostawałam za to metalowe krążki, które później mogłam wymienić na mięso. Jeszcze jeden interesujący ludzki obyczaj.



Papier, jaki dostałem od właściciela Zająca, pamiętał chyba jeszcze czasy jego dziadka, a pióro było w niewiele lepszym stanie - podejrzewam, że po prostu wyrwał je gęsi z tyłka i zaostrzył naprędce. Do inkaustu musiałem napluć, bo od długiego stania zgęstniał jak smoła.

Jednakże dawało się tego używać i Raveln (z wyraźnym obrzydzeniem) odnotował, że

mimo niedostarczenia przeze mnie smoczego łba czuje się spleciony „pierścieniem złotym, w ornamenty rżniętym, z perłą białą wielkości ziarna grochu”. Niestety, podpisał się znów jakimś niepojętym zygzakiem i nadal nie poznałem jego imienia. Odcisnął nawet sygnet herbowy w wosku. Dopiero wtedy odetchnąłem. Miałem w tym wszystkim więcej szczęścia niż rozumu. Gdyby nie Oura, już pewno bym oglądał smoka od środka albo poznawał uroki życia banity.

- A tak szczerze... Gdzie pan TO zdobył? - spytał Gryzmoł zniżonym głosem, kiedy już obaj pochowaliśmy swoje skarby: on pierścień, a ja dokument.

Uśmiechnąłem się tylko, patrząc ponad jego ramieniem na Ourę, która wykańczała kolejnego zawodnika w walce na kciuki.

- Tam, gdzie pan by nie odważył się nigdy pójść - oznajmiłem z drwiącym skrzywieniem ust.

Przestał się dopytywać, ale widać było, że dałem mu do myślenia.



Ponieważ nie mieliśmy już nic do roboty Pod Piszczącym Zającem, wyjechaliśmy z Ourą zaraz następnego ranka. Kasztan parsknął rażno, zadowolony, że znów wędrujemy. Wystąpił i wynudził w końskiej zagrodzie. Wpierw chciałem zawieźć Ourę w okolice, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy, ale wołała nadal włóczyć się ze mną. A mnie się z kolei serce rwało do domu, no i na to wyszło, że przedstawię rodzinie rusałkę o dość dziwacznych obyczajach. Wątpiłem, aby przypadła do gustu mej matce, ale nic to...

Kasztan szedł sobie stępą po gościńcu z wodzami puszczonej luzno, a jak mu się spodobało, to od czasu do czasu przechodził w kłusik. Słoneczko świeciło, ptaszki śpiewały, nie miałem żadnych kłopotów i świat był piękny. I raptem, pośrodku całego tego szczęścia, rozległo się gwałtowne drapanie wewnątrz juku i przytłumione „mu-ueeeeeęęęę”. Włosy mi stanęły dęba! Czym prędzej otwarłem torbę, a ze środka wyprysnął na drogę łaciaty, trochę zmechrany kociak. Łatwiej bym uwierzył w istnienie kwiatnych wróżek niż w to, że kot sam się wpakował do mojego tłumoka i jeszcze zapiął sprzączkę.

- Ouuuuuuraaaaa!!!! Ukradłaś kota????!!!!

- Nie - odparła bezwstydnie. - Przecież nie można ukraść czegoś żywego. Sam wszedł do torby i tam zasnął. Chciał z nami pójść.

Złapałem się za włosy z desperacji. Kociak siadł na skraju gościńca i zaczął się tylną łapą drapać pod brodą. Niech to zaraza! Zrobiliśmy tego dnia szmat drogi, a zanosilo się na to, że będziemy musieli wracać po własnych śladach, by oddać owo kosmate cudo prawowitemu

właścicielowi. Jakoś nie bardzo mi się to uśmiechało. Już sama kradzież kota była głupia, ale oddawanie go - chyba jeszcze durniejsze. Lepiej, aby oberżysta myślał, że ten zwierzak sam gdzieś się zawieruszył, bez mojego w tym udziału. W końcu, ileż może kosztować taki kłębek kłaków, nawet sprowadzony z zagranicy? Z pewnością nie aż tak wiele.

Pojechaliśmy dalej, ale kot kicał skrajem drogi za nami, co wyraźnie się Ourze podobało, bo bez przerwy się oglądała i chichotała. Wyglądało na to, że ten cholerny kot dołączył do mojego stanu posiadania zupełnie niezależnie od mych chęci. Na najbliższym popasie włożył mi znów do torby, moszcząc się na zapasowej koszuli. Zacisnąłem zęby i postanowiłem go całkowicie zlekceważyć. Nie będę drania karmił, dotykał ani nawet patrzył na niego - może się zniechęci i powędruje sobie gdzieś.



Eril udaje, że nie lubi tego kota. Kot udaje, że lubi nas, a naprawdę lubi Erilową torbę oraz resztki wędzonej ryby, jakimi go karmię. Wchodzę dla rozrywki w ten ciasniutki umysł i oglądam świat kocimi ślepkami. Zwierzak nie jest jeszcze całkiem dorosły, więc lubi się bawić, a do tego okazał się szalenie ciekawski. Niewiele myśli mieści się w tym małym łebku: pobiegać, podrapać, głodny... niegłodny... coś szura, złapać! Właściwie przypadkiem zauważyłam, że mogę tak wpływać na tego kociaka, żeby robił to, co ja chcę. Podsuwałam mu drobne, nienatrzętne sugestie, a on chyba uważał, że sam wpada na rozmaite pomysły.

- Ten zwierzak jest zupełnie obłąkany! - oświadczył Eril zezgrozą, widząc, jak kot usiłuje łązić na tylnych łapach.



Wiedziałem, że spokój nie potrwa długo. Po prostu czułem to przez skórę. Istotnie, kiedy drugiego dnia podróży zagłębiliśmy się w leśny dukt, nie minęło wiele czasu, a drogę zagroziło nam trzech opryszków na koniach, z dobytą bronią. Rzuciłem okiem do tyłu - dwóch następnych właśnie odcinało nam odwrót, wyłaniając się z zarośli. Natychmiast rozpoznałem w nich najemników z Raveln. Zapewne sam Gryzmoł był także w pobliżu. Spodobał mu się pierścionek i chciał sprawdzić, czy mam coś więcej.

- Oura... zejdz na ziemię i uciekaj - powiedziałem niezbyt głośno.

Na szczęście posłuchała od razu, bez zwykłego gadania „a po co? a dlaczego?”, ale nie uciekała, tylko stanęła przy Kasztanie, rozglądając się czujnie.

- Czego chcą?

- Reszty kolekcji - mruknąłem, w pośpiechu wkładając byle jak hełm i dobywając miecza.

- To im daj i idźmy dalej!

Nieglupi pomysł, zwłaszcza że ja byłem jeden, a ich pięciu. Oury nie liczyłem. To, że potrafiła złamać komuś rękę, miało znaczenie może w karczemnej bitce, ale nie tu - przeciw pięciu drabom z ostrym żelastwem. Nie zostało jednak już czasu na żadne przetargi. Ruszyli z dwóch stron jednocześnie.

Już po chwili zorientowałem się, że nie chcą nas zabić, tylko wziąć żywcem. To mnie jeszcze bardziej niepokoiło. Śmierć mieszka na sztychu miecza - rzecz zwyczajna, ale jak kto zaczyna motać, aby ofiara przeżyła, to można się spodziewać czegoś gorszego niż śmierć.

- Poddaj się! - usłyszałem. Poza wrogim kręgiem ujrzałem tego pomarańczowego parszywca.

- W dupę mnie pocałuj!

Oura zanurkowała pod końskim brzuchem. Nikt jej nie zatrzymywał, widać byłem ważniejszy, niech to zaraza. Spiałem Kasztana i spróbowałem staranować najbliższego jeźdźca. Kasztan to duże konisko, liczyłem, że samym ciężarem zmusi tamtego do cofnięcia się. Przeciwnik całkowicie mnie zlekceważył, z lenistwa albo zwyczajnej głupoty. Odciałem mu dłoń, a potem dźgnąłem prosto w rozdziawioną gębę. To rozwścieczyło resztę tak bardzo, że już nie myśleli o braniu do niewoli. Pewnie by mnie rozsiekali w try miga, gdyby nie przeszkadzali sobie nawzajem. Zdążyłem jeszcze jednego ranić.... a potem zrobiło się ciemno.



Rozległ się świst i coś w rodzaju głuchego „ domg”. Zobaczyłam, jak Erił bezwładnie wali się z siodła wprost pod końskie kopyta. Paznokcie urosły mi same, prawie bez udziału woli. Nie myśląc zupełnie o tym, co robię, rzuciłam się najbliższemu człowiekowi do gardła. Miałam za małe zęby! Rozpacz! Kłapnęłam nimi w próżni. Za to pazurami zdarłam mu skórę z niemal całego pyska. Wrzasnął, poderwał ręce do zalanych krwią oczu, a ja już obróciłam się, warcząc z wściekłości i szukając następnej zdobyczy. Wtedy to zabito mnie po raz pierwszy-

To nie jest przyjemne wspomnienie i niechętnie je przywołuję. Spiczaste żelazo przebiło mnie na wylot - przez żebra, serce - i wyszło aż na grzbiecie. Mieliście kiedy dziurę w sercu? Nie? No to nie życzę tego nikomu. Pompa przestaje działać, krew nie dopływa tam, gdzie trzeba. Ciało robi się miękkie jak meduza, mięśnie odmawiają współpracy, bo organizm decyduje, że natychmiast trzeba przejść na bardzo oszczędnościową gospodarę tlenem i odżywiać przede wszystkim mózg. Tętnice usiłują podjąć pracę serca, przepychają krew na siłę, co jest naprawdę głupawym uczuciem. Te małe drobinki, które każdy ma w sobie, latają jak zwariowane i latają uszkodzenia. No i przede wszystkim... przede wszystkim, to naprawdę przeraźliwie BOLI.

Padłam jak stałam, w jakieś zielska. Tyle że jeszcze głowę udało mi się przekręcić, więc wiedziałam, co robią z Erilem. Wyglądał jak nieżywy - jeszcze bardziej nieżywy niż ja.

Raveln podszedł sobie wolniutko, niedbale zrzucił na ziemię niesioną na ramieniu kuszę. Wiedziałam, że to się nazywa kusza, bo Eril miał taką samą. Pochylił się nad moim chłopakiem z zaciekawieniem.

- Żyje?

- Żyje, wielmożny panie, ino go zamroczyło. Ale oko to wielmożny pan ma jako sokół - podlizzał się jeden z podwładnych.

W ten sposób dowiedziałam się, że Erila nie zabito całkowicie, co przyjąłam ze sporą ulgą.

Kasztan rył ziemię kopytami i pienił się; aż dwóch ludzi trzeba było, żeby go przytrzymać. Uwiesili się na wodzach. Raveln otworzył torbę przy końskim siodle i wtedy prosto w twarz wyskoczył mu nasz kot z wściekłym syczeniem! Tamten mało nie przewrócił się napłecy z zaskoczenia! Gdyby mnie tak nie bolało, ryknęłabym śmiechem.

Złoczyńca w oranżowych kolorkach wybebeszył juki, przeszukał nieprzytomnemu Erilowi kieszenie. Znalazł wszystko, co ukradliśmy stukniętemu staruszkowi z Miedzianki, ale, o dziwo, to go nie zadowoliło. Spod przymkniętych powiek obserwowałam, jak przewieszają Erila przez siodło i gdzieś go zabierają. Byłam ciężko ranna, nie mogłam zrobić nic prócz jednej rzeczy - przykleiłam cienką nić swej jaźni do paskudnego umysłu tego jaskrawego potwora, śledząc cały czas jego ruchy. Tymczasem moje ciało naprawiało się z mozolem. Mogłam tylko czekać.



Moja głowa była bębmem, a ktoś bezlitośnie walił w nią miarowo pałką. Jakiś czas trwało, zanim doszedłem do tego, że nie ma bębna ani tym bardziej bębniasty. Mój biedny łeb wyczyniał takie sztuki po prostu dlatego, że byłem ranny. Kiedy otwarłem oczy, wszystko było rozmazane w różnobarwne plamy. Największa z nich miała kolor wściekle marchwiany. Plama poruszyła się i rzekła:

- Witamy wśród żywych, Stabort.

Aha, Stabort to ja... Myślałem z takim trudem, jakbym głazy przetaczał. A kto mówił...? Jakoś to powitanie nie zabrzmiało przyjaźnie. Rozdyżgana jaskrawa plama przemieniła się nareszcie w siedzącego na pieńku Gryzmoła z Raveln. Obracał w rękach mój hełm. Jeszcze mi chwilami świat pływał przed oczyma, ale dojrzałem, że metal jest wgnieciony z jednej strony. Ktoś mi musiał naprawdę potężnie przywalić.

- Stępionych beltów używa się do głuszenia ptaków i zajęcy. I uważam, że to broń

znakomicie pasująca do ciebie. Bo jesteś szarakiem, Stabort. Szaraczkiem, któremu jakimś niepojętym cudem coś się powiodło.

Rzucił mój hełm w trawę. Na palcach miał oba pierścienie, ten z perłą i ten ze szmaragdem. Spróbowałem się poruszyć - byłem związany. No cóż, czegoż innego można się spodziewać... Nagle przypomniałem sobie Ourę. Rozejrzałem się, ale nigdzie jej nie dostrzegłem. Może jednak zdołała uciec. Na leśnej polanie rozłożono niewielki obóz: namiot, konie, tłące się ognisko, zbrojni zajmujący się jakimiś swoimi sprawami... oraz coś, od czego oprzytomniałem do reszty.

Nie miałem absolutnie żadnych wątpliwości, że widzę następnego członka rodu Raveln. Nie dość, że był podobny z twarzy do Gryzmoła, to gust w ubieraniu przedstawiał bodajże jeszcze gorszy. Miał na sobie długą fioletową tunikę, lamowaną taśmami koloru dyni. Jaskrawozielone nogawice na dole i żółty beret na górze. Całość nowa, bardzo wytworna oraz przyprawiająca niemal o ślepotę. Podeszedł, zmierzył mnie taksującym spojrzeniem i zacmokał przez zęby z niesmakiem.

- Ordynarny. Tak... zdecydowanie ordynarny.

No wiecie...? Może i nie jest ze mnie największy cud tego świata, ale z pewnością nie zasługiwałem na coś takiego.

- Ojfinesie, czy naprawdę musiałeś go masakrować? Ojfines? Nic dziwnego, że podpisuje się nieczytelnym zygzakiem! Nie wytrzymałem i parsnąłem śmiechem. To był błąd. Jaśnie pan Ojfines wstał z pieńka i (zupełnie nie zmieniając miny) kopnął mnie z całej siły w bok. Straciłem oddech na długą chwilę, coś trzasnęło - chyba pękające żebro - a może tylko mi się zdawało.

- Nie zmasakrowałem go, braciszku, jeszcze nie. Zmasakrowany będzie, jak z nim skończę.

Fioletowy zamachał rękami, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Nie chcę tego oglądać! To rani moje poczucie estetyki! Zawsze wszystko ubabrzysz krwią!

No tak, mogłem się założyć, że ten pierwszy cacuś w dzieciństwie otwierał brzuchy szczeniętom, żeby zobaczyć, co mają w środku. A jeśli drugi tego nie robił, to pewnie dlatego, że wolał je dusić - jedwabną wstążeczką.

Braciszek „marchwiany” pochylił się nade mną.

- Może być dwojako: z bólem albo bez bólu. To już zależy od tego, czy masz w głowie coś więcej niż wióry. A więc... skąd masz klejnoty?

Oczywiście, że nie miałem trocin zamiast rozumu.

- Smok zdechł, ale zostawił po sobie skarbiec - odpowiedziałem szybko.

Niech sobie wezmą te świecidełka i idą do piekła, gdzie ich miejsce. RaveInowi zwężyły się wredne oczka.

- Istotnie, to prawdopodobne. Ten zbiór jest wyjątkowo... eklektyczny, więc może i mówisz prawdę. Zaiste interesujące...

Co znaczy „ekleptyczny”? Może zaśniedziały?

- No dobrze, Stabort. Widzę, że jesteś rozsądny. A gdzie jest reszta?

Wytrzeszczyłem na niego oczy ze zdziwienia.

- Reszta? Nie ma reszty. Znalazłem tylko tyle.

- Masz mnie za durnia? Wszyscy wiedzą, że smoki żyją tysiące lat i gromadzą ogromne skarbee. Jeśli faktycznie trafiłeś na coś takiego, to zabrałeś ze sobą zaledwie drobną cząstkę, a reszta leży gdzieś, dobrze ukryta, aż po nią wrócisz, prawda?

- Szukajcie na Miedziance - burknąłem zgryźliwie. - Życzę szczęścia. Na pewno się wzbogacie.

Chciałbym zobaczyć ich miny, kiedy natkną się na sławetny pług, niecznie zagrabiony wieśniakom spod Miedzianki - ta ochota trwała jednak ledwo chwilkę. Tamten parszywiec wyciągnął nóż. Bawił się nim, a minę miał taką, jakby kombinował coś paskudnego. Chyba to samo przyszło do głowy jego fioletowemu bratu, bo odezwał się:

- Przypominam, że on ma być naszym przewodnikiem i do tego powinien być mało sfatygowany. Przynajmniej na razie.

Piękne dzięki.

- Bez uszu albo bez paznokci da się przewodniczyć - warknął Oj fines. - A ich brak znakomicie odświeża pamięć.

- Masz tak mało finezji, że zmieściłaby się w skorupce jajka, Oj finesie. Jak kochasz krew, to sobie kup rzeźnię. Pan Stabort będzie znacznie chętniejszy do rozmów, kiedy sobie wypocznie na słońeczku. Godzinę albo dwie...



Z dziurą w sercu da się przeżyć, to już mówiłam. Co nie znaczy jednak, że jest to przyjemne. Zanim te małe cosie skończyły naprawy, tak osłabłam, że potem mogłam tylko czółgać się na brzuchu. Musiałam odnowić zapasy energii, przede wszystkim się najeść, ale jak tu upolować cokolwiek w tak beznadziejnym stanie? Uświadomiłam sobie, że czuję woń krwi. Miałam szczęście. Zlizywałam krzepnące krople z chwastów - smakowały kurzem i były niewiarygodnie smaczne. Nos mówił mi, że gdzieś w pobliżu jest mięso. Kot błądził po lesie - już go nie prowadziłam, zajęta

ważniejszymi sprawami. Czułam tak silny głód, że prawie wariowałam. Z wysiłkiem pełzłam do źródła zapachu, które okazało się trupem, było jak przysypanym cienką warstwą ziemi.

Nie, zwykle nie jadam ludzi. Ich mięso jest mdłe, mało wartościowe, a w dodatku nie wiadomo, czy jedzenie traktować jak posiłek, czy może jak pogrzeb. Rozumiecie - oni jednak myślą. Nie było to może szczególnie moralne, ale miałam do wyboru - zdechnąć z głodu albo nagiąć zasady, ratując zarówno siebie, jak i przyjaciela.



Nie wiem, który z nich był gorszy. Szli chyba łeb w łeb. Odpoczynek na słoneczku znaczył tyle, że na rozkaz fioletowego braciszka Ravelna pacholki rozciągnęły mnie między dwoma kołkami wbitymi w ziemię - na samym środku polany, w upale, od którego mózg się gotował w czaszce. Miałem na końcu języka, że fatyga jest zbyteczna. Starczyłoby, żebym jeszcze trochę musiał popatrzeć na to słodkie rodzeństwo. Kolory ich ubrań po prostu wypalały oczy. Pewnie pod koniec dnia błagałbym, żeby podcięli mi gardło. A na razie smażyłem się powolutku. Żar ział z nieba jak z kowalskiego paleniska. Słońce raziło nawet przez zamknięte powieki. To zatem się nazywało „finezja”, szlag... widać owo mądre słówko znaczyło właśnie gotowanie człowieka żywcem. Wiedziałem, że długo nie pociągnę. Torturowali mnie, nawet się przy tym nie fatygując. Siedzieli sobie w cieniu pod drzewami, popijając wino. Życzyłem im udławienia i nagłej śmierci. Jedyne, co mogłem zrobić, to przekręcić głowę i zasłonić jedno oko ramieniem. Za to piekło mnie w ucho. Co jakiś czas popatrywałem na drzewa i gorzko żałowałem, że nie jestem dębem... albo chociaż najpodlejszą osiką. Stałbym sobie w chłodku i nie wiedział nic o skarbach, smokach ani o ludzkiej podłości.

I właśnie wtedy zobaczyłem kota. Wpierw myślałem, że mi rozgorączkowana łepetyna szwankuje, ale kociak nie znikał. Pełzł wolniutko między wypłowiałymi trawami i był coraz bliżej. Upał dawał się we znaki także mym oprawcom. Wszyscy drzemali, nikt nie zauważył małego zwierzaka. Kocur tymczasem podlaźł tuż do mnie. Rozglądał się, węszył. Wdrapał mi się na pierś i nieznośnie łaskotał wąsami po szyi.

- Sio! - wyszeptalem. - Wynocha! Poszedł won!

Ale kot nie miał zamiaru się odczepić. Ząb, jaki znalazłem w smoczym legowisku, omotałem już dawno rzemieniem i nosiłem na szyi jak talizman. Gryzmołowi jakoś nie przyszło do głowy sprawdzać, co mam za koszulę. Może dlatego, że tak bardzo zajął się zawartością kieszeni. Poczułem, jak kociak ostrożnie skubie zębami ten rzemień.

Przewędrował mi bezczelnie po twarzy, wlokąc go za sobą. W ten sposób ściągnął mi smoczy wisiołek przez głowę i zaniósł go aż do rąk przykrępowanych do kołka. W jednej

chwili uznałem, że ten kot to cud przez niebiosy zesłany. Smoczy ząb nie był może bardzo duży, ale krawędzie miał ostre, żłobkowane jak piła. Gdyby mnie Gryzmoł z braciszkiem kazali zawiesić na gałęzi, miałbym już kompletnie zdrtwiałe ręce, a tak zachowałem w nich jeszcze nieco czucia. Zdołałem schwytać ząb palcami i zacząłem mozolnie piłować sznur.

Kocham tego kota, myślałem przy tym bezładnie. Uwielbiam. Wezmę go ze sobą. Kupię sobie drugiego kota. Dziesięć kotów... będę miał mnóstwo kotów. Kocham koty...

Kociak przyczaił się w kępie trawy i patrzył zielonymi ślepiami na to, co robię.



Mój organizm w szybkim tempie trawił mięso, którym wyładowałam żołądek. Byłam ociężała, ale w coraz lepszej kondycji. Podążyłam kocim tropem, czując, jak z każdą chwilą wstępują we mnie nowe siły. Gdzieś przede mną lśniły emanacje ludzkich myśli - ci, których miałam zabić; i Eril, wciąż na szczęście żywy, ale unieruchomiony w samym środku wrogiego stada. Trzeba tylko zadbać o to, by nie ucierpiał w wyniku nieszczęśliwego wypadku. A planowałam, co tu kryć, czyny krwawe.

Kociak łatwo dawał się prowadzić. Nawet łatwiej, niż się spodziewałam. Nabrałam otuchy.

Dotarłam na miejsce tuż po tym, jak Eril uwolnił ręce. Miałam nadzieję, że poradzi sobie dalej sam. Ja potrzebowałam swoich starych zębów, mocnych szczęk i pazurów. Przyczaiłam się w gęstym poszyciu i zabrałam do pracy. Zmuszone mą wolą wiązania komórki pękały. Ciało, uwolnione z tymczasowego kształtu, przybierało formę praoceanu, z którego wyszliśmy. Wsiąkałam w ziemię, jadłam ją całą sobą, zagarniałam i zmuszałam do tego, by stawiała się mną. Czyż nie jest tak, że zwierzę, roślina, woda i kamień są krewnymi? Kształtowałam siebie samą, łącząc ze sobą milion milionów elementów, tak by każdy znalazł swe miejsce. Czerpałam ciało z ziemi, wilgoć krwi z powietrza, a gdy wreszcie otworzyłam oczy... wszystko dookoła było mniejsze.



Nie byłem taki głupi, żebym od razu próbował zerwać się na równe nogi. Ukradkiem rozcierałem nadgarstki, aby przywrócić w nich czucie. Napinałem mięśnie, właściwie nic mnie nie bolało, poza głową i żebrami, gdzie trafił mnie but Gzygzoła. Nie sztuka lecieć na oślep w las, dać się złapać natychmiast i znów dostać po łbie. Kusiło mnie, by dostać się do Kasztana. Rozglądałem się i czekałem na stosowny moment. Ten piekielny upał obezwładniał nawet w cieniu. Razem z Gryzmołem i jego braciszkiem naliczyłem coś z dziesięciu ludzi. Więcej niż połowa się pospała, a pozostałym też niewiele brakowało.

Łeb mnie bolał i troszkę mi się świat rozmazywał chwilami. Ale dopiero kiedy zobaczyłem wyłażącego na polanę smoka, doszedłem do tego, że muszę być bardzo ciężko chory. Ciekawe, jakie to przedziwne rzeczy lęgną się w potłuczonej głowie. Przyglądałem się smokowi, wyglądał znajomo. Chyba ostatnio miałem za dużo do czynienia ze smokami, stąd te majaki.

Smoczysko rozpostarło skrzydła, przygarbiło się i zawarczało głucho, obnażając kły. Odpowiedział mu straszny odgłos - coś jakby powolne zarzynanie osła. Mimo woli poderwałem się z ziemi i obejrzałem. Stali tam dwaj pacholki. Ślepia omal nie wyskoczyły im z głowy, gęby rozwarli jak wrota stodoły. Jeden zgrzytał właśnie jak zarzynany. Drugi złapał dech i rozdarł się:

- SMOOOOOOOOOK!!!

Niespodzianie zrobiło mi się zimno. Smok... ożeż... kur... TO ONI TEŻ GO WIDZĄ?!

Potem wszystko poszło bardzo szybko. Smok przeskoczył mi nad głową. Jakimś cudem udało mi się jednym cięciem uwolnić nogi. Bestia wpadła między ludzi, siejąc spustoszenie. Pobiegnę do Kasztana, który wraz z innymi końmi szalał z przerażenia. Ktoś na mnie wpadł. Zupełnie nie myśląc o tym, co robię, dźgnąłem go w gardło tym ostrym kawałkiem kości, który ciągle trzymałem w ręku. Upuścił miecz, złapał się za szyję. Kopnąłem go jeszcze na wszelki wypadek i obaliłem na ziemię. Z jego bronią od razu poczułem się pewniej. Na polanie trwała straszliwa jatka. Na moich oczach smok odgryzł głowę Gryzmołowi, aż krew chlapnęła wielką strugą na ten jego ohydny płaszcz. Fioletowy braciszek próbował ucieczki, ale na swe nieszczęście przebiegł za blisko mnie. Ciąłem go w kark i padł jak kwiatek pod kosą. Smok był tak szybki, że nie dało się rozeznaczyć w jego ruchach. Chyba nikt nie zdołał uciec. W mgnieniu oka było po wszystkim.

Smok obrócił ku mnie zakrwawiony pysk. Mocniej zacisnąłem palce na rękojeści miecza. Cofałem się krok po krocisku, chociaż tak naprawdę nie miałem żadnych szans. Potwór patrzył wciąż na mnie, oblizując sobie nos, a potem powiedział:

- No, no... nie wygłupiaj się.

Właściwie było to „no no... ne fyghufjaj sie”, bo z taką paszczą trudno mówić po ludzku. Potem pomyślałem sobie, że ten smok jest naprawdę bardzo podobny do psa... potem, że tak właściwie to wcale się nie boję... a potem raptem ziemia skoczyła mi do twarzy i przywalila w zęby, aż mi w oczach pociemniało.



Miałem najgłupszy sen w życiu. Śniło mi się, że jestem ciastem. Takim ciastem na chleb, a

matka wyrabia mnie w dzieży. Oczywiście ciasto ust nie ma, więc nie mogłem oprotestować takiego traktowania. Uciekłem, wykopiałem na podłogę, a gospodyni mnie cap z powrotem i dalejże miętosić...! Oprzytomniałem na tyle, że ten dumny sen uleciał, ale miętoszenie trwało. Podniosłem powiekę i zobaczyłem nad sobą ogromniasty, wilgotny nos. A potem coś wielgachnego, ciepłego i mokrego przejechało mi po twarzy. Brrrrr... Obrzydliwe!

Miejsce nosa zajęło duże, czerwone oko. Zrozumiałem, że gapi się na mnie smok.

- Tylko nie rób głupstw - usłyszałem. - Tyle czasu jesteśmy już razem, że nie powinieneś uciekać jedynie dlatego, że wyglądam inaczej niż zwykle.

Głowa mnie nadal bolała, ale już mniej. Trochę mnie mdliło. Zobaczyłem, że na smoczej łapie przycupnął kot - był żywy, nienaruszony i nawet wyglądał na zadowolonego. Przez długą chwilę przetrawiałem to wszystko, w końcu spytałem (a zabrzmiało to dość żałośliwie):

- Oura...???

- Tak, tak... nareszcie dotarło do ciebie, że nie jestem rusalką - rzekła kwaśno.

Ano, nie była rusalką, ale czy nie można się pomylić? Czy ja się znam na rusalkach? Czy ja się znam na smokach?! Smok był od tego, żeby napadać na pasterzy i kraść im owce, i od tego, żeby zbierać klejnoty. Nikt mi nigdy nie mówił, że smok czasami okazuje się gadatliwą babą, co liczy nogi robalom, a do tego może przepić drużynę drwali. Takich mądrości to mnie nie uczono!

Jakby mi kto coś takiego opowiadał, tobym w życiu nie uwierzył... siedzieć sobie wśród lasu i gawędzić ze smokiem! To znaczy ze smoczyką. Sam sobie nie wierzyłem, aż musiałem jej dotknąć. Nos miała taki aksamitny jak końskie chrapy, a futro grube i miękkie jak wilczura zimą.

- I co teraz? - zapytałem niepewnie.

Jakoś dziwnie mi było. Taki szmat czasu razem. Ze smokiem! Z bestią krwiożerczą! Jadłem z nią i spałem, i gadałem całymi godzinami. Śmialiśmy się czasem jak szaleńcy z jakichś głupot. I to miał być ten straszny, okrutny smok? Może i jest straszna, zwłaszcza jak się wścieka, ale nie okrutna, na pewno nie.

- Teraz chyba wrócę do domu - odrzekła, rozglądając się wokół.

Też się rozejrzałem. Dokoła leżało pełno trupów, a nad nimi już zaczynały latać muchy. Rzeczywiście lepiej szybko odjechać. Przede wszystkim odnalazłem zwłoki Gryzmoła i ściągnąłem mu oba pierścienie z paluchów. Potem przejrzałem toboły w poszukiwaniu swojej własności. Przy okazji znalazłem kilkanaście weksli dłużniczych, które świadczyły, że Raveln nie tylko mnie podle naciągnął. Z niekłamaną przyjemnością spaliłem wszyściutkie. Było tam też kilka mieszków ze złotem i przywłaszczyłem je sobie bez najmniejszych wyrzutów

sumienia. Należało mi się za rozbity łepetynę, za powolne gotowanie we własnym pocie i za grabież. Poza tym musiałbym być kompletnym durniem, gdybym je tu zostawił. Ale jakoś nie budziło ono we mnie żadnych mocnych uczuć. Jeszcze niedawno bym szalał z radości, że mi się taki majątek trafił, a tymczasem ledwie zajrzałem do kalet i wrzuciłem je do swej torby. Pomyślałem, że dobrze, bo dachy nam przeciekają na potęgę, więc trzeba je naprawić przed jesiennymi słotami.

Pierścienie były bliźniacze - zupełnie takie same złote obrączki ze wzorem - tylko jeden był z perłą, a drugi z okrągłym szmaragdem osadzonym w pazurkach. Coś mi zaświtało, jak na nie patrzyłem. Oura nigdy nie chciała żadnego udziału w łupach, a przecież bez niej niczego bym nie zyskał. Nie zależało jej wcale na jakiegokolwiek błyskotce. To ona zaprowadziła mnie na Miedziankę i nikt inny, tylko ona uratowała mi życie. Nawet dwa razy - w smoczym jarze i tutaj. Coś jej się za to należało, cokolwiek. Uciałem spory kawałek sznura ze znalezionej zapasu, nanizalem na niego pierścień z perłą i poszedłem do Oury, która beztrąsko bawiła się z kotem.

- Myślę sobie, że powinnaś to wziąć - powiedziałem, podnosząc ten dziwaczny wisior w obu rękach.

- Nie potrzebuję - odrzekła, ale nadstawiła głowę, żebym mógł przeciągnąć jej pętlę przez uszy i kark, aż do nasady szyi, gdzie pierścień utonął w puchatym futrze.

- To na pamiątkę - wyjaśniłem. - Co prawda daje się pierścionki żonom, no ale nie możesz... to znaczy mogłabyś, gdybyś była dziewczyną, lecz smoki... ech!

Machnąłem rękami bezradnie. Zaplątałem się w tym wszystkim głupio i wolałem nie brnąć dalej. Przecież jasne było, że nie ożeniłbym się ze smoczycą, nawet jeśli potrafiła się zmieniać w dziewczę także ponętne, jak i niegłupie.

- Rozumiem. Ja i tak będę cię pamiętać. Zawsze. Nigdy ciebie nie zapomnę, Eril, bo my, smoki, wszystko zachowujemy w pamięci. Przedmioty są nieważne, ważne są wspomnienia.

Ja też będę ją pamiętał do końca życia.. Takich rzeczy się nie zapomina.

- Właściwie dlaczego mi pomagałaś? Przecież chciałem cię zabić.

Niedbale polizała łapę.

- Nudziłam się. Byłam samotna. Jesteś miły. Może nie za mądry, ale miły. Miałaś kłopoty, czemu nie miałabym ci pomóc?

Czułem wręcz, że w głowie mi się coś przekręca. Nigdy już nie będę w stanie myśleć o smokach jak o bezrozumnych, łapczywych bestiach, nigdy! Może mnie kto uzna za szalonego, ale więcej znalazłem w Ourze całkiem ludzkich zalet niż w takim chociażby Bazgrole z Raveln, który był zwykłym bydlęciem, mającym pozór człowieka.



Rozpętałem wszystkie konie i pogałem je w las. Jakoś sobie poradzą. Brać je z sobą byłoby nierozsądnie, choć każdy pewnie sporo kosztował. Nie daj Panie Młota, by ktoś przypadkiem rozpoznał je jako przynależne do braci Raveln! Dość miałem kłopotów.

Kasztana prowadziłem krótko przy pysku, bo ploszył się i rzucał łbem, zaniepokojony tym, że smoczyca idzie tuż za nami. Kot siedział mi na ramieniu, hurkotał jak młynek, a od czasu do czasu wycierał się o moje ucho. Zabawny zwierzak.

Oura eskortowała nas do drogi.

- Bywaj, Oura. Dziękuję. Będę pamiętać.

- Oczywiście. Do zobaczenia.

I po prostu rozeszliśmy się w przeciwne strony. W jedną niedorobiony zabójca smoków z obrączką na palcu, cha, cha, cha... a w drugą bestia z klejnotem na szyi. Nie był to ślub, ale wiedziałem, że gdziekolwiek pójdę, cokolwiek będę robił, cień Oury będzie mi towarzyszył. Będę ją czuł za plecami i napełniało mnie to dziwną otuchą.



Zaraz, co ona powiedziała? „Do zobaczenia”?! O niebiosy...!

Część III

SAGA O LUDZIACH
MOO-U



PROFESJONALNY
ZABÓJCA SMOKÓW

Wójt wsi Lubawa stał na ulicy szumnie zwanej Główną i, zadzierając głowę, z niejakim trudem odcyfrowywał litery na szyldzie.

- M...

- O...

- D...

- Mod. - Wójt zmarszczył krzaczaste brwi i z frasunkiem podrapał się po potylicy. Jako człowiek bywały w świecie znał słowo „moda” i wiedział, że oznacza kiecki, czepeczki i takie tam różne fatalaszki, stanowiące treść życia jego żony i córek. Źle trafił? Wszak dopytywał się w mieście o smokobójcę i wszyscy kierowali go właśnie tutaj. Nawet wywieszka się zgadzała - smok był na niej wymalowany jak ta lala, całkiem do prawdziwego podobny. Ale co miała moda do smoków czy smoki do mody? Smoki w kieckach nie chodzą. Może miastowi kpili sobie z kmiotka i to jednak krawiec? Raz kozie śmierć, wójt postanowił wejść do środka. Zadyndolił dzwoneczek, trącony drzwiami. Wewnątrz było więcej smoków, co wójt dostrzegł z niejaką ulgą. Znaczy się tu nie krawiec i nie szewc, choć podobnież tradycja taka, że szewce mogą być za smokobójców. Ciekawostka, że rzadko który z tej tradycji korzystał... Smoki wisiały wszędzie na ścianach: wymalowane na kartonach, rzezane w drewnie, a nawet wypchane pakułami - same łby, rzecz jasna, bo całe smoczysko to, ho-ho, ani by się w izbie nie pomieściło.

- Domokrażcom dziękujemy!

Wójt aż podskoczył z zaskoczenia, bo zapatrzywszy się na owe dziwności, nie spostrzegł panienki za stołem, póki się nie odezwała. A głosik miała taki, że szkło mógłby ciąć. Grzecznie uchylił kapelusza.

- A to i ładnie, że panienska im dziękuje. Wszak fach to ciężki, tak łązić cały boży dzień - powiedział.

- Nie potrzebujemy sznurówek! - rzuciła znów panienska nerwowo, patrząc na torbę podróżną, którą wójt dzierzył pod pachą.

- Mnie też na nic, bo ja buty wciągane mam. - Tupnął obcasem. - Ja wedle tego, no... smoka.

- Panienska poderwała się z miejsca, a przybysz zobaczył ze zgorszeniem, że nie ma na sobie kiecki czy spódnicy, jak nakazywała przyzwoitość, tylko skórzane portki.

- Nijakiego odszkodowania nie będzie! Smok i smok! Czy już każdy w tym pieprzonym mieście myśli, że jak mu zginie kura, to zrobił to Ciapek?! - wydarła się, aż wójtowi w uszach zadzwoniło. - Zarejestrowany jest legalnie! I grzeczny! Od rana tu siedzi, nigdzie sam nie

lata! - Palec wrzaskliwej panienki wskazał ką, gdzie na sienniku spał duży kosmaty pies. Psisko, słysząc swoje imię, zastrzygło uchem i poklepało ogonem w ścianę.

- No właśnie, zawsze wszystko na mnie - odezwał się pies, otwierając jedno czerwone oko.
- Ja już normalnie mam dość.

Podniósł się, przeciągnął, ziewając, i dopiero wtedy mężczyzna zobaczył, że wysuwa pazury jak wielki kot, a z grzbietu sterczy mu skrzydło - tylko jedno, na dodatek jakby krzywe i niewydarzone.

Wójt mało nie rzucił o podłogę kapeluszem.

- Ja też mam dość, kurna bladź! Nie o tego tu kundla mnie się rozchodzi, ino o mojego smoka.

Paniusia w portkach zaraz stanęła prawie na baczność i wytrajkotała:

- Czym możemy służyć? Miejski Oddział Drakonizacyjny świadczy usługi w szerokim zakresie. Proszę opisać zaginionego smoka, czy miał znaki szczególne, czy był zarejestrowany w naszej kartotece...

- Ale... - chciał wtrącić nieszczęsny wójt.

- ...numer ewidencyjny, miejsce zaginięcia. Ewentualnie rejestracja hodowli...

- Smok woła mi zeżarł! - wrzasnął wójt. Dziewczyna i kaleki smoczek zrobili identycznie zaskoczone miny.

- No, Luśka, normalnie tu się kroi coś grubszego - powiedział mały smok. - Smok? Wól? Nie może być. Panie, toż to zombak musiał być.

- Właśnie - potwierdziła panienka, nazwana Luśką. - Zombak, wyvern albo i w ostateczności pofrunka. Pan sobie popatrzy na plansze. Tak wyglądał? A może tak? Pan żeś go widział w ogóle?

- No żeby tak całkiem blisko, to nie - odpowiedział wójt mniej pewnie. - Swój rozum mam, by pod pysk smoku nie podłazić. Ale widzi mi się, co ani taki nie był, ani taki też nie...

- Pokazywał kolejno palcem na łuskowaty łeb wywerna i knurzy szablastozębny ryj zombaka.

- Latający on jest.

- To może to? - zapytała panienka z nadzieją, podsuwając mu obrazek z pofrunka.

- Eeee... nie, takie małe to nie było.

- Panie, małe, bo na obrazku wymalowane. Patrz pan na ludzika z boku dla porównania.

Klient rozzłościł się raptem.

- A wam to się zdaje, że jak ze wsi, to głupi! Oczy mam! Mówię przecie, że za mały. Taka popierdułka to by może kota połkła, a z bydlęcia ostał się jeno łeb i kołatka. Co nie zeżarł, to gdzie zawlókł. Mnie woła, sąsiadowi kożę, gęsi tyż się nie moglić doliczyć. I mnie się

widzi, co ten zasrany złodziej był taki jak ten tu mądrała - wójt wskazał młodego smoka - ino większy.

Pracowniczka MOD-u i jej czterołapy kolega popatrzyli na siebie z rezygnacją.

- Jakiś niezarejestrowany bęcwał albo staruszek z demencją robi szkody w terenie - zawyrokował Ciapek.

- Poślemy z panem kogoś - powiedziała Luśka, biorąc ze stołu jakieś papiery i przeglądając je szybko. - Ciapek, kto jest wolny? Brysk Trzy Trawki?

- Urlop okolicznościowy. Żeni się - odparł Ciapek natychmiast.

- Skonan Oberżyna?

- Na zjeździe hodowców pofrunki miniaturowej, jako konsultant. Wraca za tydzień.

- Jednooki Kocur? Ifryt? Pierwiosnek?

- W terenie.

- Bezlitosna Luana?

- Rodzi za dwa miesiące, masz to w jej karcie - warknął Ciapek.

- Faktycznie... To kto został, u licha?

- Mikel... - bąknął smok, spuściwszy uszy.

Oboje popatrzyli na wójta Lubawy jak gdyby z lekką konsternacją.

- Mikel... Aha... - zastanowiła się Luśka. - Mikel... Świetnie, niech będzie Mikel.

- A coś z nim nie tak? - zapytał wójt podejrzliwie.

- Skąd?! Wszystko w porządku! Profesjonalista! Z dyplomem! - zaprzeczył Ciapek gorliwie. Aż nazbyt gorliwie.

- To ja przygotuję dokumenty! - Luśka zakrzętała się. - Pan tu siądzie, proszę. Funkcjonariusz Ciapek, sprowadzić smokera Mikela w celu przyjęcia zadania.

Czworonogi funkcjonariusz zawrócił do tylnych drzwi, w których wycięto otwór z klapką. Kiedy mijał wójta, ten przysiągłby, że zwierzak mruknął cicho:

- Tylko nie pozwól mu śpiewać.



Tajemnicze słowa funkcjonariusza Ciapka niebawem się wyjaśniły, a wójt trafiał raz po raz najjaśniejszy szlag. Nie żeby miał coś przeciw smokerom, skąd. Podobnie jak kowal, pastuch czy, z przeproszeniem, rajfurka - tak i smoker ma swoje miejsce na świecie. Wójt klarował sam sobie, że bez owego „moda” pewnie ze smokami by było więcej kłopotu niż teraz. I nawet prawo dozwalało usługi smokobójcy odliczyć od podatku. Niemniej Mikel irytował go i niepokoił, choć wójt próbował tego nie okazać.

Przede wszystkim według jego pojęcia - za młody! Smokobójca powinien być jeszcze nie stary, ale już w latach, doświadczony, ogorzały, o twarzy surowej i poblížnionej, z czupryną przetykaną srebrnymi nitkami siwizny. I wójt wcale by się nie pogniewał, gdyby nosił dajmy na to naszyjnik ze smoczych zębów. Tymczasem Mikel był smarkaczem, którego chyba jeszcze niedawno bakałarz lał trzcina ą po łapach. Co prawda wysoki, ale za to dość chudy, o biżuterii ze smoka można zapomnieć; włosy smoker miał jasne jak len, długie, związane na karku w małą kitkę, a że (nie ma co ukrywać) skręcały się w loczki, więc smokobójca wyglądał, jakby nosił na głowie królika z puchatym ogonkiem. Sytuację niewiele poprawiał wielgachny miecz, który Mikel taszczył na plecach.

- To na smoki? - zapytał wójt na początku znajomości, usiłując wzbudzić w sobie minimum szacunku dla profesjonalnego zabójcy smoków.

- E, nie - odparł tamten pogodnie. - Ten jest na ludzi. Na smoki, zombaki i inne paskudztwo mam garłacz i kusze. Ani myślę podłazić za blisko.

Nie można odmówić słuszności takiemu rozumowaniu, widać chłopak był rozsądny, ale jego zalety na tym się kończyły. Po pierwsze: już na pierwszym popasie okazało się, że smoker nie jada mięsa, bo jest „wegorianem” czy jakoś tak. Z godnością wyjaśnił wójtowi, że zabijanie zwierząt „w celach pokarmowych” jest niemoralne. I on niemoralnej kiełbasy jeść nie będzie, aczkolwiek wójt sobie może ją niemoralnie spożyć, bo Mikel jest tolerancyjny. Tyle że wójtowi ta kiełbasa stawała w gardle i mało się nie zadławił, patrząc, jak smoker konsumuje chleb z marchewką. To wegoria-coś tam było jakąś strasznie głupią religią.

Po drugie: Mikel uwielbiał śpiewać, ale nie miał do tego najmniejszego talentu. Nie upłynęło wiele czasu, a wójt marzył, by obciąć smokerowi język albo sobie uszy, najchętniej to pierwsze.

Przez niemal całe dwa dni, jakie trwała podróż do Lubawy, nieszczęsny wójt musiał wysłuchiwać zawodzonych fałszywie karczemnych przyśpiewek, romansów i smokerskich ballad. Koń Mikela, duży gniady wałach, widać był przyzwyczajony do obyczajów pana, gdyż z filozoficznym spokojem człapał po gościńcu, za to wójtowa klaczka, zaprzężona do wózka, co rusz ploszyła się, kładła uszy i powożenie kosztowało dwa razy więcej wysiłku niż zwykle.

A kiedy wreszcie dotarli do Lubawy i wójtowa wraz z czterema mizdrzącymi się córkami zaczęła nadskakiwać tyczkowi smokobójcy, wójt stracił cierpliwość ostatecznie. Dziewuchy zamknął na skobel w izbie, nakazawszy przebieranie fasoli, którą sam przedtem ukradkiem w komorze wymieszał z grochem. A smokera wysłał spać do stodoły na siano, napomniawszy go, by od rana brał się do roboty, bo jak się okazało, podczas niebytności

wójta smoczysko znów poczęstowało się, tym razem dwiema kurami, a trzecia padła trupem ze strachu i wylądowała w garnku, choć świetnie się przedtem niosła. Same straty.

Połowica wójta była wielce zgorzozona takim brakiem gościnności.

- Chybaś się w chlewie chował, Wanaro - pomstowała. - Gościa do stodoły, że też tego dożyłam. Choć na wieczerzę go zawołam.

- Marchwi mu w ogródku urwij - warknął wójt. - Chędożony królik... I szałwi naparz, bo mi się widzi, co on mocno niezdrów jest. Na rozumie.

Ostatecznie jednak smoker musiał się zadowolić zasmażaną kapustą, dzbankiem mleka i kawałkiem ciasta.



Mikel niespecjalnie przejął się nastawieniem swojego pracodawcy. Ludzie już tacy są, że trudno im przyjąć nowe idee, a wójt Wanaro nie odbiegał od przeciętnej. Ot, po prostu jeszcze jeden mały człowieczek z ciasnym horyzontem, co grzebie się w ziemi, niewiele poza tą swoją ziemią widzi i w końcu w tejże ziemi pochowany będzie. Jadał padlinę, a na dodatek nie lubił muzyki. Człowiek nie jest przecież z samej swej natury stworzony do jedzenia mięsa, widać to choćby po zębach - nie ma takich kłów jak pies, wilk czy, daleko nie szukając, smok. Smok posiada odpowiednie wyposażenie, by zabijać i zjadać inne zwierzęta. Może oprócz hodowlanych... Tam gdzie zaczynał się regulamin MOD-u, kończyła się filozofia. Natomiast Mikelowe uzębienie natura przystosowała do mordowania rzepy i na rzepie zamierzał poprzestać. Przynajmniej jeśli chodzi o zęby, bo garłacz to już co innego...

Robota na początku wydawała się prosta. Co prawda szkodnik należał niby do tych latających, ale smoker z zasady nie dowierzał opisom świadków. Za każdym razem podnosili krzyk: „Smok, smok!”, a potem wychodziło na jaw, że ma się do czynienia z zabłąkanym wywernem, błuszczycą lub wręcz naziemnym zombakiem. Do ulubionych historyjek w MOD-zie należała ta o rozhisteryzowanej damie, której „smok” pożarł kanarka, po czym okazało się, że była to po prostu zgłodniała pofrunka miniaturowa. Uciekła niedbałemu hodowcy i błąkała się po okolicy, nie wiedząc, co ze sobą począć. Ofiary w ludziach, owszem, były: wezwany smoker, płacząc ze śmiechu, potknął się o kocią miskę i nabił sobie guza na czole.

Tutaj zapewne grasowało coś większego od pofrunki, nawet dzikiej, ale Mikel, kierując się doświadczeniem, wiedział, że to wcale nie musiało być to, co w podręczniku było podpisane jako „lengorchiański smok właściwy”. Ludzie po prostu najczęściej widzieli to, co chcieli widzieć. Dlatego należało obiekt zwabić, obejrzeć na własne oczy, a potem dostosować

działania do rasy i okoliczności.



Wójt miał powody do narzekań. Ostatecznie płacił - więc wymagał. Tymczasem „profesjonalista” włóczył się po okolicy i robił sztuki. Gapił się dokoła przez jakąś rurę, rozwieszał na krzakach kawałki lusterek i zdechłe ryby, a specjalnie wystarał się o takie, co to nawet by już ich świnia nie ruszyła. Wszystko śmierdziało tą cholerną rybą pod niebiosa. I co? I nic.

A teraz usadowił się łobuz na miedzy i się próżniaczy. Wójt poczuł, że nie zdzierzy, pójdzie i dzieli smokera w ten kędzierzawy łeb. Mikel siedział na trawie ze skrzyżowanymi nogami, nieruchomym wzrokiem patrzył przed siebie i głęboko oddychał.

- No i co tak sapie, he? - odezwał się wójt nieprzyjaznym tonem.

- Medytuję, panie Wanaro - odparł smoker spokojnie.

- O wa, medytuje. A o czym to?

- O życiu, panie wójcie. I o śmierci.

Smokobójca wyciągnął coś zza pazuchy i podał wójtowi, nadal patrząc przed siebie.

- A to co? - spytał ten nieufnie, biorąc pakiecik starannie obszyty irchą.

- A takie tam, dyspozycje. Jakbym nie wrócił, to trzeba odesłać do MOD-u, że zginąłem, a oni się zajmą resztą.

Wójtowi zrobiło się głupio i nie wiedział, co powiedzieć. Jakoś zapomniał o tym, że smokerska robota do najbezpieczniejszych nie należy. I po karku można dostać, i nie wrócić do domu też.

- Mielicie rację, to lengorchian - ciągnął Mikel. - Większy niż wyvern, szybszy od zombaka, no i rozumem równy człowiekowi. Choć temu pewnie akurat rozum się trochę ze starości zabełtał, dlatego szuka łatwego łupu na waszych pastwiskach. Ale to nie znaczy, że będzie łatwo.

Wójt usiadł obok smokera.

- Taki jak ten u was w izbie?

Mikel kiwnął głową.

- Tak, taki sam. Tyle że Ciapek jest nadal smarkaty, ma dopiero ze czterdzieści lat. Ale jeszcze urośnie i będzie miał nowe skrzydła. Przygarnęliśmy go, bo jakiś bydlak uznał, że bez skrzydeł lepiej się sprzeda. Drugiego małemu odrąbać nie zdążył, bo mu Ciapek urwał łapę aż do łokcia.

- Przeżył?

- Za daleko nam było do medyka - odrzekł Mikel wymijająco.

- To ja... wam papiórki przechowam. Jak wrócicie, to se odbierzecie - powiedział wójt nieporadnie.



Mikel siedział na dębie. Nie żeby akurat lubił zabawy w wiewiórkę, ale nie od wczoraj wiadomo było, że na grubych, rosochatych drzewach smoker jest najbezpieczniejszy. Nie od wczoraj - konkretnie od czasu kiedy sławny (w pewnym sensie) smokobójca o przydomku Miękkooki Jo w panice wdrapał się na drzewo, uciekając przed rozjuszonym wywernem. Jak się okazało, wywern w żaden sposób nie mógłby się dostać do niego ani od góry, ani od dołu właśnie z powodu gałęzi, o które zwierz zaczepiał skrzydłami i kaleczył delikatne błony lotne. Co prawda Jo spędził na jesionie niemal dwa dni, zanim wywern zrezygnował i przestał na niego czatować, ale był to przewrót w metodologii polowań na smokowate.

Na sęczkach, w zasięgu ręki Mikela, wisiały rozmaite narzędzia pracy. Dwie kusze, zapas strzał, starannie posegregowanych według wielkości i rodzajów grotów. A na kolanach smoker piastował naładowany garłacz z groźnym ryjem, zdolnym w jednej chwili pluć śmiertcioną chmurą siekańców, zmieniających nawet najgroźniejszy zębaty pysk w zakrwawioną sieczkę.

Uśmiechnął się na wspomnienie gospodarzy, zdziwionych, że smoker poza swoim małym arsenałem nie ma pancerza albo chociaż kolczugi. Ech, jak to się ludzie nie znają. Pierwsze, co kładzie się nowicjuszom do głowy, to to, że blachy w tej profesji właśnie zawadzają. Zbroja w bezpośrednim starciu nie uchroni smokera ani przed kłami wywerna, ani tym bardziej szablami zombaka, za to spowolni i odbierze możliwość obrony. A w lżejszej kolczudze, owszem, można iść na pofrunkę - o ile chce się wyglądać jak idiota, polując w zbroi na zwierzaka o rozmiarach zwykłego wilka.

Świtało, niebo widoczne między liśćmi jaśniało, nabierając bladego popielnego koloru, w dole snuła się poranna mgła. W zagłębieniu między korzeniami dębu spała kaczka z głową pod skrzydłem. Mikel poprawił się na gałęzi, wycelował i upuścił na ptaka niedojrzały żołędź. Kaczka obudziła się i kwaknęła krótko. W porannej ciszy zabrzmiało to jak trąbka alarmowa.

- Jeszcze raz, ptaszku - szepnął smoker, przygotowując następny pocisk. Kaczka otrząsnęła się i próbowała oddalić kolebiącym kroczkiem, ale nie pozwolił jej na to sznurek, którym była przywiązana za łapkę do pobliskiego krzaka ostrężyny.

- Kwa-kwak - odezwała się znowu z urazą.

- W lasku opodal krzaczka siedziała sobie kaczka...

Kaczka kichnęła i zamajtała ogonkiem.

- No, no... Tylko nie kichaj na smoka, jak przyleci, bosię do ciebie zniechęci - mruknął smokobójca.

Rozejrzał się, sprawdzając jednocześnie, czy naoliwiona szmata, chroniąca zamek gadacza przed wilgocią, daje się łatwo ściągnąć jednym ruchem. Coś mignęło w dole, więc smoker napiął mięśnie, ale był to tylko lis, czający się na smoczą przynętę. Mikel ostrożnie odłożył garłacz i sięgnął do kieszeni po procę. Lis, trafiony żołędziem w zadek, natychmiast zrejterował. Gdyby był człowiekiem, pewnie potem całymi latami by opowiadał o karzącej ręce boga. Zdenerwowana kaczka rozkwakała się na dobre, Mikel mógłby się założyć, że miota w kaczym języku paskudne przekleństwa, szarpiąc się na sznurku. Tym lepiej - im będzie głośniejsza, tym prędzej zjawi się tu oczekiwany smok. Trochę strzelania, potem tak zwany „cios łaski” i będzie po wszystkim. Chyba że pojawi się to, co wykładowcy nazywali „czynnikami chaosu”, a terenowi smokerzy mówili: „Wiesz, zawsze może się coś popierdolić”.

Mikel ziewnął, aż go zabolaty szczęki. Jedną z gorszych stron profesji smokera były nieregularne godziny pracy. Ale z drugiej strony, jako kupiec zbożowy - co przewidywali dla niego swego czasu rodzice - pewnie zanudziłby się na śmierć. Siedzenie na dębie i czatowanie na smoki zdawało się jednak ciekawsze niż liczenie worków. Młodzieniec wyjął z kieszeni marchewkę i zaczął chrupać dla zabicia czasu.

Smok nadszedł niespodzianie, robiąc nie więcej hałasu niż wietrzyk wiejący między gałązkami. Pod drzewem, w prześwitach między zielenią, przesunęło się czarne jak smoła futro. Mikel delikatnie odwinął szmatę z zamka broni. Smok stanął przed kaczką, jakby zastanawiając się - zjeść czy nie zjeść? Kaczka znieruchomiała, udając wypchaną. Smokobójca wycelował starannie w przerwę między gałęziami.

Pokaż oczka, kochasiu. Podnieś buzię... - pomyślał, kładąc palec na spuście. Gdyby udało mu się trafić zdobycz w ślepią, reszta byłaby już właściwie formalnością.

W tejże chwili smok jak strzała prysnął w gęsty podszyt i tyle go Mikel widział. Smoker zaklął paskudnie i mruknął pod nosem:

- Wyczuł mnie, skubaniec...

Raptem nad jego głową rozległy się trzaska jakby na koronę dębu zwałił się jakiś ciężar. Z groźnym warkotem zwierzęce cielsko usiłowało się precyzyjnie przez zwartą osłonę gałęzi. Mikel poderwał lufę i wypalił w górę, wrywając siekańcami spory otwór w zieleni.

- Pudło! Pudło! - usłyszał z góry złośliwy okrzyk.

Przysunął sobie kuszę bliżej i zaczął na nowo ładować garłacz. Spodziewał się smoczego

sklerotyka, ze starości już słabo orientującego się w rzeczywistości, nieco przygłuchego i niedowidzącego, tymczasem złośliwy los podsunął mu przypadek najbardziej fatalny, a mianowicie młodego buntownika bez powodu. Zwykle smoki trzymały się swoich rezerwatów lub, podobnie jak Ciapek, doskonale koegzystowały z ludźmi. Czasem nawet całkowicie wtapiały się w ludzkie społeczności, transformując w człowiecze ciała i sąsiedzi nawet nie wiedzieli, że ten czy ów mag, masarz lub rzemieślnik w swej naturalnej postaci ma pikę w kłębie, ogon i wielkie zęby. I doskonale czyta w myślach. Zdarzało się jednak, że jakiś smoczy niedorostek, siedem-dziesięcio-, osiemdziesięciolatek nudził się i wyruszał na poszukiwanie przygód i rozróby.

- Jaki masz numer?! - wrzasnął Mikel, ubijając ładunek w lufie wyciorem.

- Zgadnij! - odparł smok drwiąco.

- Jako funkcjonariusz Miejskiego Oddziału Drakonizacyjnego aresztuję cię w imieniu króla! Za zakłócanie porządku i notoryczne kradzieże trzody - spróbował Mikel, kończąc opatrywanie garłacza.

- Posól się - odrzekł smok.

- Że co?

- POSÓL!

- Chyba „pieprz się”?

- Jak ci wygodniej - parsknął smok gdzieś spomiędzy zieleni.

Przez parę minut był spokój i w smokerze już zaczęła kiełkować nieśmiało nadzieja, że smoczy młodzik sobie poszedł. W przeciwnym razie istniały realne szanse, że Mikel powtórzy wyczyn Miękkookiego Jo, a marchewek nie starczy mu na długo. Ostrożnie, z garłaczem w rękę, zszedł trzy gałęzie niżej, by się rozejrzeć. Wielka paszcza zniecka wyprysnęła ponad krzaki jeżyn oraz młode dębczaki samosiejki i mały włos, a smoker przeszedłby do historii jako Jednonogi Mikel.

- Urwałeś mi obcas, świnió!

Ciesz się, że ci nie urwałem czegoś jeszcze, ty pachołku rasistowskiego reżymu. Morderco niewinnych!

Trzeba przyznać, że smokera na chwilę zatkało.

- Ja jestem mordercą?! Ja?! A kto mnie tu dopiero co chciał zeżreć? Ty czy błogosławiony Kicjan, patron królików? Hę?!
- A kto mnie chciał zastrzelić? I to za co? Za spacer po lesie! Tylko dlatego, że jestem smokiem! To rasizm i gatunkizm - odpyskował smok.

- Wcale nie jestem rasistą - zaperzył się smoker. - Mam kumpla w pracy, też smoka. A ty

zszedłeś na drogę przestępstwa, kolego!

- „Ja? Ja, drogi »wcale-nie-rasisto«, jestem istotą nieograniczoną waszymi śmiesznymi zasadami i numerkami, jestem swobodnym duchem” - rzekł smok godnie, bezpośrednio łącząc się z umysłem rozmówcy.

- Co ty kombinujesz? - zapytał smoker podejrzliwie, próbując wypatrzeć w zieleni lśnienie czarnej sierści. Cholerne smoczysko zadziwiająco dobrze maskowało się w lesie.

- „Nic” - odparł smok niewinnie.

- To czemu przeszedłeś na wymianę myśli? Po to, żebym cię nie słyszał i nie wiedział, skąd mnie podchodzisz. Nie ze mną takie numery. Widziałeś kiedy, co potrafi zrobić garłacz? - warknął smokobójca, rozglądając się czujnie z bronią gotową do strzału.

„Poczekam do nocy, aż zaśniesz, i ściągnę cię z gałęzi”.

- Potrafię dość długo nie spać - odparł Mikel.

„Ja umiem nie spać trzy doby, a ty ile, człowieku?”

- Trzy doby! - prychnął smokobójca pogardliwie. - Jak zakuwałem do egzaminów, to nie spałem trzy tygodnie! Ty mnie tu nie strasz.

„Kłamiesz”.

- Zaledwie odrobinę koloryzuję.

Tym razem smok zaatakował z boku, wypatrzywszy lukę pomiędzy dwoma konarami, i ryzykując uszkodzenie skrzydła. Czarna paszcza pojawiła się tak szybko, że Mikel nawet nie zdążył się przestraszyć. Odruchowo zasłonił się lewym ramieniem, poczuł ból rozcinanej skóry, a w następnej chwili zadziały odruchy, wpajane mu podczas nauki w akademii - przystawił wylot garłacza do pyska bestii.

„Starczy, że zacisnę zęby” - przekazał smok.

- Ssstarczczczy, że nacissnę ssspust. Zdddążę, zarręczzczam - wykrztusił Mikel, czując, jak zimny pot spływa mu do oczu.

Smok zazezował na broń. Sytuacja była patowa. „Nie boję się. Nie dasz rady mnie tym zabić”. Mikel odetchnął głęboko, usiłując opanować szczękanie zębami.

- Z tej odległości? Prost-to w oko? Wiesz, jaka to będzie mę-k-ka? Regeneracja potrwa wiele godzin, a jeśli pocisk przejdzie przez czaszkę do mózgu, to nic cię nie uratuje. Z-zabiorę cię ze sobą d-do grobu.

Smok warknął, a Mikel wzdrygnął się, oczekując trzasku łamanej kości i palącego bólu w odrywającym ramieniu. Nic takiego jednak się nie stało. Sądząc z ustawienia uszu, smok był zakłopotany. Należało to inteligentnie wykorzystać.

- Masz chyba jakieś imię?

Czerwone oko lypnęło na niego podejrzliwie. Czarna źrenica rozszerzyła się lekko.

- Ja się nazywam Mikel - ciągnął smoker. - Mam dwadzieścia dwa lata. Od trzech lat pracuję w MOD-zie.

„Po co ty mi to mówisz?”

- Mam nadzieję, że mnie jednak nie zabijesz. Trochę głupio zjeść kogoś, z kim jest się po imieniu, prawda?

„Na imię mam Śnieg” - odpowiedział smok. Nawet w myślach nie brzmiało to zbyt entuzjastycznie.

- A, rodzice usiłowali być oryginalni? - domyślił się smoker. - Posłuchaj uważnie, Śnieg. Puścisz moją rękę, a ja odsunę broń. Inaczej możemy tak tu siedzieć do jesieni. Tobie chyba też nie jest wygodnie, jak tak się wczepiasz w drzewo niby przerośnięty wiewiór.

„Jak cię puszcze, to ty mnie zastrzelisz” - przekazał Śnieg nieufnie.

- Nie zrobię tego. W ogóle nie chcę cię zabijać, bo jesteś tylko głupim smarkaczem. Masz koło siedemdziesiątki, a ja nie krzywdzę dzieci. Po prostu pójdziesz grzecznie do wsi, podasz swój numer rejestracyjny i załatwimy sprawę odszkodowania za zjedzone zwierzaki.

„Dlaczego miałbym cię słuchać?”

- Bo inaczej wpadniesz w większe kłopoty niż teraz.

Smok rozluźnił uścisk potężnych szczęk i bardzo powoli cofnął łeb. Mikel podniósł lufę. Krew ściekała mu po rękawie i czuł, że ma problemy z poruszaniem palcami, ale może to było chwilowe.

- Wcale nie muszę cię słuchać! - ryknął nagle smok. Uszy przyległy mu płasko do łba, a źrenice zwęziły się złowrogo w pionowe kreski.

Smoki są szybsze od ludzi, lecz tylko trochę. Krzyk smokera i huk wystrzału zabrzmiały prawie równocześnie.

Smokobójca osuwał się po pniu, znacząc go smugą krwi. Z dołu, spod dębu usłyszał jeszcze buntownicze:

- Jesteś tylko człowiekiem, głupim słabym człowiekiem!



Czarny lengorchian zniknął z okolicy, zabierając sobie na pamiątkę kaczkę spod dębu, a za to zostawiając trochę krwi na ściółce. Choć Mikel nie miał czasu celować, garłacz odznacza się przyjemną cechą dużego rozrzutu. Widać smok doszedł do wniosku, że nie warto dalej się narażać MOD-owi. Nie było dowodu wykonanej roboty w postaci kosmatych zwłok, ale wójt uznał, że zamówiony smokobójca tak czy inaczej zlecenie wykonał. Ostatecznie nie wypadła

kłócić się z rannym, odbierającym swoje dokumenty jedną ręką.

Mikel zyskał w MOD-zie przydomek Szczęściarz, bo zaiste trzeba mieć ogromne szczęście, by wykpić się z takiej przygody lekkim pogryzieniem i utratą palca.

Potem się ożenił.

Potem dorobił się czterech synów.

Ale żaden z nich, ku frustracji ojca, nie chciał zostać smokerem.



Zabójcy smoków
- NASTĘPNA
GENERACJA

Alwaid obserwował notariusza, a w jego duszy kiełkowało ziarno niepokoju. Jako buchalter, obeznany zarówno z liczbami, jak i przypisanymi do tych liczb ludźmi, widział, że prawnik jest zaniepokojony i zmieszany, choć starał się to ukrywać. Trzej bracia Alwaida, siedzący obok niego, chyba tego nie zauważyli.

Tymczasem mężczyzna monotonnym głosem odczytywał prawnicze formułki przepisowo zamieszczone na wstępie testamentu, co chwilę popatrując na słuchaczy. W końcu odchrząknął i powiedział:

- Dyspozycje pana Mikela Pol-Morane są, ekhm, krótkie i jasne. Mianowicie: „Spadkobiercą lub spadkobierczynią wszystkich moich ruchomości oraz nieruchomości ustanawiam tego członka rodziny, który dostarczy odpowiedniej komisji powołanej w miejscowym Oddziale Drakonizacyjnym głowę czarnego smoka”.

Po tych słowach zaległa głucha cisza. Gdyby w komnacie przypadkiem znalazła się mrówka, byłoby słyhać, jak tupie. Zdawało się, że powiało lodowatym zimnem i nawet czas zamarzył. Nagle rozległo się przeraźliwe, a żalosne „brdiaaaaggg” - to miłośnie piastujący na kolanach swą lutnię najmłodszy syn spadkodawcy szarpnął przypadkiem strunę, i dopiero to przełamało czar.

- Ja śnię! - wrzasnął najstarszy, Dracon, zrywając się na równe nogi. - Obudźcie mnie! To jest cholerny sen!

- Spokojnie... uspokój się, proszę... - Wyweron złapał go za rękaw i usiłował ściągnąć z powrotem na krzesło.

Najmłodszy z towarzystwa chyba wciąż był w szoku, gdyż przyciskał do piersi lutnię, z miną nie całkiem przytomną, jakby oberwał przed chwilą w twarz pomidorem.

- Mam się uspokoić?! Po tym, co usłyszałem? Nie szarp mnie, bo ci przywalę!

Alwaid postanowił przyjść z pomocą bratu. Wspólnymi siłami przytrzymali Dracona, a Wyweron zakneblował go własnym beretem, tak że najstarszy z braci Pol-Morane mógł zdobyć się tylko na stłumione protesty.

- Czy... mógłby pan... nam to... wyjaśnić? To jakiś dowcip? - wystękał Alwaid, siłując się ze stawiającym opór Draconem. - Przestań, bo ci usiądziemy na głowie! - dodał na użytek brata.

Dracon sapał nadal z wściekłością przez nos, ale przestał się miotać.

Notariusz wyglądał na jeszcze bardziej zakłopotanego niż wcześniej.

- Dokument został złożony w naszej kancelarii prawie trzydzieści lat temu.

Alwaid uniósł brwi. Trzydzieści lat temu nie było na świecie żadnego z nich, a jego ojciec chyba nawet nie zaczął zalecać się do matki.

- Kilka miesięcy temu pan Pol-Morane wspominał o spisaniu testamentu, ale nie zdążył złożyć żadnych dyspozycji, gdyż... wiadomo, co zaszło - ciągnął prawnik. Bracia pokiwali głowami. Posiadanie ojca smokera oznaczało między innymi to, że człowiek szybko przywykał do myśli, iż jego rodzic może zostać zjedzony. Co też się i stało, niestety.

- Osobiście mam wrażenie, że o tym pierwszym dokumencie zapomniał - dodał notariusz zniżonym głosem.

- To by było do niego podobne - podsumował Wyweron z goryczą.

Alwaid dokonał szybkiego obliczenia w pamięci.

- Chwileczkę, musiał mieć wtedy... Jakieś dwadzieścia dwa albo trzy lata. No tak, słynna historia ze smokiem, który odgryzł mu palec!

- Chciał się zemścić na smoku? W taki sposób? - zdumiał się Wyweron.

- Dracon wreszcie zdołał wypluć beret.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? Spójrzmy prawdzie w oczy, nasz ojciec był stuknięty! Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby nazwać dzieci: Smok, Wywern i Celofan!

- Cellofan - sprostował najmłodszy z urazą. - To mama wymyśliła. Bardzo dobre imię, artystyczne.

Zirytowany Dracon wywrócił oczami.

- Przecież to jest zupełnie bez sensu! Chyba da się podważyć ten głupi papier?

- Obawiam się, że nie - odrzekł notariusz ze współczuciem. - Spadkodawca nie wykazywał oznak obłądu, cokolwiek by o nim sądzili spadkobiercy. - Spojrzał w stronę naburmuszonego Dracona. - *Imposibillium nulla obligatio*¹⁷, ale dostarczenie smoczej głowy jest jak najbardziej możliwe. Choć oczywiście trudne.

- „Trudne” to złe słowo. Raczej: niebezpieczne, śmiercionośne i kompletnie obłąkane! Żaden z nas nie jest zabójcą smoków. I nie mamy zamiaru tego zmieniać.

Notariusz chyba powoli zaczynał mieć dosyć. Wstał zza stołu i zaczął porządkować papiery.

- Testament mówi o dostarczeniu smoka, a nie o własnoręcznym zabiciu. Możecie panowie wynająć profesjonalistę - rzekł sucho. - Proszę, tu jest kopia dokumentu.

- Niech pan chwilę zaczeka.. A ile właściwie wynosi ten nieszczęsny spadek? - Alwaid jak zwykle był praktyczny.

- Rzeczywiście - zgodził się notariusz. - Panowie wybaczą, mnie ta sprawa również wytrąciła z równowagi. - Wyłowił z pliku dokumentów właściwą kartę. - Dokładnej wyceny

majątku jeszcze nie dokonano, ale mogę podać ogólne liczby. Trochę tego jest. Obligacje bankowe wartości trzech tysięcy koron. Posiadłość ziemską pod Birą, oddana w dzierżawę - przynosi dochód średnio tysiąca trzystu koron rocznie. Niewiele, ale regularnie. Złożony w Northlandzkim Banku Gospodarczym depozyt, klejnoty obecnie o wartości rynkowej około dwóch tysięcy koron...

- Pamiętaj! - ucieszył się Cellofan. - To z tego smoczego skarbcza, naszyjnik dał mamie, a resztę...

- Cicho! - ofuknęli go bracia.

Ich najmłodszy braciszek był czasem dość denerwujący. Wydawało się, że żyje w jakimś całkiem innym świecie, a tu i teraz jest tylko przelotnym gościem.

- ...udziały w handlu drewnem - dywidendy wartości około siedmiuset koron, nieruchomości pod wynajem w Kodau, o łącznej wartości dwóch, dwóch i pół tysiąca koron plus zysk z czynszów. Oraz udział w wytwórni, ekhm... zabawek...

- Mniej więcej sześćset koron - wtrącił ponuro Wyweron, który był tejże wytwórni właścicielem. Ku jego goryczy najlepiej sprzedawały się miękkie, szyte z aksamitu smoki. Szły jak woda.

- Razem to daje ponad dziesięć tysięcy koron! - podsumował Alwaid, który sprawnie podliczał wszystko na bieżąco w pamięci.

Część z tego stanowiło dziedzictwo po dziadkach, ale i tak suma była całkiem imponująca.

- Tak, tak... dobijaj mnie - rzekł Dracon posepnie.

- Czy to na pewno musi być lengorchiański smok? - Alwaid usiłował znaleźć jakąś lukę w zapisie.

- Czy to w ogóle musi być smok? - wtrącił Dracon zgryźliwie. - Nie mógłby być osioł?

- Czy mogę ci obciąć głowę, Dracze? Jesteś brunetem, spełniasz warunki, te ośle również - warknął Wyweron.

Cellofan brzdąkał na lutni ze zmartwioną miną. Nie lubił, kiedy bracia się kłócili, to było takie prostackie.

- Dziesięć tysięcy, dwa i pół tysiąca na głowę... ożeż w mordę, dlaczego nasz tatko nie był po prostu szewcem albo cukiernikiem...? - żołądkował się Dracon, który na złość ojcu został architektem. - Czyli albo przywlecjemy do tutejszego MOD-u łeb czarnego lengorchiana, albo ten majątek przepadnie na rzecz królewskiego skarbcza?

- Po odliczeniu osobistych długów i zobowiązań spadkodawcy - uzupełnił notariusz. - Pan

¹⁷ Zobowiązanie do świadczenia niemożliwego jest nieważne.

Pol-Morane zostawił kilka niespłaconych rachunków, lecz są to niewielkie sumy. No cóż, nie będę już panom przeszkadzać. W razie czego jestem w biurze i służę pomocą.

- Wygląda na to, że nie ma rady - zagaił Dracon po wyjściu prawnika. - Będziemy musieli upolować tego cholernego smoka. - Łypnął na najmłodszego brata, który zdawał się znów bujać w obłokach, brzdąkając na swoim instrumencie. - Wszyscy, którzy chcą dziedziczyć te dziesięć tysięcy. Celciu, ty też.

- Co ja? - ocknął się Cellofan.

- Polujesz na smoka.

Na twarz młodzieńca wypłynął trudny do określenia wyraz - ni to urazy, ni to zdziwienia pomieszanego z niedowierzaniem. Zmarszczył w namyśle jasne brwi.

- Ale ja jestem uczulony na sierść.



Funkcjonariusz Ciapek rezydował w przybudówce obok siedziby MOD-u. Z wiekiem osiągnął rozmiary małego konia, nie wspominając już o tym, że odrosły mu skrzydła i przeciągając się, zrzucał dekoracje ze ścian. Teraz, siedząc na służbowym sienniku, potoczył czerwonymi ślepiami po swych niespodziewanych gościach. W izbie było ciasno, więc tłoczyli się na jednej ławce, a Cellofan starał się trzymać jak najdalej od smoka. Co kilka minut kichał donośnie.

- Jak wy to sobie wyobrażacie? - warknął lengorchian. - Tak po prostu: iść do kogoś i urznąć mu łeb? Odbiło wam, czy co?

- Jeśli ktoś tu zwariował, to chyba nasz szacownej pamięci ojciec - odparł Dracon. - Po prostu nie zostawił nam innego wyjścia.

- Zabójstwo dla pieniędzy! - W głosie smoka brzmiała okropna pogarda. - Rzeczywiście, nie popisał się. Ale skąd wam przyszło do głów, że tu można wynająć likwidatora, ot, tak sobie?

- Przecież tu pracują smokobójcy?

- A na szyldzie mamy MOD - Miejski Oddział Drakonizacyjny, czy MOPS - Miejski Oddział Pieprzonych Smokomorderców? Pomijając już, że nawet skóry wywerna nie można sobie po prostu zamówić od ręki, to smoka można zlikwidować tylko w przypadku kiedy łamie prawo, zagrażając zdrowiu i życiu sąsiadów. A w tej chwili, chłopcy, nie mamy żadnego zgłoszenia tego rodzaju. Jeśli nawet się zdarzy, to przecież nie zaręczę, że ten potencjalny skazaniec będzie czarny.

- A ten, który zabił tatę? - spytał Cellofan i ponownie kichnął.

- Mikela zjadły wywerny. Piękna śmierć dla smokera, bardzo odpowiednia.

Synowie „odpowiednio zjedzonego” wymienili posępne spojrzenia. No tak, wywerny były zwykle ciemnozielone lub brązowe, nie wspominając już o tym, że w ogóle stanowiły inny gatunek.

- Ale, Ciapek, zrozum... - zaczął znów Dracon i mało nie przewrócił się do tyłu, kiedy smoczy zębaty pysk w mgnieniu oka znalazł się w odległości pięciu palców od jego nosa.

- Dla ciebie *pan* Ciapek, smarrkaczu - warknął funkcjonariusz MOD-u. - I módl się, aby mnie nie doszły słuchy, że coś kombinujecie. Za smocze kłusownictwo kodeks karny przewiduje dwa lata odsiadki i trzysta koron grzywny.



Wyglądało na to, że można się tylko „upić, a potem sobie strzelić w łeb” - według słów Dracona, który był najbardziej impulsywny z całej czwórki. Zaoferował braciom nocleg, wszyscy więc zgromadzili się w jego bawialni w nastrojach dość posępnych.

- Właściwie co to dla nas zmienia? - Wyweron usiłował z zadziwiającym optymizmem znaleźć jakąś jaśniejszą stronę w tej sytuacji. - Ja nadal robię szmaciane smoki, Dracze buduje domy, Alek liczy pieniądze...

- Cudze - wtrącił Dracon ironicznie.

- Swoje też. Mówię o tym, że każdy z nas ma dach nad głową i jakiś dorobek, a ty desperujesz, jakbyś był zmuszony iść jutro na żebrzy.

- Świetnie. Mam się nie przejmować, tylko brać wzór z Cellofana? Brzdąka na tej swojej mandolinie i ma wszystko w nosie, a tymczasem nasza rodzina traci majątek. Uh, gdyby ojciec żył, tobym go udusił własnymi rękami!

- Zamknij się! - powiedział nagle Cellofan ze złością.

Do tej pory siedział cicho w kącie i swoim zwyczajem wygrywał jakieś błahe melodyjki, pozornie zamyślony. Widać jednak słuchał tego, co jego rodzina ma do powiedzenia.

- Dracze, po prostu wstyd mi za ciebie. Zachowujesz się jak kompletna świnią! Tata umarł, a wy macie w głowie tylko pieniądze! Wysłałem dziś list do mamy, ciekawe, czy któryś z was o tym pomyślał. Ona została wdową. I nie wiem jak wy, ale ja się czuję sierotą!

Wstał, demonstracyjnie kierując się do drzwi.

- Idę spać. A w ogóle ten instrument nazywa się lutnia, nie mandolina, ty dyletancie!

- Uau... - odezwał się Alwaid, kiedy za jego najmłodszym bratem zamknęły się drzwi. - To nam wygarnął. Nie bez racji zresztą. Jutro napiszę do matki.

- Tak naprawdę, on z nas wszystkich jest najbardziej podobny do ojca - rzekł Wyweron.
Dracon milczał, wpatrując się w czubki swoich butów.



- Upadliśmy... przerażająco nisko - wysapał Alwaid, idąc ostrożnie po stromej ścieżce, biegnącej wzdłuż nadmorskiego klifu.

- Jeszcze nie - odrzekł Dracon, z obawą spoglądając za krawędź. - I wolałbym nie upadać. O w mordę, jak tu wysoko...

- Upadliśmy w sensie moralnym. Kłusujemy na smoka, w dodatku zagranicznego. Ojca by szlag trafił, gdyby żył oczywiście.

- Gdyby żył, anulowałby ten idiotyczny testament, a my nie musielibyśmy wlec się na polowanie aż do Lengorchii.

- Ja też uważam, że to niemoralne - syknął z tyłu Wyweron.

- Co? Że zubażamy cudzy majątek narodowy? Zostawię im przed wyjazdem większy napiwek w gospodzie. Masz! Przyzwyczajaj się. - Dracon wepchnął bratu do rąk muszkiet, mimo lekkiego oporu obdarowanego.

- Ale ja się czuję nie bardzo... Planujemy zabicie zupełnie niewinnej istoty. Myśląc w dodatku. Ciapiek miał rację...

- Nie jójcz. Po prostu wyceluj tę rurę w smoka i wyobraź sobie, że jest stosem złotych pięciokoronówek. Zobaczysz, jak to pomaga.

- A jak nie trafię...?

Podobne rozmowy bracia prowadzili mniej więcej od sześciu dni, od chwili kiedy postawili stopę na terytorium cesarstwa Lengorchii. Przed nimi rozciągał się błękitny przestwór oceanu, z drugiej strony horyzont ograniczało postrzępione pasmo zachodniego krańca Gór Zwierciadlanych - podobno ostatniego miejsca, gdzie żyły stada dzikich, nieponumerowanych smoków. Trzech smokobójców-amatorów włóczyło się po wybrzeżu, udając przed tubylcami, że polują na foki. Czwarty łąził za nimi w charakterze „ogona”, gubiąc się nieustannie. Starsi bracia na próżno usiłowali wzbudzić w nim zainteresowanie łowiectwem, Cellofan przedkładał podziwianie krajobrazów nad ich barbarzyńskie rozrywki.

- Gdzie ten zatracony minstrel? - zapytał Dracon, zorientowawszy się, że młodszy braciszek znów się gdzieś ulotnił. Zeszli na kamienistą plażę, zawaloną skalnymi złomami, które odpadły z klifu, a teraz cierpliwie czekały na wygładzenie falami przyływów.

- Niedawno jeszcze był za nami. - Alwaid popatrzył w górę, ale nie zauważył Cellofana na stromej ścieżce. - Może zagapił się, poszedł dalej i zejdzie inną drogą.

Ruszyli więc naprzód, lawirując między głazami, a Dracon co kilka minut przepatrywał okolice przez lunetę.

W głębi duszy nie był jednak pewien, czy cały ten projekt miał choć szczyptę sensu. W opowieściach ojca wyglądało to dość prosto: trafić smoka w jakiś żywotny organ - serce, wątrobę - osłabić przynajmniej na krótki czas, naszpikować strzałami i zanim zadziałają jego sławetne zdolności regeneracyjne, odrąbać mu łeb. Bez głowy nic nie działa, może prócz rządu. Rzeczywistość pewnie nijak się miała do tych historyjek. W końcu nawet wyszkoleni smokerzy czasem wychodzili z takich starć ranni albo też tracili życie.

- Jest! - rzucił nagle Dracon, zatrzymując się.

- Celek?

- Smok! Nawet kolor ma odpowiedni! Patrz! - Dracon podał bratu lunetę.

Rzeczywiście, po plaży spacerował smok. Niewielki, łaciaty - z wierzchu czarny, a pod spodem ciemnoszary. Węszył między kamieniami, wskakiwał na skalne złomy i straszyl mewy, skrzeczące na niego ze złością, albo podbiegał do granicy przyboju, by za chwilę uciec przed falą. Ponad wszelką wątpliwość bawił się.

- Dracze... On jakiś mały jest - wyszeptał Alwaid, oddając z kolei lunetę Wyweronowi.

- Testament nie określał wielkości. Chcesz się użerać z dużym?

- Ale to jest dziecko! Patrz, on się bawi. Wybij sobie z głowy, że zabiję dziecko! - Wyweron poparł Alwaida.

Dracon stracił sporo pewności siebie. Metoda, jaką obrał, czyli „wyznacz cel i podążaj naprzód, nie myśląc za wiele”, przestała działać nawet na niego.

- Te twoje zabawki na rozum ci musiały paść - wymamrotał, osłaniając oczy dłonią i patrząc znów w kierunku smoka. A wtedy ujrzał coś, co podniosło mu włosy na głowie i sprawiło, że jęknął głośno.

- Na Boski Młot! - Wyweron zobaczył to samo przez lunetę: jasną czuprynę ich najmłodszego brata, nadchodzącego beztrąsko brzegiem morza z przeciwnej strony, prosto na dokazującego smoka. Najwidoczniej Celofan znów bujał w obłokach i nie widział niebezpieczeństwa.

Dracon porwał muszkiet i już biegł na ratunek, nie zastanawiając się, co właściwie robi. Alwaid, pobladły ze strachu, ruszył za nim ze swoim arkebuzem.

Chcieliśmy smoków, no to mamy. Celofan, ty idioto, pomyślał Wyweron, puszczając się biegiem za nimi, uzbrojony zaledwie w tasak.



Rozmarzony Cellofan (ach, te rozbłyśki słońca na falach) zauważył smoka dopiero wtedy, kiedy za późno było na odwrót czy ucieczkę. Co prawda mógłby jeszcze szukać schronienia w falach - smoki nie przepadały za wodnym żywiołem - gdyby nie to, że od morza odgradzała go właśnie owa groźna bestia. Właściwie smok nie wyglądał zbyt niebezpiecznie. Siedział na kamieniu i przyglądał się młodzieńcowi z ciekawością, przekrzywiając śmiesznie łeb i ruszając jednym uchem. Trochę przypominał Cellofanowi zabawkę, otrzymaną dawno temu w prezencie urodzinowym.

- Pozdrowienie dla ciebie. Suche miejsce do spania i dobre łowy - odezwał się Cellofan uprzejmie w języku lengore. Nie należało zapominać o dobrych manierach.

Smok oblizał sobie nos, co było oznaką lekkiego zakłopotania.

- Pozdrowienie - odpowiedział po chwili.

Szło dobrze. Ojciec Cellofana mawiał, że jak nie wiesz, co zrobić ze smokiem, to go zagadaj. Nowo poznanych znajomych nie wypada zjadać.

- Co to jest? - zapytał smok ciekawie, patrząc wprost na instrument, który młodzian targał ze sobą wszędzie, przewieszony przez ramię na taśmie.

- To jest lutnia, na tym się robi muzykę - oświecił rozmówcę muzyk, a następnie po prostu usiadł na pobliskim kamieniu, sprawdził, czy struny się nie poluzowały, i zaczął grać.



- Co on wyprawia? - wykrztusił zaskoczony Wyweron. Nie dalej jak zeszłej nocy śnił mu się niebieski pluszowy smoczek, który chodził za nim krok w krok, patrzył mu z wyrzutem w oczy i powtarzał: „Dlaczego ty mnie nie kochasz?”. Teraz, kiedy we trzech siedzieli ukryci za głazami, gapiąc się z niedowierzaniem na występ Cellofana, przez moment był skłonny uznać to za następny głupi sen. Pierwszy otrząsnął się najstarszy z myśliwych. Skoro jego braciszкови tymczasowo nie zagrażało zjedzenie, postanowił wrócić do pierwotnego planu.

- Dobra! - szepnął Dracon, z determinacją sięgając po broń. - Póki ten rzępoła zabawia nasz spadek, wykorzystajmy okazję.

Zanim jednak zdążył dobrze wycelować, Alwaid szarpnął go za rękaw.

- Poczekaj, jest drugi!

Draconowi zrzędła mina. Rzeczywiście, zza krawędzi klifu kolejny smok wystawiał zaciekawiony łeb, i nie minęła chwila, a zgrabnie sfrunął na dół, zajmując miejsce obok poprzedniego. Ten był większy i jaśniejszy - siwy jak dym, z białymi łapami. Cellofan tylko kiwnął głową przybyszowi i dalej śpiewał piosenkę o stokrotkach. Po pięciu minutach publiczność wzbogaciła się o smoka ryżego jak wiewiórka, za to wielkiego jak koń, a zaraz

potem zjawił się biały jak mleko - tylko z nosem nakrapianym, jakby kichnął w atrament.

- Rozumiem, że Kamienny Pan postanowił nam zrobić niespodziankę i zaprezentował całą smoczą ofertę z tego regionu, ale mnie starczyłby tylko jeden smok - wycedził Dracon przez zęby z wściekłością. - JEDEN, do kurwy nędzy! Niech to szlag...

Nie musiał niczego wyjaśniać braciom, sami rozumieli, że polowanie skończyło się, zanim się na dobre zaczęło. Gdyby teraz próbowali zranić któregoś ze smoków, nawet tego najmniejszego, reszta rzuciłaby się na nich całym stadem, i nie zostałyby z nich przysłowiowe „różki i nóżki”.

- Ehm... Czy one nas nie czują? Nie słyszą? - zastanowił się Alwaid.

- Wiatr wieje od morza, a fale hałasują. Może nas nie zauważyły, a może po prostu lekceważą. Zdaje się, że tu nikt do nich nigdy nie strzelał - odpowiedział Wyweron.

- To co teraz robimy?

- Czekamy - odparł Dracon ponuro. Usiadł, opierając się plecami o kamień, i demonstracyjnie splótł ramiona na piersiach.



Koncert trwał dobre dwie godziny. Cellofan muzykował niezmiernie dobrze. Rzadko, właściwie nigdy nie trafiała mu się tak zaangażowana publiczność, traktująca sztukę z należyty szacunkiem (choć była to raczej sztuka przez dość małe „s”). Nic więc dziwnego, że czuł się jak w siódmym niebie. Smoki, a ich liczba wzrosła ostatecznie do ośmiu, po każdej melodii czy piosence wydawały entuzjastyczne pomruki i piski, prosząc o następną. Występ skończył się dopiero wtedy, gdy śpiewak ochryplł i zaczął zbyt często kichać. Skrzydlaty rudzielec, widocznie zorientowany z grubsza w ludzkich zwyczajach, uznał, że artyście należy zapłacić, i wręczył mu zagryzioną mewę.

Śmiertelnie znudzony Dracon szturchnął towarzyszy, którzy tymczasem zdążyli zasnąć na rozgrzanym słońcem żwirze, pozwijani w kłębki. Smoki odfruwały jeden po drugim, a Cellofan nadchodził spacerowym krokiem, z lutnią na ramieniu i martwym ptakiem w rękę, rozczochrany i szczęśliwy.

- Widzieliście? Podobało im się! - zawołał uradowany na widok braci. Wzrok miał błędny, uśmiechał się od ucha do ucha jak ktoś, kto nadużył „rozweselającego siana”.

- Miałeś więcej szczęścia niż rozumu - burknął Dracon. - Trzeba było się nas pilnować. Po co ci ta padlina? Wyrzucić ją w cholere.

- Cellofan spojrział na niesioną za skrzydło mewę.

- Nie chcę.

- Na niebiosa, co ty chcesz robić z martwą mewą?!

- Rosół...

Dracon wyszedł z siebie. Wyrwał bratu ptaka i z rozmachem cisnął do morza. Chłupnęło.

- Ej...! To była moja mewą! Wyrzucaj swoje! - zawołał Cellofan z oburzeniem i kichnął.

- Uspokój się. Dracze jest ci winien rosół. Dopilnuję, żeby ci odkupił - załagodził Alwaid.

- Szkoda, że się nie udało polowanie.

- Ciekawe, czyja to wina - mruknął Dracon.

- Na pewno nie moja! A ty masz zawyżony pułap wymagań - odrzekł Cellofan z goryczą, idąc kamienistą plażą obok Alwaida. - Ja bym właściwie nawet chciał tu żyć, grać smokom i jeść mewy. Tylko tobie ciągle mało. Szkoda, że nie mogę ci wyczarować tego pieprzonego smoka. Może byś się nim zadławił i przestał mi działać na nerwy.

Miny średniego potomstwa smokobójcy dość przejrzyście wyrażały poparcie dla słów najmłodszego, ale jakoś nie odważyli się powiedzieć tego głośno. Cellofan z rozgłosnym trąbieniem wydmuchał nos w chustkę.

Dracon zatrzymał się tak raptownie, aż Alwaid wpadł mu na plecy.

- Aaa! - ryknął.

- Przepraszam! - spłoszył się tamten, ale Dracon obrócił się, ukazując rozpromienioną twarz.

- A! - wrzasnął znowu, wskazując palcem na zaniepokojonego muzyka. - Odwołuję wszystko, co złego na ciebie powiedziałem! Celuś, jesteś genialny!

- No, wiem... - mruknął Cellofan z zakłopotaniem. - Tylko ci krytycy się nie znają na nowoczesnej muzyce...

- Magia! Jesteśmy w Lengorchii, tu jest pełno magów, gdziekolwiek splunąć! - zawołał Dracon, rozkładając ramiona w podnieceniu. - Po prostu pójdziemy do jakiegoś i niech nam wyczaruje smoka, od razu zdechłego oczywiście. Nawet jeśli będzie to słono kosztować, to przecież wydatek dwustu, trzystu koron jest i tak opłacalny, skoro zyskamy dziesięć tysięcy!

Twarze wszystkich rozjaśniły się, na pechowych spadkobierców spłynęła niebotyczna ulga. W końcu pośród ciemności błysnęło światełko nadziei! Przesną się bezsensownie pętać po tym wietrznym wybrzeżu, wyjadą w rejony bardziej cywilizowane i nareszcie zjedzą porządny posiłek w dobrej gospodzie.

- I nawet kurs wymiany koron na lengorchiańskie talenty jest całkiem do przyjęcia - dodał Alwaid z zadowoleniem.



Zajazd, w którym się zatrzymali, nie olśniewał elegancją jak podobne przybytki w Lenenji, ale izby były czyste, jedzenie niezłe, a wody do piwa dolewano z umiarem. Dla czterech podróżników, którzy długi, ponury szereg nocy spędzili na wozie lub na derce pod namiotem, pokój w oberży - z drzwiami! z łóżkiem! - zdawał się krainą rozkoszy. Jasnowłosych Northlandczyków czy mieszkańców Ogorantu tubylcy nie traktowali ze szczególnymi rewerencjami, ale też nikt przybyszom nie groził siekierą, więc goście nie mogli na nic narzekać. Natomiast pewnych trudności nastroczało znalezienie odpowiedniego maga. Ba, w ogóle maga! Od kiedy noszenie błękitnych szarf - oznaki magicznej profesji - przestało być modne, trudno było odróżnić maga od nie-maga. Przecież nie mogli chodzić od człowieka do człowieka, zagajając: „Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale czy jest pan może przypadkiem czarodziejem?”. Na dodatek wieś Nawiaż nad rzeką Fontalą nie jest oczywiście żadną metropolią. Co mieliby tu porabiać ludzie parający się magią, odczytujący myśli, zmieniający ołów w złoto, rozmawiający ze zwierzętami? Było raczej pewne, że trzymają się miast, gdzie i życie ciekawsze, i zarobki wyższe. Alwaid, który trochę podróżował po Lengorchii, nauczony doświadczeniem, nakazał braciom wypatrywać niebieskich znaków na drzwiach, szyldach albo błękitnych wstążek, powiewających pod okapami dachów - magowie zwykle ogłaszali się właśnie w ten sposób. Niestety, obserwacje nie dały spodziewanych rezultatów. Wyglądało na to, że będą musieli całą czwórką ruszyć dalej na południe.

Ale o dziwo, oberżysta, zagadnięty o jakiegokolwiek maga w okolicy, po prostu wskazał odległy kąt izby jadalnej:

- O, tam jednego macie.

Jego ton brzmiał mało przyjaźnie. Może miał jakieś osobiste urazy do Kręgu Magów, a może po prostu denerwował go typ, który od świtania bratał się z butelką, strasząc mu innych gości. Dopiero wtedy Northlandczycy zwrócili uwagę na to, że wokoło tamtego człowieka pozostaje całkiem sporo wolnej przestrzeni, a stoły w najbliższym sąsiedztwie są puste, jakby klienci instynktownie wyczuwali, że coś z nim nie tak.

- Myślisz, że jest niebezpieczny? - spytał Dracon, ukradkiem obserwując maga.

Mężczyzna wyglądał całkiem zwyczajnie: średniego wzrostu, ciemnowłosy, z krótką bródką, odziany ani bogato, ani biednie - setkę takich można minąć na ulicy miasta, a twarz przechodnia nie zatrzyma się w pamięci nawet na jedną chwilę.

- Chyba nie jest groźny, bo inaczej wszyscy by raczej stąd uciekli. Jakoś się z nim dogadamy - odrzekł Alwaid, choć niezbyt pewnie. Magów do tej pory oglądał z daleka i, szczerze powiedziawszy, wolałby, aby tak pozostało. - Raz kozie śmierć, idziemy.

Zapoznanie z magiem poszło jak po maśle. Starczyło postawić przed nim następną flaszkę

wódki, a dodatek do butelki w postaci czterech młodych mężczyzn zaakceptował w mgnieniu oka. Zresztą całkiem możliwe, że widział ich już ośmiu. Dość szybko okazało się, że zalewa jakieś okropne osobiste nieszczęście i porozumienie z nim jest mocno utrudnione.

- No i so... no i so, że jessdem mag...? - odpowiedział na pytanie o profesję. - I sso...? Rzusła mje! Jak psa... - Rozpłakał się żałośnie. - Nie doś dofry wyłem... dzifka poszła s innym... Kofiety so ochrutne, ochrutne... Musze sie nafić...

Niebawem, wychylając kolejną szklaneczkę, przewrócił się do tyłu i runął na podłogę, prawdopodobnie ostatecznie tracąc przytomność jeszcze w locie. Dracon skorzystał z okazji i rozpiął mu koszulę, by sprawdzić, czy mężczyzna istotnie nad lewą piersią ma wytatuowany znak Kręgu.

- Hm, wydawało mi się, że magowie są bardziej... dostojni? - powiedział Cellofan, przyglądając się badawczo ofierze nieszczęśliwej miłości. - Ale żeby jakaś dziewczyna wolała kogoś innego od maga, to się dziwię.

- No widzisz, bo to zła kobieta była.

- O, a może ja o tym piosenkę napiszę? - ucieszył się muzyk. - Świetny temat.

Jego bracia jęknęli zgodnym chórkim.



Mag imieniem Niemój zarejestrował drobną częścią świadomości, że leży na czymś twardym, w ustach ma smak starej ścierki (aczkolwiek jego doświadczenia w lizaniu ścierki były nikłe), światło razi go nieznośnie i ktoś mówi do niego stanowczo zbyt głośno. Wszystkie te elementy bardzo źle wpływały na jego migrenę.

- Jest prawie południe. Lepiej niech pan się już obudzi. Niemój zrobił nikły wysiłek dopasowania tego głosu do jakiejś twarzy, ale bez skutku.

- Mm...? - odparł, nie otwierając oczu.

- Wstaniesz? - To już był ktoś inny.

- M-m...

- Czy mam rozumieć, że pan lubisz spać na ziemi?

- Uhm...

- Konwersacja z nim jest nadzwyczaj budująca.

Mag poczuł, że ktoś bezceremonialnie łapie go za gors i sadza, opierając o ścianę. Ruch ten natychmiast spowodował u niego coś w rodzaju miniaturowego wybuchu z ośrodkiem tuż za oczami.

- Wody... - wyrzeźił, unosząc na próbę jedną powiekę i zaraz ją zamknął, oślepiiony

światłem, które jak na jego gust okazało się za jaskrawe.

Ktoś przyłożył mu do ust kubek, więc wypił kilka łyków, po czym ostrzegł:

- Będę wymiotował.

Westchnienie.

- Dajcie wiadro, chłopcy.

Dopiero po wypiciu klina, rosołu, i znów klina oraz rosołu, Niemój zaczął się nadawać do czegokolwiek poza jęczeniem. Rozejrzał się przytomniej. Czterech ludzi, trzy jasne głowy i jedna ciemna, wpatrzone w niego cztery pary niebieskich oczu. Niechybnie Northlandczycy.

- Czy myśmy wczoraj razem pili? - spytał ostrożnie.

- Tak.

- Nie.

- Tak!

- Trochę...

- Zdecydujcie się na coś, panowie - poprosił z rezygnacją, siadając znów na podłodze. Czuł się na niej z jakichś powodów lepiej niż na stołku: miał wrażenie, że mebel jest niebotycznie wysoki, a on za moment z niego zleci.

Ciemnowłosy był z nich najstarszy, dość pewny siebie i wyglądał na przywódcę.

- Potrzebujemy smoka - rzekł wprost. - Martwego - dodał po chwili.

- Może być mały - wtrącił młody blondynek z lutnią, na oko osiemnastoletni.

- Liczymy, że pan go nam wyczaruje. Oczywiście jesteśmy gotowi zapłacić.

Niemój przez chwilę przetrwał te rewelacje, a potem demonstracyjnie poklepał się po kieszeniach.

- Nie mam smoków.

- Ja mówię poważnie! - zaperzył się ciemnowłosy.

- To nie musi być prawdziwy smok - znów wyrwał się najmłodszy chłopaczek. - Może być sztuczny, tylko powinien wyglądać jak prawdziwy.

- Dlatego nam potrzebny mag - uzupełnił jeden ze starszych Northlandczyków.

- Ale dlaczego ja? - Umysł maga jeszcze niezbyt dobrze radził sobie z problemem.

Wiedział, że coś tu przebiega niezupełnie prawidłowo. Domagano się od niego rzeczy, których nie jest w stanie zrobić, ale nie potrafił tego należycie sformułować.

- Pan jesteś magiem? Umiesz czarować? Wyczaruj smoka. Co w tym takiego skomplikowanego?

- Smok.

- Cztery łapy, łeb i ogon - co jest zawilego w smoku?! - Ciemnowłosy zaczął się złościć.

Mózg Niemoja w końcu ruszył opornie z miejsca.

- Kiedy ja jestem Wiatromistrzem - wyjaśnił wreszcie mag z lekką urazą. - Nie zajmuję się smokami, tylko pogodą! Mogę wam wyczarować piorun. Robię bardzo dobre pioruny - dodał zachęcająco.

Jego rozmówca ukrył twarz w dłoniach i rzekł głucho:

- Ja. Się. Zabiję.



Niemój był zaintrygowany. Dracon, Alwaid, Wyweron i Cellofan - na Wieczny Krąg, co za imiona! - opowiedzieli swoją historię nieco chaotycznie, przerywając sobie nawzajem, lecz wynikało z niej niezbitcie, że faktycznie bardzo, ale to bardzo potrzebują maga. Oczywiście nie pierwszego z brzegu, nie Obserwatora, nie Mówcy, a już z pewnością nie skacowanego specjalisty od pogody. Niemój zdał sobie sprawę, że jeśli teraz zostawi tych zdesperowanych poszukiwaczy zaginionego smoka własnemu losowi, nigdy nie pozna zakończenia tej obłąkanej historii i jeszcze za dwadzieścia lat będzie się zastanawiał, czy im się udało - to po pierwsze. Po drugie - niewątpliwie dołączenie do braci Pol-Morane było rozsądniejsze (i zdrowsze) od picia na umór w zapadłej dziurze nad Fontalą. A po trzecie - już dawno nie odwiedzał swojego starego przyjaciela ze studiów, Stworzyciela imieniem Orzech. Powspominają dawne czasy, obalą jakąś butelkę i obaj będą narzekać na tę jędzę Magnolię, która porzuciła Niemoja na rzecz kupca korzennego, wyrachowana dziwka. A przy okazji Orzech przyjrzy się kłopotom Northlandczyków.



Szczerze mówiąc, wyobrażali sobie magów inaczej. Nie-mój mógł być wyjątkiem, ale poważany Stworzyciel, władca materii, mający moc niemalże boską, bo pozwalającą stwarzać coś z niczego, winien mieć postać wyniosłą, czoło chmurne, a oczy zapatrzone w sprawy ponadnaturalne. Magowie nie powinni mieć nic wspólnego z herbatą i konfiturami malinowymi!

Czaszki, opasłe księgi, wypchane krokodyle czy bulgocące retorty - owszem! Ale nie herbatka, ciasteczka albo kolekcja pulchnych porcelanowych dzieciaczków na półce - o co to, to nie!

Stworzyciel Orzech podążył spojrzeniem za zgorzonym wzrokiem Dracona, który strzelał oczami znad swojej filizanki.

- Milutkie, prawda? Żona je tam stawia. Chyba chce mi coś zasugerować - wyjaśnił z

uśmiechem. - Smok? Lengorchiański? Nie żaden łuskowaty pseudosmok jaszczurka? - ciągnął bez troski. - Nie ma problemu. Za trzy dni będzie gotowy.

- A cena? - Dracon był praktyczny.

Stworzyciel podniósł oczy ku powale, skrupulatnie obliczając coś w pamięci.

- Och, około pięciuset talentów.

Alwaid zakrztusił się z wrażenia, co pociągnęło za sobą gwałtowną akcję ratunkową.

- Ależ to jest prawie tysiąc koron! - wykrzyknął, zszokowany, kiedy już się wykaszłał. W najgorszych snach nie przewidywał, że smocze zwłoki mogą być tak kosztowne.

- Taniej byłoby po prostu upolować prawdziwego!

- Też tak sędzę - zgodził się Orzech uprzejmie, dolewając sobie herbaty z imbryka. - Ale panowie już próbowali, nieprawdaż?

- Pięćset talentów to za drogo! - oświadczył Dracon stanowczo.

Stworzyciel zaczął być zły. Rzucił Wiatromistrzowi znaczące spojrzenie.

„Kogoś ty mi tu przyprowadził, Niemój?” - odezwał się w myślach do kolegi. Niemój wzruszył nieznacznie ramionami. Nie należało się spodziewać, że przybysz z Northlandu będzie zorientowany w zawiłościach magicznych profesji. Nawet krajanie Niemoja czasem wspinali się na szczyty ignorancji, więc czegoż wymagać od przybyszów z północy?

- Pan sobie najwyraźniej nie zdaje sprawy, jaki to dla mnie wysiłek. Ile materii będę musiał przetworzyć, ile mi to ściervo zajmie miejsca w domu! Trup smoka w ogródku... Żona mnie chyba za to udusi - rzekł niecierpliwie Orzech.

- Pięćset talentów to jest cena zupełnie adekwatna.

- Czy mniejszy smok byłby tańszy? - zapytał dotąd milczący Cellofan, wydobywając przeciągłe „dąąąg” z lutni.

Ostatnio miał wręcz monopol na zaskakujące pytania. Dopiero po chwili Stworzyciel odpowiedział ostrożnie:

- Przypuszczani, że wtedy mógłbym zejść z tej ceny, ale zlecenie nie należy do prostych, materia organiczna, samo formowanie skrzy...

- Niech to zaraza! - Wyweron zerwał się z miejsca. - O czym my tu mówimy? Przecież nam nie jest potrzebny smok! Ludzie, nam jest potrzebny tylko łeb! Chyba mieliśmy wszyscy jakieś zaćmienie! Sama smocza głowa, o taka - zwrócił się do maga, pokazując wielkość rękami. - Tylko ma wyglądać realistycznie.

- No, brzmi to o wiele rozsądniej - stwierdził Stworzyciel. - Sto talentów, na to chyba panów stać? - rzucił z lekkim przekąsem w stronę Dracona.

- Dwieście koron, może być. - Northlandczyk wyciągnął dłoń do maga, by przybić umowę.



Smoczy łeb prezentował się rzeczywiście imponująco. Leżąc na stole, ukazywał w półotwartej paszczy mięsisty jęzor i szereg zębów, wielkich, ostrych jak noże. Z warg sterczały mu wibrysy, spiczaste uszy miały siatkę czerwonych żyłek. Szkarłatne ślepia, nieco zamglone, zdawały się patrzeć z niemym wyrzutem. Klient nieuprzedzony z góry mógłby przysiąc, że głowa jest prawdziwa, zwłaszcza że przy karku Stworzyciel nader realistycznie odtworzył strzępy mięsa i kawałek kręgu. A teraz zmęczony, ale bardzo zadowolony z siebie przedstawiał wynik swojej pracy.

- Och... - powiedział Alwaid z osłupieniem.
- Och... - powtórzył Cellofan jak echo.
- Robi wrażenie, prawda? - rzekł Orzech z satysfakcją.

Zlecenie było nietypowe i trudne, ale przynajmniej o wiele ambitniejsze niż trywialne problemy, z jakimi zwykle przychodzili klienci. Odtwarzanie ze stosu skorup pamiątkowej wazy po prababci bywało tak nudne, że zasypiał w trakcie.

- Kolor - odezwał się Dracon posepnie. Jego bracia stali za nim w milczeniu, jakby przestraszeni.

- Kolor?
- Kolor jest nieodpowiedni. Zapomniałem powiedzieć, że powinien być czarny, nie brązowy - wyjaśnił Dracon z zakłopotaniem.

Przez kilkanaście sekund trwała cisza. Stworzyciel zaczął przypominać kocioł parowy grożący wybuchem, wiśniowy z przegrzania.

- PRECZ! WON MI Z OCZU! - ryknął.

Czwórce pechowych smokobójców nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, gdyż powietrze zaczęło trzeszczeć od magii, a przez podłogę i ściany przebiegały coraz gwałtowniejsze wibracje. Przebywanie w tym samym pomieszczeniu z rozwścieczonym magiem było dobre dla miłośnika niebezpiecznych sportów lub samobójcy. Przepychając się jeden przez drugiego, ewakuowali się pośpiesznie z pracowni maga do ogródka. Nim Dracon zdążył zamknąć drzwi, z wnętrza wyleciał smoczy łeb, i nie zdążył się przed nim uchylić.

- Myślicie, że komisja uzna brązowy? - spytał Wyweron, pochylając się nad głową, która legła malowniczo w truskawkach. - Chyba powinniśmy mu zapłacić, nie? W końcu to nasza wina, że nie podaliśmy koloru. Dracze...?

- Nie wiem! - jęknął Dracon, masując ramię. - Ja już nic nie wiem. Wracam do domu i zaczynam projektować chlewy. Proste konstrukcje, niewymagający klienci.

- No tak, jeszcze nie słyzałem, żeby świnią się skarżyła.

- Drzwi pracowni uchyliły się i ukazał się w nich Wiatromistrz, słańający się na nogach ze śmiechu. Rechocąc, jakby stracił rozum, podszedł do rozgoryczonego architekta i wręczył mu niewielkie pudełko.

- Co to jest? - spytał Dracon nieufnie.

- To... to... cha, cha, cha... iiiihhhh... - Niemój machał rękami, na darmo usiłując się uspokoić. Usiadł na schodku i walczył bezskutecznie z atakiem wesołości.

Dracon ostrożnie podniósł wieczko, zaglądać do środka. Puzderko wypełnione było jakąś czarną mazią.

- Co to? - Alwaid zajązał mu przez ramię.

Dracon ostrożnie powąchał maź.

- To... chyba jest pasta do butów... - powiedział ze zdumieniem.

Spojrzał jeszcze raz na czarną pastę, potem na smoczy łeb na grządce (brązowy) i zdecydowanym ruchem podał pudełko Cellofanowi.

- Celek, pastuj drania!

- O nie! - Cellofan cofnął się o krok i nawet schował ręce za siebie. - Nie będziesz mnie wykorzystywał tylko dlatego, że jestem najmłodszy. Poza tym ja mam UCZULENIE NA SIERŚĆ!

A potem żyli długo i szczęśliwie, czyli definitywny koniec.

Alwaid zapewne uważał, że jako jedyny z braci ma normalne imię. Nie wiedział, biedak, że w innym świecie i rzeczywistości Alwaid jest duża gwiazdą w gwiazdozbiórze Smoka.